

**Krzysztof Łoziński**



**Autoportret w czasie**

Krzysztof Łoziński

## **Autoportret w czasie**

Wydanie pierwsze – internetowe

© Copyright by Krzysztof Łoziński 2025.

# **Wstęp**

Jest to druga moja książka, do której pretekstem są elementy mojej autobiografii. Ale tak naprawdę jest to książka nie tylko o moim życiu, ale w dużym stopniu o czasach i realiach tych czasów. O młodości w zburzonej Warszawie, zabawach w gruzach, bieganiu za kółkiem i drewnianych klockach. Także o szkole, która była wówczas zupełnie inna i to nie dlatego, że pisaliśmy atramentem za pomocą pióra ze stalówką, a komputera jeszcze nie było.

Piszę też o początkach moich kontaktów z górami, o pierwszych wspinaczkach z sizalową liną i hakami, które sam robiłem na lekcjach robót ręcznych w szkole, Piszę o świecie, którego już nie ma, o świecie, w którym straż graniczna potrafiła strzelać do turystów, którzy przekroczyli granicę w Tatrach o kilka metrów.

Piszę o początkach moich zainteresowań plastycznych i fotograficznych. O czasach, w których nie mając legitymacji Związku Plastyków nie można było kupić blejtramu lub farby.

I wreszcie o podróżach po świecie dalekim, które też mocno odbiegały od normalności. O sowieckich kolejach, lataniu samolotem An 2 nad Uzbeckim stepem, Jazdach na pakach afgańskich ciężarówek po drogach, które można by europejskim kierowcom pokazywać jako horror. O czasach, w których dostanie paszportu było marzeniem, a na pobyt za granicą trzeba było zarobić handlem na pograniczu przemytu.

To był czas ciekawy i niepowtarzalny. Życzę ciekawej lektury.

**Krzysztof Łoziński**

## Dzieckiem będąc



## Moje najstarsze wspomnienia.

Nie wiem, ile miałem lat, trzy, może cztery?

Mieszkanie na Powiślu w Warszawie. Mieszkaliśmy u babci, Marii Żaczkowskiej, matki mojej mamy. Duży pokój, w którym spali rodzice i w którym był stół jadalny, z oknami na ulicę, mały pokój nasz, dzieci. Moja siostra Magda jeszcze w wózku z trzciny plecionki na dużych kołach. Kuchnia z wnęką dla służącej, kuchnia węglowa z żelazną płytą i fajerkami. Bardzo mnie fascynowały te relingi, drzwiczki, klamki i kafle. W łazience była wanna, ale nie było w kranie ciepłej wody. Wodę do kąpeli trzeba było zagotować w wielkim garze. W rogach obydwu pokoi stały piece kaflowe na węgiel.

Mieszkanie numer 6, na parterze, na Spasowskiego 7A, było, jak na tamte lata, dosyć wygodne. Warszawa po wojnie była bardzo zburzona. Wielu ludzi jeszcze gnieździło się po kilka rodzin w jednym lokalu. Powiśle było lepsze, bo w czasie powstania Niemcy go nie bombardowali, bojąc się zbombardowania własnych pozycji nad Wisłą. Dlatego spory kawałek Powiśla: Spasowskiego, Tamka, Dobra, Solec, były w miarę całe. Ulica Spasowskiego biegła od Tamki równolegle do Wisły i zakreślała prostopadłe wychodząc na Dobrą. Tam, na tym zakręcie, był jedyny niewielki obszar gruzów, przez który można było przejść na Wybrzeże Kościuszkowskie tuż przy Jaracza. Jakies dwa domy od nas, po tej samej stronie ulicy, był sklep spożywczy Markiewiczowej, a tam był dziecięcy cud świata: słoik z cukierkami. No i gazowe latarnie na ulicy. Wieczorem chodził taki pan z tyczką i zapalał latarnie, ale w domach gazu nie było.

Ze Spasowskiego 7A pamiętam do dziś numer telefonu: 6 34 60. Taki krótki? Tak, bo telefonów w ówczesnej Warszawie było bardzo mało. Telefon w domu to był luksus. Był czarny z tarczą. Słuchawka leżała na metalowych widelkach. Aby odebrać połączenie wystarczyło podnieść słuchawkę, a by przerwać, położyć ją z powrotem lub nacisnąć ręką widelki.

*Dzisiejsza młodzież w ogóle nie rozpoznaje takiego telefonu. Kilka lat temu, wnuczka Agnieszki spytała:*

*- Babciu, gdzie jest telefon (bo komórka jej się rozładowała)?*

*Mieliśmy telefon stylizowany na taki stary, z tarczą, ale numery na tarczy wybierało się już przyciskami, bo telefon, choć wyglądający na stary, był już cyfrowy.*

*- Stoisz przy telefonie – odparła Agnieszka.*

*- Gdzie, nie widzę?*

Nastoletnia Magda po prostu nie знаła takiego telefonu. Za to komórki znała na wylot.

Innym razem, na ulicy w Giżycku usłyszałem rozmowę matki z kilkuletnią córką:

- *Dla czego nie masz telefonu?*

- *Zapomniałam.*

- *Jak mogłaś wyjść z domu bez telefonu?*

*Jak daleko jesteśmy od świata, w którym telefon stacjonarny by luksusem, a telefonów mobilnych nie było wcale.*

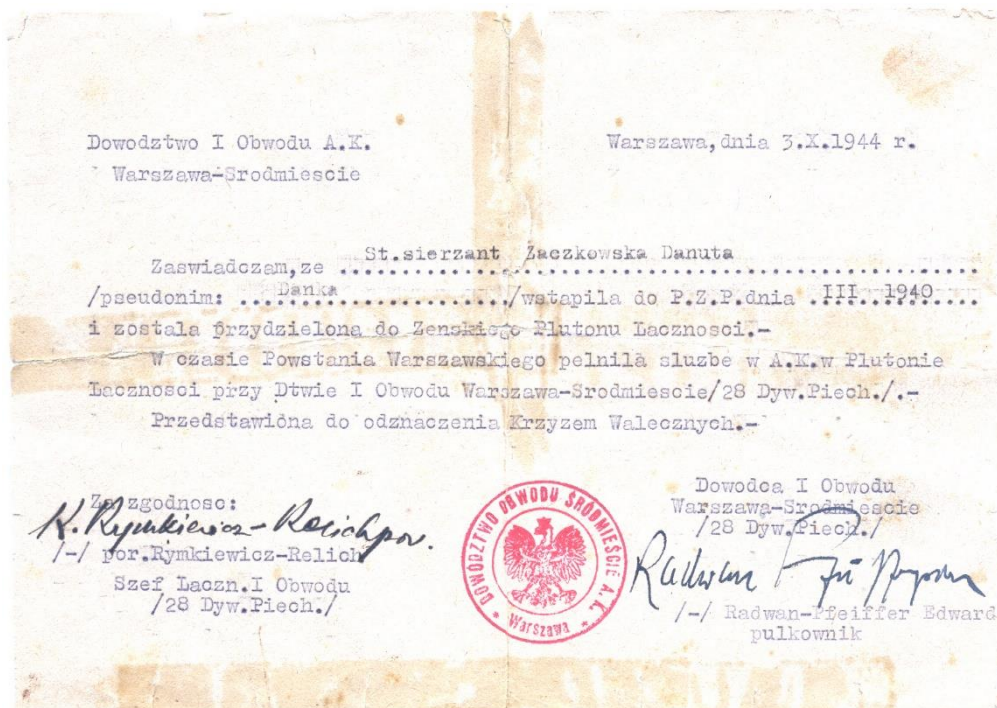


Warszawa 1946. Gruzy getta. Ze zbiorów Muzeum Historycznego Warszawy.

Pamiętam też „pamiętkę” po powstaniu: groby na podwórku. W czasie powstania wszystkie trawniczki były zajęte grobami, ale po wojnie dość szybko je usuwano. Groby w podwórkach przetrwały dłużej.

Po wielu latach, już w okresie działania KOD-u, w Poznaniu, zapytano mnie, czemu Warszawiacy do dziś żyją Powstaniem Warszawskim. Ludzie z Poznania,

Łodzi, Szczecina, tego nie czują. A to proste i nie proste. Warszawa przed wojną miała ok. miliona mieszkańców. W powstaniu zginęło 200 tysięcy ludzi, Warszawiaków. W Warszawskim Getcie zginęło ok. 400 tysięcy Żydów, w dużej części Żydów z Warszawy. W sumie w czasie okupacji i powstania zginęło co najmniej pół miliona Warszawiaków, około połowa ludności miasta. I jeszcze jedno. Dla nas o powstaniu nie trzeba mówić „Warszawskie”. To dla nas oczywiste.



Zaświadczenie wystawione mojej mamie przez płk. „Radwana” tuż przed kapitulacją powstania. Później została awansowana do stopnia podporucznika i odznaczona Krzyżem Walecznych.

Wojna, choć się skończyła, była ciągle obecna w rozmowach wspomnieniach i śladach. Ojciec, Jerzy Łoziński i jego rodzina nie pochodzili z Warszawy, tylko z Częstochowy, ale mama była z Warszawy. Ta warszawska część rodziny w czasie okupacji i powstania przeżyła prawdziwe dramaty. Mama, Danuta Łozińska, jeszcze pod panieńskim nazwiskiem Żaczkowska, pseudonim „Danusia”, była hufcową Szarych Szeregów i podoficerem Armii Krajowej. W czasie powstania była dowódcą centrum łączności pułkownika „Radwana”, najpierw w stopniu starszego sierżanta, na koniec awansowana przez Rząd Londyński do stopnia podporucznika. Jej wojenny narzeczony, Ryszard Sułkowski, zginął rozstrzelany przez żołnierzy SS Dirlwanger w Szpitalu Wolskim. Niemcy zamordowali tam niemal cały personel i wszystkich pacjentów.

Oboje z Ryszardem pracowali jako młodzi lekarze w Szpitalu Wolskim. Przed wybuchem powstania ordynator pytał młody personel: Będziesz jutro, czy idziesz? Nie trzeba było pytać, dokąd idziesz. Wszyscy wiedzieli, dokąd. Mama opowiedziała „idę”, Ryszard – „zostaję”. Potem przyszło SS Dirlewanger. Ryszard zginął. Moi rodzice poznali się po wojnie.

Pod koniec powstania Niemcy wypędzali ludność Żoliborza przez tereny w pobliżu Dworca Gdańskiego. W kolumnę cywilów uderzył pocisk artyleryjski, prawdopodobnie rosyjski, zza Wisły. Od tego pocisku na miejscu zginął 39-letni Józef Ponikiewski mąż Marii (Marychny, jak się o niej w rodzinie mówiło) najstarszej siostry mojej mamy i jej dwuletni syn Jacek. Drugi syn Marii, dziewięcioletni Sławek, umarł tydzień później w szpitalu. Maria zmarła w szpitalu tydzień po nim. Na miejscu zginęła też babcia mojej mamy i jej siostr (Marii i Sabby) Stefania Kazimierska z domu Batorowicz. W sumie pięć osób. Druga siostra mojej mamy, Sabba, była w czasie powstania ranna.



Sławek i Jacek. Gdy zginęli Sławek miał 9 lat, Jacek 2. Fot. archiwum rodzinne.

Trudno sobie wyobrazić cierpienie Marychny, która umierając ostatnia wiedziała, że wszyscy jej bliscy, mąż, synowie, babka, już nie żyją. Miała tylko 29 lat. Jeszcze wiele lat później słyszałem słowa rodziców: Jacuś miałby teraz 12 lat, a Sławek 19...



Marychna, Maria Ponikiewska. Zginęła mając 29 lat. Fot. Archiwum rodzinne.

Rosjanie pewnie nie strzelali celowo w cywilów tylko w dworzec, ale wiemy, że losem cywilów przejmowali się podobnie jak Niemcy. Losem Polaków ogólnie też. Gdy żołnierze Berlinga robili desant przez Wisłę na Czerniaków, by pomóc powstaniu, sowiecka artyleria strzelała w nich, a nie w Niemców na brzegu Wisły.



Myślę, że po tym wspomnieniu już każdy czytelnik rozumie, dlaczego dla Warszawiaków, mimo upływu lat, tak ważne było powstanie. Podobne dramaty przeżyła tu niemal każda rodzina.

Ale wracajmy na Spasowskiego 7A. W dużym pokoju, w którym odbywało się całe życie rodzinne, stało radio Tesla. Miało kształt sześcianu i z przodu okrągłą tarczę ze wskazówką. Na tej tarczy wypisane miasta: Warszawa, Paryż, Moskwa, Wiedeń... Gałką pokręciłem ustawiało się wskazówkę na właściwym mieście i odbierało się program. Później to małe radio zostało zastąpione wielkim polskim odbiornikiem, który na dole miał skalę, a w górnej części pośrodku „oko magiczne”. To „oko” świeciło i mrugało na zielono, lub niebiesko. Lubiłem zaglądać do tego radia od tyłu, bo tam była cała elektroniczna „fabryka”: wielki obrotowy kondensator i lampy, diody i triody.

Podwórka na Spasowskiego były małe i nudne, bo prawie zawsze nikogo na nich nie było. Całe dziecięce życie towarzyskie toczyło się na ulicy i na skwerku między jezdniami Wybrzeża Kościuszkowskiego. Nie było to wcale niebezpieczne, bo ruch samochodowy był niemal żaden. Jeśli coś jeździło, to raczej Dobrą i Solcem po bruku typu kocie łby. Samochodów było z resztą mało i jeździły wolno. Nie miały rozrusznika i odpalano je korbą. Pamiętam też, że miały kierunkowskazy na takich wychylających się jak semafor rączkach z lampką na końcu.

Zacząłem chodzić do przedszkola na Drewnianą. W przedszkolu dawano nam tran, bo panowała istna epidemia krzywicy wynikająca ze złego żywienia. Wszystkie dzieci ustawiały się w kolejce do Pani, która dawała każdemu dziecku łyżkę tranu, oczywiście wszystkim tą samą łyżką, której nawet nikt po poprzedniku nie płukał. To w ramach higieny. Pewnego dnia moja mama jako lekarz pediatra interweniowała w sprawie tej łyżki i od tej pory każde dziecko miało już swoją łyżkę.

Tran był okropny w smaku i wszystkie dzieci chciały się od niego wymigać. Później powstał taki dowcip:

*Przychodzi mały chłopczyk do apteki i pyta:*

*- Czy to pan sprzedaje tran?*

*- Tak, ja.*

*- To pan jest świnia!*

Poza tranem zmorą przedszkola było leżakowanie. Z kim nie rozmawiam, z mojego pokolenia, to wszyscy fatalnie wspominają leżakowanie. To zrozumiałe. Wyobraźcie sobie, że gromada rozbawionych i rozbrykanych dzieciaków nagle, na sygnał, ma leżakować, to znaczy cicho leżeć przez godzinę i udawać, że śpi. Nikt by tego nie lubił.



Maria Żaczkowska, babcia Benia. Fot. Archiwum rodzinne.

Do przedszkola, a później do pierwszej klasy podstawówki na Dobrej, róg Drewnianej, odprowadzała mnie babcia Benia. Babcia miała naprawdę na imię Maria, ale wszyscy mówili Benia. Dziadek żartował zadając pytanie: Jak ma Benia na imię? Dziadka poznałem niestety dopiero gdy byłem w drugiej klasie, bo siedział w bierutowskim więzieniu, ale to osobny temat, do którego jeszcze wrócę.

Gdy zacząłem chodzić do drugiej klasy, babcia już mnie nie odprowadzała, bo rodzina uznała, że tą niewielką odległość Spasowskiego – Tamka – Dobra mogę przejść sam. Pewnego dnia poprosiłem mamę o kilka złotych, „bo w sklepie filatelistycznym na Świętokrzyskiej są takie znaczki trójkąty” (w międzyczasie zacząłem zbierać znaczki). Rodzina wpadła w panikę, bo zauważyła, że ja z tej prostej drogi do i ze szkoły nieźle zbaczam. Czytelnikom spoza Warszawy objaśnię, że zbaczałem o jakieś półtora kilometra do ruchliwego Śródmieścia.



Dziadek, Leonard Wawrzyniec Żaczkowski. płk. „Leonard”. Zdjęcie z lat 60. Fot. Archiwum rodzinne.

Ta droga do szkoły z perspektywy dziecka (rodzice rzadko rozumieją perspektywę dziecka) wcale nie była taka bezpieczna, bo na końcu Spasowskiego, tuż przy Tamce stały Paluchy. Paluchy to była niezła żulia, pięciu braci w różnym wieku, synowie świadków Jehowy, którzy czatowali na okazję, by komuś dokopać, albo zabrać kieszonkowe.

Zupełnie jak w dużo późniejszej piosence:

*„Ze szkoły idzie chłopie, gapi się, no to mu dokopiem, niech wie”.*

W budynku na rogu Dobrej i Drewnianej mieściły się dwie podstawówki. Jedna nazywała się „na Dobrej” a druga „na Drewnianej”, choć obie były w tym samym miejscu. Korytarze, po których biegało się na przerwach były wspólne.

W szkole byliśmy ubrani w granatowe fartuszki, chyba z satyny (nie znam się na materiałach) z białymi kołnierzykami. Dziewczynki miały do tego spódniczki, a chłopcy spodnie. Mieliśmy tekturowe tornistry i worki na kaptcie. Na lewym ramieniu przyszytą niebieską tarczę szkolną z numerem 27 (numer szkoły). W klasie stały drewniane ławki z pochyłymi blatami i otworami na kałamarz. Pisało się atramentem w zeszycie stalówką na drewnianej obsadce.



Ja w szkole podstawowej. Fot. Archiwum rodzinne.



Moja klasa w podstawówce. Niestety nie wiem, czy to pierwsza klasa, czy druga. Z mojego archiwum.

Gdy byłem w drugiej lub trzeciej klasie pojawiły się pierwsze długopisy nazywane „piórami kulkowymi”. Zabraniano nam ich używać, bo ponoć deformowały pismo i wykoślawiały ręce. Szkoła zresztą zwalczała nowoczesność jak mogła. Pamiętam koszmarną awanturę, gdy w trzeciej czy czwartej klasie jedna z dziewczynek przysłała do szkoły w czerwonych pończochach.

Tu troszeczkę przeskoczę w czasie. Gdy miałem jakieś 12 lat odwiedził nas kolega ojca mieszkający w USA Ryszard Mor, Żyd, którego ojciec z kolegami z Częstochowy ukrywał podczas niemieckiej okupacji. Podarował mnie i Magdzie wieczne pióra, które były śliczne. Przez obudowę z przezroczystego kolorowego plastiku widać było cały mechanizm wiecznego pióra, zbiorniczek z atramentem, tłoczek itd. Moje pióro było zielone, a Magdy pomarańczowe. Moje pióro było tak śliczne, że je starannie schowałem, by nie zginęło. Szukałem go później całe lata. Znalazłem, gdy byłem już dorosły i wieczne pióro nie było już żadną atrakcją. To się nazywa dobrze schować.

Ale wracajmy do podstawówki. Po kilku latach szkoła została przeniesiona na ulicę Karową, później dodano do niej liceum, a podstawówkę zlikwidowano metodą nie rekrutowania do niej kolejnych klas. I w ten oto sposób powstało Liceum Ogólnokształcące nr. 27 im. Tadeusza Czackiego, czyli „Twenty Seven Bloody

Czacki School”, jak je później nazywali uczniowie. Ale to osobny temat, do którego powrócę.



Magda, moja siostra jako dziecko. Rok zrobienia zdjęcia nieznan. Fot. Archiwum rodzinne.

Gdy miałem 12 lat i chodziłem do szóstej klasy przeprowadziliśmy się na ulicę Miodową nr 20. Mieszkanie na pierwszym piętrze, duże, prawie 100 metrów kwadratowych, wysokie na 3,30 metra. Trzy pokoje i kuchnia. Na Miodowej było już duże (aż za duże) podwórko, z trzepakiem, piaskownicą i boiskiem do gry w piłkę. Boisko należało do dwóch szkół: Szkoły Muzycznej i Technikum Techniki Teatralnej, z którymi dzieliliśmy podwórko, a właściwie otwartą przestrzeń między budynkami przy Miodowej i przy Podwału. Znaczną część tego podwórka stanowiły najbardziej zabawowe obszary, czyli gruzi (a było już 15 lat po wojnie). No i była tu spora gromada dzieciaków z okolicznych domów.

### **Gry i zabawy dziecka polskiego**

Gdy rozmawiam z dzisiejszą młodzieżą, często spotykam się z uwagami, że nasze życie, bez Internetu, telewizji, telefonów komórkowych i nawet video, musiało być strasznie nudne. Ależ skąd! Nasze życie było ciekawe, tylko zupełnie inne.

Co robiliśmy, jakie były nasze zabawy? Zaczniemy od gier zbiorowych. Gra w piłkę nożną była oczywista, ale dotyczyła niemal wyłącznie chłopaków. Kobiecej

piłki jeszcze nie wymyślono, choć zdarzało się, że grały z nami nieliczne dziewczyny. Graliśmy jeszcze w siatkówkę, często bez siatki, np. przez trzepak. Ale to wszystko sport.

Podstawą zabawą była gra w chowanego i w podchody, no i w berka. Do gier zespołowych trzeba było zebrać grupę kilkorga dzieci. A robiło to się tak: układało się lewą dłoń „w budkę” i wołało:

*- Kto się bawi palec pod budkę, bo za minutkę zamykam budkę!*

Następnie trzeba było wybrać pierwszego kryjącego za pomocą wyliczanki. Wyliczanek było kilka, ale dwie podstawowe.

Dziewczyńska:

*- Trąpf, trąpf, Misia Bela, Misia Kasia komfacela, Misia A, Misia Be, Misia Kasia kom-fa-ce!*

Albo chłopacka:

*- Ene due, rike fake, torba borba, ósme smake, eus dus, kosmateus i morele baks!*

Nawiasem mówiąc do dziś nie wiem co to jest „komfacela” albo „kosmateus”, nie mówiąc już o „trąpf” albo „rike fake”.

Wybrany za pomocą wyliczanki pierwszy kryjący odwracał się twarzą do ściany, lub do drzewa i udawał, że nie patrzy, a pozostali starali się gdzieś schować. Kryjący liczył do dziesięciu i mówił wierszyk:

*- Palka zapalka dwa kije, kto się nie schował ten kryje!*

Czasami dodając:

*- Kto złapany, ten zaklepany! Szukam!!!*

Kryjący zaczynał szukać, a schowani czatowali na moment, by puścić się biegiem i wcześniej od kryjącego dopaść jego kryjówki i krzyknąć: Wygrałem! (albo: zaklepane!).

Z wyliczanką spotkałem się później także w dorosłym życiu, gdy mój nie żyjący już kolega taternik (niezły taternik) Sławek Andrzejewski pseudonim „Demezon” miał wyliczankę do wbijania haków (z każdym przecinkiem uderzenie młotka):

*- Ojciec Migdał, Migdał, Migdał, dał mi w migdał, żebyśmy krzyk dał, i ja będę, taki, sam, kogo dorwę, te, mu, dam!*

I hak był wbity, Oczywiście to były żarty, co zaznaczam, bo w tym środowisku jest spora grupa ludzi bez poczucia humoru i z dużymi gruczołami jadowymi.

Wyliczanki służyły też do wielu innych celów. Była też i taka:

*- Siedzi baba  
na cmentarzu,  
trzyma nogi  
w kałamarzu,  
przyszedł duch,  
babę w brzuch,  
baba fik,  
a duch znikł.*

Było to używane jako wyliczanka albo dziecięcy wierszyk bez sensu. Wierszyków bez sensu było więcej. Na przykład taki:

*Weź muchi w paluchi  
i połóż na blachi,  
a będą wybuchi  
aż po same dachi!*

No to przejdźmy do gier w podgrupach. Podstawowa to gra w cymbergaja. Na blacie stolika robiło się na końcach po dwie kreski oznaczające bramki. Dwie większe monety zastępowały piłkarzy, a mniejsza piłkę. Piłkarzy przesuwano się za pomocą prztyknięć grzebieniami. Była to właściwie symulacja gry w piłkę nożną. Szkoła straszne cymbergaja zwalczała, do dziś nie wiem, dlaczego.

Wśród dziewczynek najpopularniejsza by gra w klasy, a wśród chłopców w pikuty. W pikuty grało się nożem i generalnie chodziło o jego wbijanie w ziemię w dość wymyślny sposób. Najprościej po prostu rzucało się nożem z ręki trzymając go za ostrze, ale później z przyłożenia ostrza noża do brody, nosa lub czoła, z obrotem, z dwoma obrotami itd. Nożem też grało się w państwa. Najpierw rysowało się na ziemi wielki kwadrat, a później rzucało się nożem w ziemię, tak, by się wbił. Później trzeba było, nie przekręcając noża, zaznaczyć nim jak największe terytorium, oczywiście nie wstając i nie ruszając się z miejsca. To było moje państwo. Inni koledzy zaznaczali swoje państwa. W drugiej rundzie można było uklęknąć w swoim państwie, wbić znowu nóż i zaznaczyć kolejną część terytorium. Można było przy tym zająć część terytorium konkurenta. Wygrywał ten, który ostatecznie zajął całą powierzchnię kwadratu.





Hacele do podków końskich i do gry w ciupę. Fot. Archiwum Allegro.

Kolejną grą była gra w ciupę. W ciupę grało się hacelami, takimi wkrętami do końskich podków, których dolny koniec był wykuty w kształt litery H. Hacele zasadniczo służyły do tego, by konie nie ślizgały się po oblodzonej jezdni. Gra polegała na tym, że podrzucało się jeden z haceli i zaczyn upadł zgarniało jak najwięcej haceli kolegów. Wygrywał ten, kto na końcu miał ich najwięcej lub nawet wszystkie.

Popularna była gra w Zoškę. Zoška to był kłębek wełny obciążony w środku ołowianym ciężarkiem. Te ciężarki brało się z kiełbasy. Kielbasa sprzedawana w państwowych sklepach była z dwóch stron plombowana (by ktoś sobie nieco nie uciał) taką ołowianą plombą i ta plomba służyła za ciężarek do Zoški. Zoškę podbijało się nogami, jak najwięcej razy, ale nie wolno było dotknąć jej ręką. Powiem ciekawostkę, że do dziś jest to bardzo popularna gra w Chinach (skąd pochodzi) i nawet odbywają się w tej grze zawody.

Biegaliśmy też za kółkiem, co szkoła z niezrozumiałych powodów potępiała. Gdy nauczycielka chciała powiedzieć, że ten chłopiec to jest z szemranej rodziny, mówiła: On biega za kółkiem. A to była zupełnie niewinna zabawa. Za pomocą zgiętego pogrzebacza albo wygiętego drutu, toczyliśmy przed sobą kółko. Najlepiej dużą fajerkę albo kółko od roweru bez opony. Oczywiście fajerka toczona po bruku robiła spory hałas i to mogło komuś przeszkadzać, ale nie tak, jak dziś disco polo z otwartych okien sąsiada.

Na podwórku miejscem zbiórki dzieciaków był trzepak, który sam w sobie był gimnastyczną atrakcją. Na dolnym poziomie trzepaka się siedziało, a na górnym robiło wymyki. Ponieważ dziewczynki, które bardziej okupowały trzepak niż chłopaki, nie chodziły w spodniach tylko w spódniczkach lub sukienkach, na trzepaku za sprawą wymyków odbywała się wystawa majtek, co na dobrą sprawę nikomu nie przeszkadzało. Zasadniczo trzepak służył do trzepania dywanów z kurzu, ale częściej służył do wymyków nazywanych fikołkami.



Moja mama, Danuta Łozińska, w fartuchu lekarskim. Fot. archiwum rodzinne.

Były jeszcze gry towarzyskie w domu, w których brali udział także rodzice, a dwie podstawowe: w pchełki i w bierki. Z grą w pchełki mam związane pewne wspomnienie. Do mojej mamy, lekarza pediatry, zadzwoniła kiedyś zdenerwowane pacjentka:

- *Pani doktor, dziecko zjadło matkę, co mu będzie?*
- *Dziecku nic, ale co z matką?* – odparła mama myśląc, że to żart.

Szybko okazało się jednak, że sprawa jest poważna, bo dziecko połknęło dużą pchełkę potocznie nazywaną matką (plastikowy krążek o średnicy ok. 2,5 cm). Skończyło się w szpitalu interwencją chirurgiczną.

Tych wszystkich gier i zabaw było dużo więcej, ale nie sposób pisać encyklopedii. Wspomnę jeszcze dwie gry późniejsze, już na etapie liceum: w Wyścig Pokoju i w parapatówkę. W Wyścig Pokoju grało się kapslami obciążonymi plasteliną. Każdy miał swój kapsel-zawodnika. Pstrykało się w te kapsle grzebieniami i to był prawdziwy wyścig do mety. W parapatówce kładło się monetę na krawędzi parapetu i pstryknięciem palca wyrzucało się ją tak, by nakryć inną monetę. Gdy nie trafiłem, moja moneta zostawała na parapecie i powiększała pulę.

Uzupełnieniem tego były normalne gry w warcaby i w szachy. Ale gdy chodziło się do nieco starszej klasy, osobliwym zjawiskiem było czytanie książek przy latarce, pod kołdrą. Bo my prozę młodzieży dzisiejszej czytaliśmy książki. Książki to był nasz zaczarowany świat, świat wielkiej wyobraźni, podróży, przygód. Ponieważ rodzice wieczorem pilnowali, byśmy poszli spać i gasili światło, czytaliśmy dalej pod kołdrą. To czytanie książek niektórym z nas do dziś zostało, tacy jesteśmy dziwni, my dziś stare dziadki pokolenia młodości w latach pięćdziesiątych.

Pewien młody człowiek spytał mnie niedawno: O co chodzi z tymi żołnierzami? Było to nawiązanie do satyrycznego wierszyka o Kaczyńskim Jarosławie, który w stanie wojennym nic nie robił, tylko siedział u mamy w szafie. Jest tam fraza:

*On w szafie siedział, bibułę czytał,  
na generała zębami zgrzytał.*

...

*Ćwiczył strategię i zwierał szyki.  
Mama zabrała mu żołnierzyki.*

No właśnie żołnierzyki. Młody człowiek nie zna ołowianych żołnierzów, a to była najlepsza chłopacka zabawa dzieciństwa. Ołowiane żołnierzyki, z których ustawialiśmy całe armie i toczyliśmy bitwy na podłodze. Była piechota, kawaleria, husaria, nawet Indianie w pióropuszcach... Żołnierzyki były z ołowiu, ale malowaliśmy je farbami, trochę z pomocą rodziców. Każdy z nas miał całą kolekcję żołnierzów.

Tak więc nasze życie wcale nie było nudne i myślę, że bardziej aktywne i twórcze niż bezmyślne tkwienie godzinami przed telewizorem, oglądanie reklam i seriali głębszych niż ustawa przewiduje, albo nieustanne prycianie w smartfonie

z hierarchią: Wiola jest lepsza od Marioli, bo Wiola prycia w iphonie, a Mariola w smartfonie.



Ołowiane żołnierzyki. Fot. Archiwum Allegro.

Oczywiście teraz smartfony lub iphony kupuje tata na komunię, a ostatnio tata na komunię kupuje kłada, albo komputer. Za moich czasów na komunię nie kupowało się dziecku nic (ja zresztą na komunii nie byłem, bo już się buntowałem), była natomiast prześmiewcza śpiewka:

*Tata kupi mi auto,  
Nie Fita nie BMW.  
Tata kupi mi grata,  
Mikrusa lub DKW.*

Ale w tamtych czasach nawet „dekawka” był luksusem. Dla większości Warszawiaków środkiem lokomocji były buty lub tramwaj.

Tu mała dygresja do czasów dzisiejszych.

Muszę jeszcze wspomnieć o jednej dziecięcej zabawie, która paradoksalnie przydała mi się niedawno. Była to gra w pomidora. Uczestnik gry musiał na wszystkie pytania odpowiadać „pomidor”, a inni próbowali go rozśmieszyć, zdekoncentrować lub sprowokować do powiedzenia czego innego. Gdy niedawno jako już stary człowiek po siedemdziesiątce zacząłem dostawać natarczywe telefony od handlowców próbujących mi wcisnąć zaproszenie na pokaz garnków lub zakup czegoś, co wcale nie było mi potrzebne, zacząłem odpowiadać „pomidor”. Najpierw napuszczali kolegów, by zadzwonili i sprawdzili, czy powiem „pomidor”, ale później pojawiła się sztuczna inteligencja albo jej brak. I było coraz weselej.

Dzwoni do mnie maszyna, czyli sztuczna inteligencja, a ja mówię „pomidor”.

- *Przepraszam, nie dosłyszałem albo źle zrozumiałem – mówi maszyna.*
- *Pomidor – ja na to.*
- *Przepraszam, nie dosłyszałem albo źle zrozumiałem.*
- *Pomidor.*

I tak kilka razy.

Po pewnym czasie ktoś maszynę nauczył.

- *Pomidor – mówię.*
- *Proszę nie mówić pomidor, bo to niegrzecznie.*
- *Ogórek – mówię.*
- *Przepraszam, nie dosłyszałem albo źle zrozumiałem – maszyna*
- *Ogórek.*
- *Przepraszam, nie dosłyszałem albo źle zrozumiałem.*

I tak zabawa trwa dalej.

Ale ja zacząłem mieć nowe pomysły. Rodzina słysząc te rozmowy pękała ze śmiechu. Zacząłem mówić:

- *Pomyłka, tu w ogóle nie ma telefonu.*

Aż zadzwoniła jakaś pani wyjątkowo natrętna. Nie dawała się zbyć. W końcu wpadłem na pomysł:

- *Przepraszam, ale jak pani do mnie dzwoni?*

- *Jak to jak? Normalnie.*
- *Ale ja nie mam telefonu.*
- *To jak ja do pana dzwonię?*
- *Nie wiem, to pani dzwoni a ja nie mam telefonu.*
- *To do czego ja się dodzwoniłam?*
- *Do tabletu.*
- *A z jakiej sieci ten tablet?*
- *Biedronka.*
- *Jak to?*
- *Normalnie, byłem w Biedronce, kupiłem tablet, a pani zadzwoniła.*

Dopiero teraz zrozumiała, że ciągle gram w pomidora. Tak więc gry z dzieciństwa czasem się i później przydają.

Ale wracajmy do starych lat.

Jeszcze w podstawówce zostałem skutecznie wyleczony z religii. Rodzice zapisali mnie na lekcje religii przy kościele na Tamce. Pewnego dnia zadałem księdzu pytanie wynikające z niezrozumienia i ciekawości dziecka:

*- Proszę księdza, ksiądz mówi, że jest Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch Święty. To kto to jest „bozia”?*

Pytanie wynikało z tego, że ksiądz kazał nam modlić się do „bozi”, a „bozi” w tym spisie nie było. W rezultacie dostałem od księdza dziesięć uderzeń drewnianą linijką po łapach. Tak się skończyła moja wiara w „bożię” i do dziś tak zostało. Dobrze, że nie spytałem kto to jest Baranek Boży, bo oberwałby jeszcze bardziej.

Na koniec wspomnienia mieszkania na Spasowskiego muszę opisać ciekawy incydent. Tak się składało, że niemal cała rodzina podczas wojny i okupacji była zaangażowana w niepodległościową konspirację. Ta konspiracja, podziemny PPS i Armia Krajowa, bardzo nie podobały się przywiezionej z Moskwy nowej władzy. Dziadek Leonard, Żaczkowski, płk. „Leonard”, a za razem członek zarządu krajowego podziemnego PPS siedział w więzieniu. Oboje rodzice jako AK-owcy byli ciągle dręczeni jakimiś represjami. Władza chyba podejrzewała, że coś knują, bo ciągle zdarzały się jakieś dziwne incydenty. Na przykład co jakiś czas, jakiś dziwny pan stał na klatce schodowej pod naszymi drzwiami i „czytał gazetę” (prawie po ciemku). Albo odbywały się dziwne przeszukania. Przyszli UB-cy i zażądali od mamy wskazania, które szuflady biurka są dziadka, a które jej. Po tym zajrzeli do „szuflad dziadka” i poszli. Dziś wiem, że nie była to prawdziwa inwigilacja, bo nikt jej tak nie

robi, tylko nękanie, utrzymywanie poczucia ciągłego zagrożenia. No i (jak ja to znam) ciągle wypowiadanie pracy, przez co rodzice pracowali co raz to gdzie indziej.

W tej atmosferze wydarzył się przedziwny incydent. Pewnego dnia do drzwi zapukało dwóch panów, ale wcale nie wyglądających na „smutnych i cichych”. Powiedzieli wprost:

- *Panie Jerzy, pani Danuto, wiemy kim jesteście.*

Mama zrobiła wielkie oczy, a oni na to:

- *Pani porucznik „Danusiu”, my tu mamy coś chowanego, tu w dużym pokoju.*

Rodzice zrobili jeszcze większe oczy, a oni sprawnie otworzyli skrytkę w podłodze i wyjęli z niej kilka dużych paczek.

- *Archiwum sądów podziemnych* – wyjaśnił cicho jeden z nich – *Panie Jerzy, przecież pan wie coś o tym.*

Ojciec nie odezwał się ani słowem.

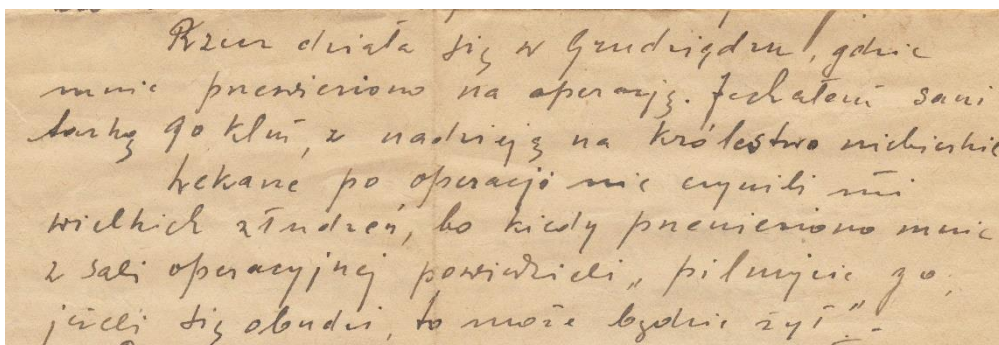
To mgliste wspomnienie z dzieciństwa przez wiele lat było dla mnie niezrozumiałe. Dopiero gdy, już jako mocno dorosły człowiek, przypadkowo, szukając w zasobach IPN materiałów o mnie, natknąłem się na ślad mojego ojca. Nie dziwię się, że nic nie mówił o tym, co robił podczas okupacji. Wykonywał wyroki sądów państwa podziemnego na esesmanach, szmalcownikach, kolaborantach. Ja też bym takiej roboty nie wspominał (strzelanie z bliska komuś w głowę). Większość jego znajomych i nawet rodzina, była przekonana, że nic nie robił, bo ojciec po prostu nic nie mówił.

## **Miodowa 20**

Gdy miałem dwanaście lat, czyli w 1958 roku, przeprowadziliśmy się na ulicę Miodową na Starym Mieście. Jak to się stało?

Mój dziadek, Leonard Wawrzyniec Żaczkowski, od 1948 roku (jeszcze przed moim urodzeniem) siedział w stalinowskim więzieniu pod absurdalnymi zarzutami: „na Placu Teatralnym strzelał do komunistów” i „smarował szyny dla niemieckich transportów jadących na front wschodni”. Był skazany na 9 lat więzienia (prokurator domagał się trzech kar śmierci). Oczywiście nie o to chodziło, tylko o to, że był

pułkownikiem Armii Krajowej i dowódcą jednej formacji policyjnych powstania warszawskiego.



Fragment listu dziadka Żaczkowskiego do siostry napisanego tuż przed zwolnieniem z więzienia, w którym opisuje, jak potraktowano go w więziennym szpitalu po operacji. Lekarze powiedzieli do strażników: „Pilnujcie go, bo jak się obudzi, to może będzie żył”. Archiwum rodzinne.

W 1956 roku, po gomułkowskiej odwilży, został z więzienia zwolniony i początkowo mieszkał z nami. To tak naprawdę było jego i babci Beni mieszkanie. W jakiś nie jasny dla mnie sposób, może jako rekompensatę za więzienie, dostał niewielkie mieszkanie na Polnej. Później, w 1960 roku, rodzina dokonała zamiany dwóch mieszkań, na Spasowskiego i na Polnej, na jedno większe na Miodowej. Wcześniej w 1959 roku, zmarła babcia Benia i dziadek został sam. Przez jakiś czas mieszkał jeszcze z nami na Miodowej, ale nie był z tego specjalnie zadowolony. Później ożenił się po raz drugi panią Wandą i wyprowadził się do niej. Moja mama nigdy nie zaakceptowała tego związku, a przecież było to dla niego najlepsze, co mogło być. Cóż na początku lat 60-tych obyczaje i emocje nie były takie jak teraz.

Mieszkanie na Miodowej, w porównaniu ze Spasowskiego, było piękne. Prawie sto metrów kwadratowych, wysokość pokoi 3,30 metra. Tę wysokość wymuszała elewacja, która musiała odtwarzać, a właściwie udawać, przedwojenny dom Wedla, zabytek. W rzeczywistości wewnątrz domu było zupełnie inne niż przed wojną. Ten zabytek zbudowano na początku lat 50. od nowa, starając się zachować z „zabytku” tylko elewację od strony ulicy. Mieszkanie na pierwszym piętrze miało trzy duże pokoje i kuchnię. Największy pokój, 32 metry kwadratowe, łączył się z drugim dużym pokojem szerokimi składanymi z trzech części drzwiami. W sumie po otwarciu tych drzwi uzyskiwało się wielką przestrzeń prawie 50 metrów.

W mieszkaniu początkowo były jeszcze piece, ale kuchnia już była gazowa, a w łazience wodę podgrzewał piecyk gazowy Junkers. Jak na tamte czasy to był niemal luksus.





Mieszkanie na Miodowej. Zdjęcie dużo później, z 2008 roku. Fot. Krzysztof Łoziński.

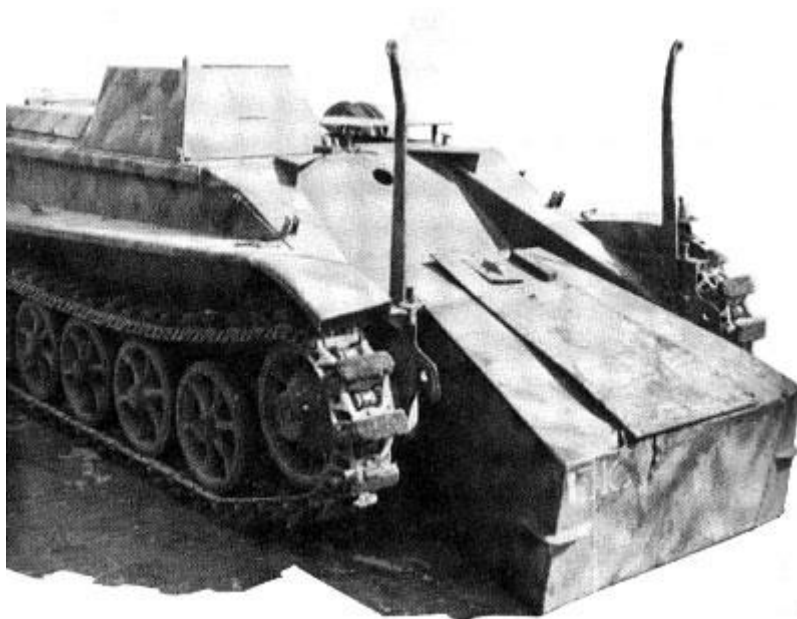
Dla mnie jako dwunastolatka największą radochą było podwórko. Ogromne, bo nie odgródzone od podwórek sąsiednich domów, boiska dwóch szkół (Muzycznej i Technikum Techniki Teatralnej) oraz sporego obszaru gruzów między Miodową i Podwalem. Dla nas dzieciaków najciekawsze były właśnie gruzy, z których wykopywało się skarby i w którzy budowało się różne kryjówki, nazywane przez nas „bunkrami”.

Skarby to była wykopywana z gruzów po powstaniu broń. Broń oczywiście zardzewiała i niesprawną, najczęściej też niekompletną. Każdy chłopak miał jakiegoś „gnata”, który służył do zabawy i był skarbem. Ja nawet mając kilkanaście lat zamieniłem z którymś z kolegów całkiem dobry aparat fotograficzny Alfa na zardzewiałą i niesprawną rewolwer Nagan. Do dziś nie wiem po co. Moi rodzice byli pod wpływem przeżytej wojny całkowitymi pacyfistami. Po prostu wojna była dla nich bytem realnym i strasznym, a nie abstrakcją z wyobrażeń filmowych. Moja fascynacja bronią bardzo ich martwiła i dbali o to, bym nie miał militarnych zabawek. W końcu jednak doszli do wniosku, że ich pacyfizm działa na mnie odwrotnie i kupili mi Colta zabawkę na kapiszony.

Oczywiście ciągle bawiliśmy się w wojnę. Ci, którzy nie mieli żadnej broni, choćby kapiszonowej, biegali z kawałkiem patyka i wołali: ta, ta, ta... symulując strzały z broni maszynowej. Chyba musieliśmy po prostu przerobić ten temat, bo o ile wiem, nikt z nas militarystą w życiu dorosłym nie został.

Interesującym obiektem naszych zabaw był pusty, mocno uszkodzony, budynek przy Kilińskiego. Część jego była całkiem zburzona, ale została jedna klatka schodowa i trzy piętra pustych mieszkań. Z tym budynkiem wiązała się legenda „czołgu pułapki”, którego eksplozja miała jego część zawalić. Legenda z powstania głosiła, że Niemcy porzucili czołg, który powstańcy zdobyli i wprowadzili za barykady na Podwale. Gdy zebrali się wokół niego ludzie, czołg eksplodował zabijając ponad 300 osób.

Ta legenda zawiera część prawdy, bo rzeczywiście 13 sierpnia 1944 roku na skutek eksplozji, na styku ulic Kilińskiego i Podwala, zginęło bardzo wielu ludzi. Po latach historycy ustalili, co to było. Pojazd opancerzony, który zdobyli powstańcy nie był czołgiem. Był to opancerzony stawiacz min Sd.Kfz. 301 Borgward IV. Był to nieuzbrojony transporter obsługiwany przez dwóch żołnierzy, który miał podjechać pod barykadę i wyrzucić z pojemnika na przodzie potężną minę. Mina miała wybuchnąć po kilku minutach. Ponieważ coś się zacięło, mina nie wypadła, gdzie trzeba i załoga uciekła.



Stawiacz min Sd.Kfz. 301 Borgward IV. Skrzynia z przodu zawierała potężną minę, która nieopatrznie uruchomili powstańcy.



Zniszczony wybuchem stawiacz min, którego mina eksplodowała na skrzyżowaniu ulic Podwale i Kilińskiego.

Wśród powstańców i ludności Starówki zapanował entuzjazm: zdobyliśmyczołg! Nikt jakoś nie zwrócił uwagi, że jakiś dziwny ten „czołg”. Mały, nie uzbrojony nawet w karabin maszynowy, bez wieży. Ludzie z zachwytem przeprowadzali „czołg” z polskim sztandarem po całej Starówce. W końcu na noc zaparkowano go znowu przy zbiegu Podwala i Kilińskiego. Rano znów zaczęto przy nim majstrować i nagle otworzyła się kłapa z przodu. Wypadła z niej „jakaś skrzynia”. Ludzie nieświadomi tego, że jest to mina, w której właśnie uruchomił się zapalnik czasowy, próbowali rękami umieścić ją na miejscu.

Wtedy nastąpiła eksplozja potężnego ładunku. Zginęło ponad trzysta osób i zawałiła się część elewacji budynku przy Kilińskiego. Tego budynku, w którym później bawiliśmy się my, dzieci z Miodowej i Powala, nieświadome tego, skąd się ta ruina wzięła. Legenda „czołgu pułapki” żyła długo. Została nawet zapisana na tablicy pamiątkowej przy Kilińskiego.

Ten budynek nie był jedynym śladem wojny z mojego dzieciństwa. Wojna skończyła się dawno, ale jej ślady ciągle były blisko, tuż obok. W czasie powstania w Kościele Garnizonowym na Długiej był powstańczy szpital. Po kapitulacji Starówki zostali w nim ranni i pielęgniarki. Wpadli oprawcy z SS RONA. Zgwałcili i zamordowali pielęgniarki, a później zamordowali wszystkich rannych. W fundamencie kościoła była dziura, przez którą dzieci dostawały się do podziemi kościoła. Te dzieci, z mojego i młodszego pokolenia, wnosily z tych podziemi

ludzkie czaszki. Przynoszono je nawet do szkoły. To była typowa dla dzieci bezmyślność. Tak samo jak fascynacja niewypałami.

Wróćmy jeszcze do tej zbrodni. Powstańcy i cywile błędnie nazywali oprychów z SS RONA „Ukraińcami”. Tym czasem byli to Rosjanie. Nazwa RONA to skrót od *Ruskaja Oswoboźdiennaja Narodnaja Armia* (*Rosyjska Armia Narodowo Wyzwoleńcza*). Była to zbieranina najgorszej sowieckiej szumowiny. Dowódcą był Polak, Bronisław Kamiński. SS RONA najpierw brała udział w masakrze ludności Ochoty. Później, już po powstaniu, została całkowicie rozbita przez partyzantów AK w bitwie pod Truskawiem. Kamińskiego rozstrzelali Niemcy.

Byliśmy po trosze dziećmi wojny, której już nie było. Jednym z jej skutków był fascynacja niewypałami. Niewypały znajdowaliśmy wszędzie, w gruzach, a w okresie już licealnym, na bunkrach w Czosnowie, gdzie jeździliśmy się wspinać. To jakiś cud, że przy szczeniackim rozbrajaniu niewypałów nikt z nas się nie zabił. Sam pamiętam, jak piłowałem granat moździerzowy na pół, piłką do metalu, bo koniecznie chciałem wyjąć z niego trotyl. Na jaką cholere był mi ten trotyl do dziś nie wiem. Dlatego dziś wiem, że nastolatek może robić najgorsze głupoty i wcale nie musi być złym człowiekiem.



Specjalny klucz do strzelania. Fot. Archiwum Allegro

Fascynowała, nas chłopaków, nie tylko broń i niewypały. Także wszelkiego rodzaju huki i wybuchy. Zaczęło się od strzelania z klucza na Wielkanoc. Ówczesne klucze były dosyć duże, a ich trzon był rurką otwartą z jednego końca. W tę rurkę upychało się „siarkę” z zapalek i zatykało gwoździem. Klucz uwiązywało się na sznurku i waliło tym gwoździem w ścianę, powodując wybuch „siarki” i spory huk. Istniał też specjalny klucz do strzelania, który naprawdę nie był kluczem, bo niczego nie otwierał (na zdjęciu). Drugim patentem była puszka po kawie Marago (lub po

czymś innym), w której dniu robiło się dziurkę. Następnie wkładało się kawałek karbidu i zalewało wodą (wystarczyło nawet napluć). Gdy zamknęliśmy wieczko, z karbidu wydzielał się acetylen. Wystarczyło do dziurki przyłożyć zapalną, by wieczko wyleciało z głośnym hukiem. Oczywiście była rywalizacja kto odpali większą puszkę, więcej karbidu i zrobi większy huk.

Później, w szkole, która była już na Karowej, nastała moda na kopcje. Robiliśmy mieszankę saletry chilijskiej (azotanu sodu), cukru pudru i sproszkowanej siarki (o ile miało się siarkę, bo nie była niezbędna). Taka mieszanka paląc się wydzielala ogromne ilości białego dymu. Tak naprawdę był to zmutowany proch dymny, w którym cukier zastępował węgiel (cukier zawiera sporo węgla).

Podkładaliśmy te kopcje w różnych miejscach, bawiąc się w ten sposób w kotka i myszkę z nauczycielami, którzy bardzo chcieli nas złapać. Uzupełnieniem tego arsenału były całkowicie legalne pistolety na kapiszony i korki (takie wybuchające korki).

Po latach jedna pani powiedziała: Ty chyba w szkole byłeś grzecznym dzieckiem. Co? Ja grzecznym dzieckiem? Szanowna Pani, ja byłem łobuziakiem.

## **Łowicz**

Dziadek Antoni Łoziński i babcia Bronisława Łozińska mieszkali w Łowiczu. Skąd się wzięli w Łowiczu nie wiem, bo dziadek pochodził z Częstochowy. Przed wojną i podczas wojny był tam dyrektorem Społem. Wiem, że po wkroczeniu wojsk sowieckich miał kłopoty, Odmówił wydania żywności z magazynów Społem sowietom, bo ludność polska nie miałaby co jeść. Ale czy to było powodem wyprowadzki do Łowicza?

Babcia Bronia (dziadek żartował, że często wołał „do broni”, bo babcia była Bronia) pochodziła z Kolbuszowej, gdzie płynęła rzeczka Nil. Dziadek żartował, że płynęła, gdy nie przechodziły kaczki, bo jak przechodziły to ten Nil zadeptały. Mawiał też, że szlachta z Kolbuszowej tak samo orała, tylko w rękawiczkach.

W Łowiczu mieszkali w kamienicy przy rynku na pierwszym piętrze w mieszkaniu po kimś niewątpliwie bogatym, bo mieszkanie było ogromne. Zajmowali tylko jego część, bo w innej części mieszkała inna rodzina. W budynku nie było wody i kanalizacji. Kibełek był w podwórku, a dziadek nosił wodę ze studni w nosidle. To urządzenie miało różne nazwy w różnych częściach Polski. Nazywało się też koromysło. Według Wikipedii: *drewniany przyrząd do noszenia ciężarów, najczęściej wiader z wodą. Ma kształt pałkowanej belki z wycięciem na szyję*

*zakładanej na ramiona. Inne spotykane nazwy: jarzemka, kluki, sądy, kule, szelki, pedy (Podlasie), szuńdy (Wielkopolska).*



Dziadek Antoni Łoziński. Na odwrocie zdjęcia zapisano „15 sierpnia”, ale zapomniano dodać którego roku. Fot. Archiwum rodzinne.

Dziadek dźwigał w tym dwa wiadra z wodą na pierwsze piętro. Ponieważ kibełek był w podwórku, w nocy załatwiał się rzecz do nocnika, który miał swoją przegródkę w szafce koło łóżka. Te szafki przyłóżkowe z Łowicza stoją do dziś w moim domu w Cybulkach, tylko nocniczków w nich nie ma.



Koromysł. Fot. Archiwum Allegro.

To był ślad zupełnie innych czasów, które w Warszawie już zanikały, ale na prowincji nadal istniały. Rynek i główne ulice Łowicza były wybrukowane kocimi łbami, a w Warszawie już niemal wszędzie był asfalt. Na rynku w Łowiczu nadal dominowały furmanki, a nie samochody.

W mieszkaniu dziadków były wspaniałe meble gdańskie. Gdy później przeprowadziliśmy ich do nas, do Warszawy, większość tych mebli musiała zostać. Oddaliśmy je do muzeum w Łowiczu. Przyczyna była prosta. Choć nasze mieszkanie na Miodowej było wysokie, 3,30 metra, to za niskie dla kredensu gdańskiego, który miał 3,50 metra wysokości. Co gorsza niektóre meble były nierozbieralne, np. okrągły stół o średnicy ponad trzy metry, który nie dawał się włożyć do naszego mieszkania żadnym otworem. Aby go wnieść, trzeba by rozkuwać ściany i to nawet na klatce schodowej. Po prostu to były meble robione na zamówienie do konkretnego lokalu, które stolarz montował już we wnętrzu i nikt nich planowało ich przeprowadzki. To wszystko było przedziwną mieszanką – koromysło, nocniki i gdańskie meble, piękne choć stare.

Do dziadków jeździliśmy w niedzielę pociągiem przez Skierniewice lub Sochaczew. W tym pociągu była atrakcja – wagon restauracyjny. Dla nas dzieci, był to wspaniały świat wagonu restauracyjnego i widoków za oknem. Skąd mieliśmy na to czas na tak krótkiej trasie? Po prostu wówczas pociągi jeździły dużo wolniej, zatrzymując się na każdej stacji.



Zdjęcie, które zrobiłem jako dziecko na rynku w Łowiczu. Małe domki, furmanki, napis na szyldzie „Radio Tesla”. Fot. Krzysztof Łoziński (lat 10).

Dziadek i babcia mieszkali przez jakiś czas u nas na Miodowej. Później przenieśli się do domu opieki Społem w Wycześniaku pod Skierniewicami. To był bardzo porządny dom. Mieli duży pokój, oboje razem, na parterze z wyjściem do ogrodu. To naprawdę nie przypominało domów opieki, jakie widywałem później, takich więzień dla starych (miech siedzą w swoich pokojach i nie wyłażą, bo przeszkadzają personelowi).

### **Dziecko wśród geniuszy**

Powiem rzecz, która może szokować. Nie ma nic gorszego dla dziecka niż wychowywać się w środowisku intelektualnej i artystycznej elity. W takim środowisku mały człowiek, a nawet młody dorosły, czuje się małeńki, jak muszelka i to muszelka niezbyt ładna. Po prostu nie pasuje do środowiska geniuszy i sław. W czasie domowych przyjęć zanego grona odbywała się licytacja, czyje dzieci są bardziej genialne. A ja czułem się przy tym jak nic nie wartą pyłek. Gdy byłem już młodym dorosłym, po studiach, słyszałem peany na cześć czyjogoś syna, który pracuje przy komputerze kierującym wszystkimi światłami na skrzyżowaniach w Nowym Jorku. Ja uważałem, że nie ma głępszej roboty, a gdy to mówiłem byłem zbiorowo piorunowany wzrokiem.



Mama z prof. Małgorzatą Serini Bulską (przy pracy naukowej). Fot. Archiwum rodzinne.



Moja mama była już profesorem medycyny, ojciec Ali, mojej ciotecznej siostry, był profesorem matematyki, a ja cóż? Świeży absolwent uniwersytetu. Moja mama, na pytanie o moje wykształcenia mawiała:

- *Skończył jakieś kursa i fika koziołki,*

„Kursa” to była Matematyka i Fizyka na Uniwersytecie Warszawskim, a „kozyłki” to czarny pas w kung fu. Mama miała w ogóle cięty język i nie zdawała sobie sprawy z tego, że nas dzieci może to boleć. Mama mówiła również, że jestem „trynknięty”.

Magda, moja siostra, określała nasze wychowanie, w którym raczej nie okazywało się uczuć, jako „zimny wychów cieląt”.

Jak wyglądało to środowisko najlepiej oddaje fragment z książki „Czas przeszły” mojej mamy opisujący pierwsze lata po wojnie:

*„Marian Bogusz, malarz po obozie, Oświęcimiu. Studiuje w Akademii Sztuk Pięknych. Tam gromadzi się środowisko artystyczne, ale nie tylko. Jest jakiś dziwny pułkownik w mundurze, ma samochód z szoferem. Ale to młody chłopak – skąd taka ranga? To szczęściarz. Dwa razy zaliczyli go do zabitych i go awansowali, to czterokrotny awans. W wojsku pomyłek nie ma, więc musi tak być. To Zbyszek Dłubak. Maluje, fotografuje i uwodzi, kogo się da. Jest i inny oficer z Armii Berlinga - Janek Zelnik z żoną Haliną. Dostali na Syberii dobrze w kość, ale o tym się jeszcze nie mówi. Przy teatrze Wojska Polskiego na placu Zwycięstwa otwarto Klub Młodych Artystów i Naukowców. Tam działa właśnie Janek Zelnik, a gromadzi się środowisko niespokojnej młodzieży.”*

To było zaraz po wojnie. Później w naszym domu bywali profesorowie medycyny Tadeusz Orłowski i Małgorzata Serini Bulska, lekarze Róża i Jan Walcowie, malarze Jacek Sienicki i Alfred Lenica. Bywał też prof. Władysław Bartoszewski. Ojciec był architektem, ale udzielał się też w Klubie Krzywego Koła i redakcji „Po Prostu”.

Cóż ja, najpierw dzieciak, a później prosty astrofizyk i matematyk zaraz po studiach – no szczeniak i już. Nie regulowałem świateł w Nowym Jorku.

Mama była niewątpliwie postacią wybitną. Zajął się zagadnieniem konfliktu serologicznego u noworodków. Opracowała metodę jego leczenia, a był to wówczas poważny problem medyczny. Zaczęła jako pierwsza w Polsce i jedna z pierwszych na świecie robić transfuzje wewnątrzmaciczne. Transfuzje krwi dziecku w brzuchu

matki. Pod rentgenem, bo USG jeszcze nie wynaleziono. Założyła pierwszy w Polsce ośrodek leczenia konfliktu serologicznego u noworodków.



Mój ojciec, Jerzy Łoziński wkrótce po wojnie. Fot. Archiwum rodzinne.

W jej naukowej pracy medycznej moje „jakieś kursa” kiedyś się jednak przydały. Na zjazdach naukowych medyków pojawił się pewien doktor S. Lekarze czuli, że to szarlatan, ale nie umieli go na tym złapać. Doktor S. wysnuł teorię „stałej K” która miała regulować wszelkie procesy serologiczne. Jego wykłady tonęły w terminologii biochemicznej i matematycznej, wobec której lekarze byli bezradni. Mama dała mi do skonsultowania jego pracę. Przyznam, że takich bzdur aż do czasu zespołu Macierewicza nie widziałem. Otóż „stała K” miała być zdefiniowana wzorem:

$$K = \frac{\text{Albumina} \times \text{Bilirubina}}{(\text{Albumina}) \times (\text{Bilirubina})} \quad x - \text{oznacza mnożenie (przypis K.Ł.)}$$

Ja od razu powiedziałem, że  $K = 1$ , bo w liczniku i w mianowniku ułamek jest to samo, a nawiasy niczego nie zmieniają.

Dalej był zwrot: „przy zmienności stałej K”. Ja na to, że stała się nie zmienia. Jak się zmienia, to nie jest stałą, tylko zmienną. A że „ $K = 1$ ” się zmienia, to już kompletna bzdura. I tak dalej. W rozumowaniu chemicznym też były brednie.

Mnożenie i dzielenie przez siebie związków chemicznych, to absurd kosmiczny. Ale ja byłem tylko młodym absolwentem matematyki i fizyki, więc żaden autorytet. Mama poprosiła o oficjalną konsultację doktora biochemii, a on napisał to samo, co ja mówiłem. Jego ekspertyza była dla doktora S. miążdżąca. W ten sposób moje „jakieś kursa” jednak się przydały.



Portret Jerzego Łozińskiego. Rys. Marian Bogusz. Pamiętam, jak powstawał ten portret. Ktoś zażartował, że Bogusz jako malarz abstrakcjonista pewnie tak maluje, bo nie umie rysować. Marian wziął blok i w kilka minut narysował portret mojego ojca. Oryginał wisi oprawiony mnie na ścianie. Karton początkowo był biały, ale pożółkł z czasem od światła.

Cięty język mojej mamy był przedmiotem wielu anegdot. W latach 50. władza wprowadziła kursy marksizmu dla lekarzy. Jeden z takich lektorów tłumaczył zgromadzonym na sali lekarzom, że nieba i piekła nie ma. Mama na to:

- *A ja wierzę w piekło.*  
- *Ależ pani doktor, jak pani wyobraża sobie piekło?*  
- *Siedzę na krześle w pustym pokoju bez okien i czytam „Krótki kurs historii WKPB”.*

„Krótki kurs historii WKPB” (Wielkiej Komunistycznej Partii Bolszewików) był wówczas obowiązkowy na wszelkich studiach (także doktoranckich). Były też pytania kontrolne. Na przykład:

- *Jaki był koniec Wrangla?*  
Odpowiedź prawidłowa: *„Taki był koniec Wrangla”.*

Do zbioru anegdot przeszła też taka sytuacja. Mama siedziała w prezydium jakiegoś zjazdu naukowego, mikrofon był włączony. Podszedł do niej jeden z lekarzy i mówi:

- *Pani profesor, mam do pani taki mały interes.*  
- *Panie doktorze, tego akurat nie leczę.*

Całe to artystyczno-naukowe środowisko znajomych moich rodziców i oni sami, było niezwykle twórcze, tak że mimo dołującego oparu genialności sporo im zawdzięczam. Ojciec był architektem, ale architektem twórczym, nie rzemieślnikiem. Razem z Marianem Boguszem i innymi im podobnymi pasjonatami tworzyli grupę wizjonerów



Elewacja Narodowego Banku Polskiego zaprojektowana przez Jerzego Łozińskiego, Mirosława Duchnowskiego i Eugeniusza Karwatkę.

Projektowali koncepcje miast przyszłości, choć nikt u nich takich projektów nie zamawiał. Opracowali na przykład kompleksowy projekt Muzeum Sztuki Nowoczesnej na Zalewie Zegrzyńskim. Muzeum miało być na pływającej platformie i przykryte przezroczystą pneumatyczną kopułą. Ojciec pracowicie robił model tej kopuły spawając paski przezroczystej folii za pomocą lokówki do włosów mojej mamy. Oczywiście tego projektu nikt nie zamawiał i nikt nie zamierzał go realizować. Ja to rozumiem. Sam piszę książki, których nikt nie zamawiał. Było to jednak docenione w środowisku, bo kilka lat temu odbyła się w Muzeum Narodowym i w Zachęcie wystawa tego projektu, którego wszyscy autorzy już nie żyli.

Najbardziej znanym projektem mojego ojca była elewacja Banku Narodowego od strony Placu Powstańców. Ściśle projekt opracował zespół w składzie: Jerzy Łoziński, architekt, Eugeniusz Karwatka, konstruktor lotniczy i Mirosław Duchowski, plastik, profesor. z Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Projekt był jak na tamte czasy, początek lat 70., niezwykle nowatorski. Elewację wykonano z ciemno brązowych (wbrew obiegowemu pogładowi, nie czarnych) blach wyprodukowanych przez firmę lotniczą Hunter Douglas z Holandii. Niestety nie wszystko z tego projektu zostało zrealizowane. W luce między dwoma częściami elewacji miała wisieć złota rzeźba zaprojektowane przez prof. Duchowskiego. Nie wykonano jej. Nie zrealizowano też szerszej wizji zagospodarowania Placu Powstańców: parkingu podziemnego (budują go dopiero teraz) i pomnika Powstania Warszawskiego.



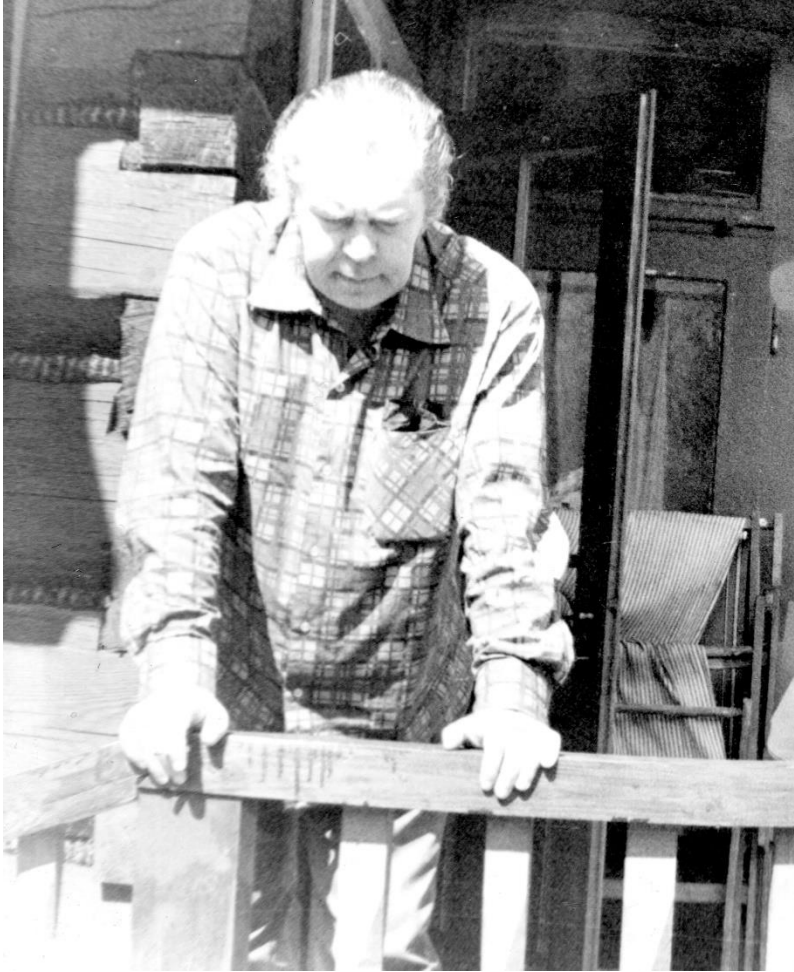
Bohomazy Adama Glapińskiego na tej elewacji.



Makieta niezrealizowanej części projektu – pomnika powstania warszawskiego. Makiety zrobił Jerzy Łoziński, mój ojciec. W tle siedzi Magda, moje siostra. Pomnik miał być z granitowych płyt. Fot. Krzysztof Łoziński.

Ja się niemal wychowywałem w cieniu tego projektu. W moim pokoju na Miodowej stały fragmenty blach z tej elewacji, robiłem zdjęcia makiety projektowanego pomnika powstania. Po latach sprawa tego projektu niespodziewania odżyła za sprawą PiS-owskiego prezesa NBP Adama Glapińskiego, na którego zlecenie zaczęto na elewacji banku naklejać polityczne reklamy, bzdurne i szpetne. Napisałem o tym krytycznie na Facebooku, a dziennikarz Gazety Wyborczej napisał o tym artykuł. Elewacja ta jest nie tylko zabytkiem wpisanym do rejestru, ale nawet uczy się o tym projekcie studentów architektury. Napisałem, że poczynania Glapińskiego są naruszeniem praw autorskich mojego ojca. Liczyłem na współpracę w tej sprawie spadkobierców pozostałych autorów, ale spadkobiercy prof. Duchnowskiego zamiast pomóc, to się obrazili. Trudno, na muchy w nosie nic nie poradzę. Ja prof. Duchnowskiego pamiętam, bo bywał wówczas w naszym domu. Pamiętam go jako miłego sympatycznego człowieka i tej obrazy nie rozumiem.

Inicjatorem większości twórczych projektów był malarz abstrakcjonista Marian Bogusz. On również uczył mnie malarstwa, od którego później odszedłem na rzecz fotografii. Bogusz organizował biennale form przestrzennych w Elblągu i następne w Duńskim Aalborgu. Inicjował akcje odmalowywania elewacji całych miasteczek. Polegało to na tym, że każdy z malarzy dostawał do pomalowania elewację jednej kamienicy w rynku i w ten sposób rynek małego miasteczka zamieniał się w dzieło sztuki.



Marian Bogusz podczas wakacji w Zakopanem, na Małym Żywczańskim. Fot. (nastoletni) Krzysztof Łoziński.

Ja wychowywałem się w cieniu takich ludzi, których bogate osobowości po części ukształtowały osobowość moją. Profesorowie Orłowski i Bulska, oraz Bogusław Szymański, narciarz i taternik, który spędził całą okupację ukrywając się w Tatrach, zarazili mnie też górami i wspinaniem, ale to już temat na następną opowieść.

.....

Jakie było moje dzieciństwo? Na pewno nie było nudne.

# Krzysiek wlał do Kirkora



Giewont, północna ściana

## Od smyka do taternika



## Nartki Miś

Mam cztery albo pięć lat. Jestem w Poroninie z rodzicami i małą Magdą (jest dwa i pół roku młodsza). Jest zima. Mam małe nartki Miś. Zamiast wiązania jest przybity do narty bucik, w który wkłada się nogę we właściwym dziecięcym buciku i zapina paskiem. Oczywiście między tymi bucikami jest trochę luzu. Znalazłem sobie górkę, tuż przy torach kolejowych. Dorosły człowiek by tej górki nawet nie zauważył. Miała około metra wysokości i jakieś trzy metry stoku. Ale to jest mój pierwszy w życiu stok narciarski. Ma jeszcze jedną zaletę. Obok, po torach jeżdżą parowozy, które mają wielkie koła połączone jakimiś belkami. Z przodu jest tłok, z którego bucha para. Strasznie mnie te koła, relingi, tłoki i buchająca para fascynowały. Po powrocie do Warszawy rysowałem parowozy.

Ja sobie zjeżdżam z mojej górki i oglądam parowozy. Mam też drewniane kijki narciarskie, za duże, ale „dobre, bo dębowe”. Później, już chyba w następnym roku, przenoszę się na większą górkę. To taka skarpa ciągnąca się równolegle do torów, ale jakieś sto metrów dalej od nich. Ma już około dziesięciu metrów wysokości, a gdzieś tam nawet trochę więcej. Tam już poznałem paru miejscowych chłopców w moim i nieco starszym wieku. Odbylem też pierwszą w życiu naukę o mrozie. Bardzo zmarzły mi ręce, więc pobiegłem do domu, w którym mieszkaliśmy i włożyłem ręce do miski z ciepłą wodą. Ból, który przeżyłem nauczył mnie na całe życie, że tak się nie robi.

Na tym dziecięcym stoku zrozumiałem, dlaczego górale świetnie jeżdżą na nartach. Bo ja miałem inteligentne nartki Miś, a ci chłopcy mieli talerz blaszany, kawałek blachy lub klepkę od beczki. Dziś wiem, że jak ktoś się uczył jeździć na klepcie od beczki lub kawałku blachy, to gdy ma już prawdziwe narty, dostaje skrzydeł.

W tym towarzystwie w użyciu był jeszcze jeden wynalazek. Kwadratowa deska a do niej przymocowane od spodu cztery łyżwy. To były szalone sanki. Jeździło się na nich po szosie prowadzącej do Bukowiny. Szosa była obludzona i na tych sankach dostawało się szalonej prędkości. Patent miał dwie metody zatrzymywania się: na „stłuczke” i na „wysiadke”. Albo trzeba było wpaść na jakąś przeszkodę, albo spaść z saneczek na bok. Ten szalony patent innymi metodami zatrzymywać się nie chciał. Dobrze, że moi rodzice nie znali głównej atrakcji tych zjazdów: pojawienia się na szosie samochodu. Nic się nigdy nie stało, bo kierowcy byli mądrzejsi od nas.

Tłem tego wszystkiego były widoczne z daleka ośnieżone góry. Były wielkie i tajemnicze. Takie stojące w oddali białe olbrzymy. Z czasem góry zaczęły mnie fascynować bardziej niż parowozy.

Letnie wakacje spędzaliśmy w pobliżu gór a góry widziałem ciągle z daleka. Wakacje w Witowie to głównie zabawy w potoku. Jedynym wydarzeniem jakie zapamiętałem z tych wakacji, był pies gospodarzy, który pogryzł Alę, moją siostrę cioteczną. Ciekawiej było już w Jaszczurówce, gdzie nauczyłem się nowego zajęcia – zbierania rydzów. Rydze i gołąbki były pyszne. Smażyliśmy je na blasze kuchni opalanej drewnem. Kładliśmy je wprost na blasze, blaszkami do góry, kładliśmy na nie trochę masła i posypywaliśmy solą. Ale najciekawsze było samo zbieranie, głównie na Hali Olczyńskiej i na Kopieńcu. Na Hali Olczyńskiej zaczęło mnie fascynować nowe zajęcie – włożenie na głązy. Głązy granitowe leżące wokół potoku Olczego były większe ode mnie (miałem jakieś 8 lub 9 lat). Dziś ktoś mógłby powiedzieć, że zacząłem uprawiać buldering, ale wtedy chyba nikt jeszcze nie znał tego pojęcia. To był taki instynkt dziecka, że na taki głaz, skoro jest, to trzeba wleźć.

Gdy wracaliśmy Doliną Olczyką, mijaliśmy po prawej stronie mocno przewieszoną skałkę. To była taka pochyłona skalna płyta. Oczywiście wlałem na nią po stronie pochyłej, ale zacząłem kombinować, jak wleźć po stronie przewieszonej. Oczywiście nie miałem szans, choć ta skała ma chyba nie więcej niż kilkanaście metrów. Ta moja fascynacja włożeniem nie była jeszcze wspinaczką, bo obejmowała także włożenie na drzewa. Przecież wszyscy chłopcy w tym wieku, pomijawszy jakieś straszne safandule, chodzą po drzewach.

Z wakacji w Jaszczurówce pamiętam jeszcze dwa wydarzenia: klocki lego i straszną burzę. Dostałem pierwsze w życiu klocki lego, co w czasach siermiężnego socjalizmu było nie lada atrakcją. Te klocki nie były tak wyszukane jak dziś. Składały się tylko trzech prostych elementów o różnej długości i dwóch w kolorach – białym i czerwonym. Mimo to potrafiłem budować z nich spore konstrukcje.

Ze straszną burzą to było tak: byliśmy, ja i Magda, z mamą w na Hali Olczyńskiej, gdy zaczęło grzmieć. Mama zarządziła ewakuację i bieглиśmy w dół doliną do Jaszczurówki. Burza była potężna, a my byliśmy w jej centrum. Pioruny waliły jak oszalałe i nie gdzieś, tylko tu. Magda jako najmłodsza biegła ostatnia. W pewnym momencie rozległ się ogłuszający huk i oślepiający błysk. Obejrzałem się za Magdą i zobaczyłem jakieś sto metrów od nas jak wielki świerk rozpada się na dwie pionowe połowy i staje w ogniu.

Dziś wiem na czym polega to zjawisko. Przed wyładowaniem w takim drzewie zbiera się olbrzymi ładunek elektryczny, a ładunki jednoimienne się odpychają. Ta siła odpychania zaczyna być tak wielka, że rozpoławia drzewo. Ta sama siła oddziaływania elektrostatycznego potrafi w górach rzucać kamieniami i to całkiem sporymi. To było moje pierwsze spotkanie z grozą burzy w górach.



Z Magdą na kamieniu w Dolinie Olczyskiej. Fot. Archiwum rodzinne.

*Tu mała dygresja.*

*W dorosłym życiu alpinisty doświadczyłem dwa razy grozy górskiej burzy. Wybraliśmy się z Wojtkiem Dzikim na południową ścianę Wołowej turni. Podchodziliśmy z Morskiego Oka Zachodem Grońskiego, kiedy zaczęło grzmieć, a myśmy dostali jakiejś beztroski i wmawialiśmy sobie, że to „samoloty przekraczają prędkość dźwięku”. Absurd. Gdzie? Jakie samoloty? I beztrosko szliśmy dalej. Gdy byliśmy już pod ścianą, zaczynało kropić i grzmoty były już wyraźne.*

*Zrezygnowaliśmy z ambitniejszego celu, nie pamiętam już jakiego i postanowiliśmy przejść chociaż łatwą (V-) drogę Stanisławskiego. W pewnym momencie lunął deszcz, a my staliśmy na stromej płycie oddzielnie i nie mogliśmy się ruszyć, bo między nami walił istny wodospad wody lejącej się ze ściany. Trwało to chyba z pół godziny. Zmokliśmy jak cholera. Gdy deszcz ustał, ruszyliśmy w stronę szczytu i zaczęła się nowa zabawa - pioruny. Wołowa Turnia jest wysokim szczytem, górującym nad okolicą. W pobliżu szczytu kamienie zaczynały być elektryczne. Normalnie prąd kopał. Na szczycie mikro wyladowania co raz sadzały nas na ziemi, raz jednego, raz drugiego. Zwiewaliśmy stamtąd czym prędzej i nikt już nie mówił o samolotach przekraczających prędkość dźwięku.*

*Drugi raz przeżyłem grozę burzy w górach w Himalajach Kaszmiru. Było nas sześciu w obozie na wysokości 5450 m. Na końcu ostrej grani podciętej pionową ścianą. Widzieliśmy z daleka nadciągającą burzę. Nad niższym pasmem, które nazywaliśmy Niepotrzebnymi Himalajami (bo najwyższe szczyty tego pasma ledwie przekraczały pięć tysięcy metrów) wisiał wielki wir czarnych chmur w którego centrum błyskało coś, co wyglądało jak snopy iskier. To były pioruny widziane z odległości ponad stu kilometrów. Widzieliśmy, jak ten czarny błyskający kłęb do nas idzie. Robiło się ciemno i nic nie mogliśmy poradzić. W górach takich jak Tatry można gdzieś zejść z grani, ale nie w Himalajach. To nie ta skala. Wynieśliśmy tylko z namiotów wszystkie metalowe przedmioty i czekaliśmy. Najpierw po ortalionie namiotu i śpiworów zaczęły chodzić jakieś rozbłyski, jakby pełzając płomienie. Później zaczęło nam podnosić włosy a z palców świeciły ognie św. Elma. W końcu gdzieś w pobliżu następowało wyladowanie i wszystko zniknęło. Ale po chwili znowu. Trwało to chyba z godzinę. W końcu nic się nie stało, ale co się strachu najedliśmy to nasze.*

Moje zainteresowanie włożeniem na coś, choćby kamienie, rozwinęło się w czasie wakacji w Zakopanem, tuż przy wylocie doliny Strążyskiej. Tu już w zasięgu dziecięcych „szwendaczek”, bo wycieczkami nazwać to trudno, były prawdziwe skałki reglowe. Z całą gromadką miejscowych dzieciaków z ulicy Bogdańskiego i Kasprusi, w tym z braćmi Klamerusami, szwendaliśmy się bez nadzoru rodziców po dolinkach Strążyskiej, Ku Dziurze, Białego Potoku, Małej Łąki, bo to po prostu było bardzo blisko naszego wakacyjnego domu. Stopniowo włożyłem na różne Sarnie Skałki i inne skałki regli oraz Małego Giewontu. Miałem już jedenaście lat. To właśnie wtedy Magda postawiła w stan alarmu całe dorosłe towarzystwo okrzykiem:

*- Krzysiek wlaźł do Kirkora i nie wylaź!*

Oczywiście nie była to prawda, bo wylaźłem. Żleb Kirkora znajduje się między Giewontem a Małym Giewontem. Prowadzi nim łatwa droga wspinaczkowa, która później, już jako dorosły i doświadczony taternik przeszedłem „na żywca”, to

znaczy solo i bez asekuracji. W mojej dorosłej ocenie nie ma tam większych trudności niż III, ale trójka dla dorosłego, to co innego niż dla jedenastolatka, zwłaszcza, że ja już wtedy byłem niskiego, jak na swój wiek, wzrostu.

W Żlebie Kirkora są trzy progi, pierwszy ma około dziesięć metrów, drugi około dwadzieścia, a trzeci aż czterdzieści. Włazłem do połowy pierwszego i się przestraszyłem. I całe szczęście, bo był to ostatni moment, w którym mogłem jeszcze zawrócić. Z tym zejściem zaledwie kilku metrów miałem już poważne kłopoty i niezłego pietra. Jakie kłopoty? - powie ktoś dorosły – przecież tam jest zupełnie łatwo. Owszem, jest łatwo, ale dla dorosłego, a nie dla dziecka. Dostałem wtedy kolejną górską lekcję – najpierw się myśli, później wchodzi, a nie odwrotnie. Gdyby wszyscy turyści znali tę zasadę TOPR miałby znacznie mniej roboty.

*Muszę tu wyjaśnić czytelnikom nie znającym gór, co to jest wycena trudności, np. „trójka”. Trudności wspinaczki skalnej określa się stopniami. Te skały trudności są różne, ale ponieważ piszę o czasach historycznych posługuję się starą skalą tatrzańską od 0 do VI. Dziś pokonuje i się trudności przedłużeniu w tej skali X i XI (a nawet więcej). W tej starej skali tatrzańskiej były też określenia słowne:*

*0 – bez trudności*

*I – nieco trudno*

*II – dość trudno*

*III – trudno*

*IV – bardzo trudno*

*V – nadzwyczaj trudno*

*VI – skrajnie trudno.*

*Dalej już zaniechano skali słownej i VII to po prostu „siedem”. W czasach, gdy zaczynałem się wspinać, nikt nie przechodził trudności większych niż VI. Siódmy stopień trudności ustanowił Reinhold Messner w Dolomitach.*

*Wypada dodać jeszcze, że wszystkie szlaki turystyczne, z Orlą Percią łącznie, mieszczą się w skali trudności 0 – zero. W tamtym czasie trójkę traktowało się już jako regularną wspinaczkę, choć taternicy po jedynekach i dwójkach chodzili bez asekuracji. I dla mnie w pierwszych latach wspinania była to regularna wspinaczka, do której związywało się liną i prowadziło pełną asekurację. Pod koniec mojego alpinizmu, który trwał pięćdziesiąt lat, nie widziałem powodu, by asekurować się na czwórce, a nawet na piątce. Ale to osobny temat. Jednak wtedy, gdy miałem jedenaście lat, trójka była naprawę poważnym wyzwaniem. No i ja wówczas nie wiedziałem, że w ogóle jest jakaś skala trudności, że istnieją opisy dróg i przewodniki taternicze.*

To lato w Zakopanem było też dla mnie przełomowe pod innym względem. Rodzice wreszcie uznali, że ja i Magda jesteśmy już na tyle duzi, że można nas zabierać na wycieczki w góry. Problem dotyczył zwłaszcza młodszej ode mnie Magdy. Udało mi się uprosić rodziców, byśmy poszli na Czerwone Wierchy. Rodzice zgodzili się z oporami, więc zgoda była warunkowa. Uznali, że w zależności od sił Magdy będziemy wycieczkę kontynuować, lub ją skrócimy.

Przeszliśmy Doliną Strażyską na przełęcz w Grzybowcu. Magda nie okazywała oznak zmęczenia, więc szliśmy dalej. W miejscu, gdzie odchodzi szlak na Giewont, zaproponowałem:

- *A możemy wstąpić na Giewont, tam jest łatwo i niedaleko?*
- *A ty skąd wiesz?* – zapytał ojciec.
- *Bo tam byłem.*

Rodzice osłupieli.

- *Jak to było, kiedy?*
- *W piątek* – odparłem.
- *Z kim?*
- *Sam.*

Rodzicom miny się wydłużyły, bo nie zdawali sobie sprawy z tego, że nasze warszawsko-góralskie dziecięce wędrówki znacznie już zwiększyły zasięg terytorialny. Mama wtedy powiedziała:

- *Trzeba zabierać ich w góry, bo inaczej będą chodzić sami.*

W rejonie Przełęczy pod Kopą Kondracką Magda nadal nie wykazywała objawów istotnego zmęczenia, więc ojciec stwierdził, że dalej są już niewielkie różnice wysokości, a później tylko zejście do Tomanowej i Ornak. W najgorszym razie zanocujemy na Ornaku. Przeszliśmy przez Małolączniak, Krzesanicę i Ciemniak. Zeszliśmy do Doliny Tomanowej i do Ornaku. W schronisku na Ornaku zjedliśmy obiad i spokojnie wróciliśmy przez Przysłop Miętusi i Drogę pod Regłami. Rodzice byli wyraźnie zaskoczeni naszą kondycją. A Magda przecież miał tylko dziewięć lat.



Z Magdą w szałasie na Chochołowskiej (kilka lat później). Fot. Jerzy Łoziński.

Po latach myślę, że tajemnica naszej nadzwyczajnej kondycji była dość prosta. Myśmy już drugi miesiąc myszkowali pod regłach i podnóżach Giewontu. Codziennie łąziliśmy pod górę i na dół. Czy wiecie państwo, czemu górale mają taką kondycję? Przecież oni całe życie codziennie chodzą pod górę, do szkoły lub ze szkoły, do sklepu lub ze sklepu... A później widzimy jak niemłode gaździnki z dwoma bańkami śmietany w plecaku (30 kilogramów lub więcej) zasuwiają na Halę Gąsienicową przez Boczań i nad Czarny Staw sprzedawać tę śmietanę turystom, którzy docierają tam zasapani.

Tego lata odbyłem jeszcze dwie wycieczki z mamą, ale już bez Magdy (tata z jakiegoś powodu wcześniej wyjechał). Najpierw poszliśmy na Halę Gąsienicową i przeszliśmy przez Zawrat i Świnicę do Kasprowego, z którego luksusowo zjechaliśmy kolejką. Ja wcześniej słyszałem od turystów jakieś straszne opowieści o Zawracie i byłem przekonany, że to jest jakiś wybitnie trudny szczyt. Byłem zaskoczony, że to jest przełęcz i droga na nią wcale nie jest trudna. Kolejną wycieczkę zrobiliśmy tydzień później na Orłę Perć. Wjechaliśmy świtem błędem na Kasprowy i poszliśmy granią aż do Krzyżnego, skąd w dół do Pańszczycy i drogi do Białego. Trochę to mi jednak dało w kość, ale nie ze względu na mityczne trudności tylko ze względu na sporą odległość.

Zapytacie pewnie, skąd moja mama miała taką kondycję? To proste. Była jeszcze dość młoda, miała 39 lat, przedwojenna harcerka, później hufcowa Szarych

Szeregów i wreszcie żołnierz Armii Krajowej, uczestniczka powstania... Była silna psychicznie i fizycznie mimo niskiego wzrostu (150 cm) i małej wagi (42 kg). Taki życiorys wychowuje silnych i odważnych ludzi. A przy okazji – Szerpowie też nie są wysocy.

*Wspomniałem o braciach Klamerusach, a było ich czterech, ale parę słów chce poświęcić jednemu z nich, Władkowi. Młodszy ode mnie o 8 lat Władek w tamtym czasie był małym dzieckiem, ale nasza przyjaźń trwała długo. W dzieciństwie chorował na chorobę Heinego-Medina. Miał niemal bezwładne nogi i chodził o kulach. Mimo to jako młody dorosły wspinał się w Tatrach niemal na samych rękach. Ponieważ całe życie chodził właściwie dzięki sile rąk, miał ręce niezwykle silne, co pozwalało mu także rzeźbić. Pamiętam, jak prosił mnie, bym mu skonstruował kule ze zginającą się końcówką, która trzymałaby na pochylej powierzchni, bo mówił, że większą trudność sprawia mu podchodzenie po piargach, niż sama wspinaczka. Policzyłem tę konstrukcję i niestety wyszło, że to nie będzie działać. Władek przechodził z różnymi partnerami naprawdę trudne drogi, między innymi „Superdirtissima” na Mniszku, drogę mojego autorstwa wycenianą wówczas na VII-, czyli drogę potężnie trudną. Nawet jeśli partner pomagał mu liną, był to naprawdę wyczyn.*

*Pewnego razu spotkaliśmy się w Warszawie na ulicy Chmielnej. Zaraz obok nas zaczęli się awanturować trzech menele. Władek podszedł do nich, wyciągnął rękę i mówi:*

*- Cześć.*

*Menel odruchowo podał mu rękę a Władek ją ścisnął. Menel zawył z bólu, a Władek mówi:*

*- Prawą masz słabą, dawaj lewą!*

*Menel rzucił się w nogi a jego kumple za nim. A ja patrzyłem zdumiony, jak inwalida o kulach pogonił trzech meneli.*

*Władek był prawdziwym artystą, rzeźbiarzem, malarzem, scenografem. Był między innymi współautorem pomnika na Umschlagplatz. Zmarł w 1992 roku na raka wątroby. Pod koniec życia związany był ze sporo młodszą Katarzyną Kozyrą, której nie znałem. Zobaczyłem ją po raz pierwszy w telewizji już po jego śmierci. Telewizyjny dziennikarz zapytał młodą wdowę:*

*- Jak pani, taka piękna kobieta. Mogła się związać z takim kaleką?*



Nie pamiętam kto był tym dziennikarzem, ale jego potworne chamstwo pamiętam do dziś.



*Władysław Klamerus. Zdjęcie: Wikipedia.*

## **Narty na Chochołowskiej**

Na narty jeździliśmy z rodzicami wiosną, w maju, niemal zawsze do schroniska na Chochołowskiej. W maju w górach jest jeszcze sporo śniegu, a jednocześnie nie ma już dużego mrozu.

Mieliśmy już normalne, jak na tamte czasy, narty. Drewniane z okuciami, wiązaniem kandahar i kijki już bambusowe. Oczywiście nikt wtedy nie jeździł w kasku, tylko w „czapce narciarskiej” z pomponem. Jeździliśmy na Hali Chochołowskiej, dokąd na niej był śnieg a nie krokusy albo na Wyżniej Chochołowskiej.

Chodziliśmy też granią od Przełęczy Bobrowieckiej i dalej przez Rakoń, Wołowiec. Zjeżdżaliśmy z Rakonia lub Wołowca na Wyżnią Chochołowską. To już były naprawdę poważne zjazdy, po kilkaset metrów i po stromych stokach. Kiedyś poszliśmy dalej, aż pod Starorobociański i zjechaliśmy w stronę Wyżniej Chochołowskiej, ale wcześniej w teren porośnięty kosówką przykrytą śniegiem. Był z nami ojciec oraz Bogusław Szymański i jego żona „Kicia”. Każdy kto zna góry wie, co to jest kosówka pod śniegiem. Co krok nogi wpadają w jakieś dziury, nieraz po udo, gałęzie oplatają nogi. Grajdaliśmy się przez to parę godzin. Gdy dotarliśmy wreszcie do schroniska ktoś zapytał:



Na grani Rakonia. Od lewej: Danuta Łozińska, Bogusław Szymański, Krystyna Szymańska, Bronisław Szafarkiewicz i Jerzy Łoziński. Fot. Krzysztof Łoziński.

- *Jak się nazywa to miejsce?*

Spojrzałem na mapę i mówię:

- *Babie Nogi.*

A wszyscy niemal chórem:

- *I wszystko jasne!*

Jedną z postaci jaką pamiętam był Szałaśnik. Nie wiem, jak się ten facet nazywał, ale zasłynął tym, że zawsze jeździł „na krechę”, kończąc zjazd na Wyżniej Chochołowskiej efektownym walnięciem w dach wystającego ze śniegu szałas. Stąd przezwisko Szałaśnik. Pewnego dnia zapytał mnie:

- *Sluchaj mały, jak ty to robisz, że tak zakręcasz?*

Szałaśnik wcale nie był wspaniałym narciarzem, jak myślałem, bo ja się bałem tak jeździć na krechę. On po prostu nie umiał na nartach skręcać ani zwalniać pługiem. Gdy pojawiał się na stoku ze wszech stron rozlegały się okrzyki: Szałaśnik, Szałaśnik! Oznaczało to: chowaj się kto może.



Z Magdą pod szczytem Grzesia (takiej góry nad schroniskiem). Fot. Jerzy Łoziński.

Na Chochołowskiej przeżyłem pierwszą fascynację płcią przeciwną. Były z nami dwie siostry Elwira i Grażyna Szafarkiewicz. Ja się tak po dziecięcemu podkochiwałem w Elwirze. Byłem jednak w takim wieku, że stanowiłem odwrotność dziadka Klamerusa. Dziadek Klamerus miał ponad 90 lat i pytany przez wnuków, czy się jeszcze za dziewczynami ogląda odpowiadał:

*- Oglądam się, ale już nie pamiętam po co.*

Ja się już za dziewczynami oglądałem, ale jeszcze nie wiedziałem po co.

Z Elwirą nie spotkałem się już nigdy więcej. W lecie tego 2024 roku zmarła w swoim domu we Francji. Była mniej więcej w moim wieku, czyli ok. 76 lat. Około rok wcześniej jeden raz rozmawiałem z nią przez telefon. Prosiła mnie o zdjęcia Grażyny, bo była ciekawa jak Grażyna wtedy wyglądała. Grażyna, młodsza od Elwiry, była później stewardessą. Zginęła w katastrofie Ił-62 w Lesie Kabackim. Jakiś sporadyczny kontakt z nimi miała natomiast Magda. Elwira podobno rewelacyjnie jeździła na nartach.



Elwira Szafarkiewicz i ja przed schroniskiem na Chochołowskiej. Fot. Jerzy Łoziński.



Grażyna Szafarkiewicz. Fot. Jerzy Łoziński.

## Grotolaz

Grotolaz był moim rówieśnikiem i miał to samo imię co ja – Krzysiek. Wszyscy mówili jednak do niego per Grotolaz, bo kręcił się w środowisku Speleoklubu. Miał dosyć dziwne i czasem szalone pomysły. Na przykład, gdy kilka lat później byliśmy obaj na kursie w Speleoklubie, spytał dziewczynę, czy ma mocny kask. Odparła, że tak, więc uderzył ją młotkiem w głowę. Oczywiście w głowę w kasku. Odegrał w moim życiu krótką, ale istotną rolę. Był moim pierwszym partnerem wspinaczkowym, trochę nieobliczalnym.

Wiosną 1960 roku, w którym w lipcu miałem skończyć 12 lat, ciężko się rozchorowałem. Miałem zapalenie nerek i uszu jednocześnie. Kolejną poważną chorobę miałem dopiero 58 lat później. Byłem naprawdę mocno chory. Mama z Magdą poszły nawet do kościoła by się za mnie pomodlić. Gdy się o tym dowiedziałem, tak się wkurzyłem, że omal nie dostałem zapaści.

Po tej chorobie mama postanowiła, że tym razem pojedziemy wyjątkowo do domu wczasowego w Zakopanem, bym miał dobre warunki. Był to jedyny dom wczasowy w jakim byłem w życiu. Warunki były może dobre, ale było tam strasznie nudno. Popularne wśród wczasowiczów wieczorki zapoznawcze i później poranki rozpoznawcze (... z kim to ja tym razem?) mnie w tym wieku zupełnie nie interesowały. Zacząłem się więc z tego domu wczasowego urywać do swoich góralskich kolegów.

Ten rok 1960 przyjmuję umownie jako pierwszy rok mojego taternictwa, bo wówczas po raz pierwszy związałem się liną, na skałkach Nosala. Właśnie z Grotolazem. Ściągnęliśmy ze strychu Staszka Gronia Gąsienicy (taternika i skoczka narciarskiego) połowę sizalowej zjazdówki (ok. 30 metrów), na której suszył on pranie. Oczywiście za jego przyzwoleniem. To była nasza lina.

Nie mieliśmy bladego nawet pojęcia o technice wspinania i asekuracji. Poza tą liną nie mieliśmy też żadnego sprzętu, zresztą i tak nie umielibyśmy go używać. Chodziliśmy się wspinać na skałki Nosala nie mając pojęcia jakie są tam drogi wspinaczkowe. Chyba nie wiedzieliśmy nawet, że w ogóle są drogi wspinaczkowe. Na pewno zresztą przez cały sezon nie wiedzieliśmy, że istnieją przewodniki i opisy dróg. Wybieraliśmy po prostu taki teren, który wydawał nam się „do przejścia”.

Na Nosalu przeżyłem też pierwsze w życiu odpadnięcie, które jakimś cudem dobrze się skończyło (choć obiektywnie nie powinno). Wszedłem na względnie łatwą skałkę z dolną asekuracją, a raczej z dolnym brakiem asekuracji. Grotolaz siedział na niewielkiej turniczce na kamieniu i trzymał linę w ręku. Gdy odpadłem lina między nami zahaczyła o występ skalny, na którym powstało spore tarcie. Prawdopodobnie

to mnie uratowało. Partner, który nie umiał asekurować, siedział na ruchomym kamieniu, do niczego nie przypięty i trzymał pojedynczą sizalową zjazdówkę w ręku. Gdy wstał, kamień, na którym siedział spadł. W dodatku sizalowa zjazdówka, nawet podwójna, nie nadaje się do asekuracji, bo jest za słaba.

Co mnie w tym szaleństwie uratowało? Po pierwsze niezaplanowane tarcie na załomie skalnym, po drugie to, że jako dwunastolatek bardzo mało ważyłem. Ta lina pod ciężarem dorosłego człowieka mogła się zerwać bez żadnej dodatkowej przyczyny.

Najlepszy jednak był kontekst tego wydarzenia. Turyści oglądający nas ze szlaku na Nosal wydali z siebie głośnie:

- *Oooo!!!*

A ja, gdy zawisłem na tym sznurku, zapytałem:

- *Która godzina?*

Ludzi trochę przytknęło. Chłopak był przed chwilą kandydatem ochotnikiem na trupa, a on się pyta która godzina. Chodziło bowiem o to, że musiałem zdążyć na podwieczorek w tym domu wczasowym, by się nie wydało, że mnie tam nie ma.

Wszystko, co robiliśmy z Grotołazem trąciło lekką paranoją. Jeden z kolegów zapytał mnie niedawno, czemu nie mam zdjęć z tych pierwszych wspinaczek. Nie całkiem nie mam. Mam ich mało i są fatalnej jakości z dwóch powodów. W tym wieku nie mieliśmy jeszcze nawyku robienia zdjęć w górach, no i nie umieliśmy. Miałem wtedy aparat 6 x 9 cm z wysuwającym obiektywem na miechu. Otwierało się klapkę i wysuwało obiektyw na jakieś 12 cm do przodu. Za obiektywem był taki stożkowy miech. Migawka przy samym obiektywie, jeden tylko czas i jedna tylko przesłona. O nastawianiu odległości nie było mowy, bo to nie była lustrzanka. Można było tylko wysunąć obiektyw i zrobić pstryk. Ten aparat był duży i niewygodny. Najczęściej w ogóle go ze sobą nie zabierałem.

Pod koniec lata poszliśmy na Halę Gąsienicową. Ciągłe prawie nic nie umieliśmy. Nie umieliśmy asekurować, prawidłowo wiązać się liną (nie znaleźliśmy węzłów), nie wiedzieliśmy o istnieniu przewodników i skali trudności. Jednym słowem dwóch dzieciaków poszło się wspinać na wariata. Oczywiście w tajemnicy przed rodzicami. I w dodatku w tajemnicy przed starszymi taternikami. Dziś wiem, że to było strasznie głupie. Ci starsi mogli nas czegoś nauczyć, a my myśleliśmy, że nas pogonią do domu.



Jedyne zdjęcie jakie zrobił mi Grotolaz tego dnia na Nosalu. Jest fatalnej jakości (pod słońce) i, jak widać, nic na nim nie widać. Fot. Krzysztof B. „Grotolaz”.

Poszliśmy nad Czarny Staw i kombinujemy, gdzie by tu wleźć. Żółta Turnia, same kosówki, no to nie. Kościelec? Wygląda od tej strony strasznie pionowo. A może Granaty? Zobaczyliśmy, że na prawo od szlaku jest takie skalne żebro. Wygląda dość łatwo. Wzięliśmy naszą linę zwiniętą przez ramię i jazda. Umówiliśmy się, że jak zacznie być trudno, to się zwiążemy. Idziemy dalej i dalej i nie zaczęło być trudno do końca. Bo i faktycznie nigdzie tam trudno nie jest. Dwaj dwunastoletni chłopcy przeszli Środkowe Żebro Skrajnego Granata na żywca nie wiedząc wcale co przeszli. W następnych dniach przeszliśmy w tym samym stylu Płytkę Lerskiego i Grań Kościelców, na której już zaczęliśmy się asekurować nie umiając asekurować, ale akurat tam nie było to wcale potrzebne.

Kilka dni później szliśmy zachodem pod Zachodnią Ścianą Kościelca i szukaliśmy czegoś łatwiejszego. A tu trudno, pionowo i dalej też trudno i pionowo, wreszcie już prawie pod przełęczą – bingo! Jest jakaś szansa. Związaliśmy się naszą liną, nie mając ani jednego haka i przeszliśmy ścianę trochę już trudniejszym wariantem.

Wracamy do schroniska, a tu jakiś starszy znacznie chłopak mówi:

- *Widziałem was na Gnojku.*
- *Że co, na czym?*
- *Na Gnojku.*



Haki taternickie z tamtego czasu. Fot. Franciszek Spytek.

Uznaliśmy, że facet wyzywa nas do gnojków i postanowiliśmy się obrazić. Nie wiedzieliśmy, że przeszliśmy trójkową drogę Jana Gnojka, taternika z pokolenia Stanisławskiego. To była nasza ostatnia droga tego lata. Gdy kilka lat później, będąc już młodym, ale dorosłym taternikiem, z pewnym już doświadczeniem, opowiedziałem to Bogusławowi Szymańskiemu, orzekł:

*- Byliście dobrym materiałem na kamikaze.*

## **Speleoklub**

Dzięki kontaktom Grotołaza trafiłem do środowiska speleologów i pierwszy raz byłem na kursie dla początkujących. Oczywiście początkujących grotołazów, a nie taterników. Był jeden problem, nie miałem szesnastu lat i musiałem uzyskać zgodę rodziców. W odsiecz przyszedł mi niespodziewanie Marian Bogusz, który wprawdzie w górach był tylko turystą i malarzem, ale trochę się mną opiekował w zakresie malarstwa właśnie. Marian przekonał rodziców, że po skałach i tak łązę, a na kursie przynajmniej nauczę się asekuracji i zasad bezpieczeństwa. I miał rację.



Na tym kursie nie uczono wspinaczki, bo grotolazi wówczas poruszali się po linach i drabinkach sznurowych. Nauczyłem się więc zjeżdżać na linie, chodzić po drabinkach, prusikować (podchodzić po linie) no i asekurować. Oczywiście też wszelkie węzły, bo ja nawet nie umiałem związać się liną na węzeł skrajny tatrzański. Szybko zrozumiałem, że nasza asekuracja pseudo „liną” była gorsza, niż gdyby jej wcale nie było.



Zjazd na linie w kluczu. Wersja lewostronna. Ilustracja z podręcznika.

Mój pierwszy zjazd na linie to był horror. Zjeżdżało się wtedy tylko w kluczu, to znaczy, że linę idącą z góry trzymało się lewą ręką, następnie przechodziła pod prawym udem, w poprzek klatki piersiowej na prawe ramię i do lewej ręki. W czasie zjazdu lina straszliwie wprost tarła w udo i ramię, czasami powodując bolesne obtarcia, nawet do krwi. Wtedy, gdy miałem trzynaście lat, nie wynaleziono jeszcze przyrządów do zjazdu i do podchodzenia po linie oraz asekuracji. Wszystko było ręczną robotą, a liny były wyłącznie sizalowe. Z nylonu robiono wówczas pończochy a nie liny.

Pierwszy zjazd odbyłem z trzydziestometrowej wieży triangulacyjnej w Czosnowie pod Warszawą. Wszedłem po drabinie na górę, tam instruktor związał mnie liną asekuracyjną. Założyłem klucz i zacząłem wychodzić do zjazdu przez otwór w platformie. Do tej pory nie widziałem „luftu”, czyli wysokości. Wszedłem w zjazd i nagle zobaczyłem, że jestem w pustce trzydzieści metrów nad ziemią. Do tej pory bywałem znacznie wyżej, ale zawsze stałem na skale i trzymałem się jej rękami, a tu pustka dookoła. Zjechałem jakieś dwa metry i zobaczyłem tuż obok siebie jedną z poziomych belek wieży. Wpadłem w panikę. Puściłem linę i rozpaczliwie chwyciłem się tej belki. Belka była okrągła i chwyt był bardzo zły. Przeżyłem całe „dojrzewanie”, rozginanie się palców, wyślizgiwanie się chwytu... Zapomniałem, że

jestem asekurowany. Instruktor bezlitośnie pozwolił mi dojrzeć i opuścił mnie na linie asekuracyjnej na ziemię.

Byłem w takiej panice, że gotów byłem uciec do domu. I wtedy podeszła do mnie Krysia Rapacka i powiedziała:

*- Jeśli się teraz nie przelamiesz, to nigdy nie będziesz się wspinał i zawsze będziesz się bał.*



Wieża triangulacyjna w Czosnowie. Zdjęcie późniejsze. Fot. Krzysztof Łoziński.

Wszedłem znów na górę i odbyłem dwa kolejne zjazdy na linie. Nadal się bałem, ale się zawzięłem. Kilka dni później przyjechałem sam do Czosnowa z pożyczoną liną (prawdziwą, nie „naszą”). Wszedłem na wieżę, przywiązałem linę,

wszedłem w klucz i zjechałem. Bez asekuracji i bez nikogo do pomocy. Tego dnia zjechałem jeszcze trzy razy. Bałem się co raz mniej.

Nie zostałem w końcu grotolazem. Byłem wprawdzie w paru jaskiniach, ale to nie mój świat. Ja jestem chłopak dalekich przestrzeni, słońca i wiatru, a nie ciasnych, ciemnych, mokrych i zimnych dziur. Ja lubię światło, biały śnieg i horyzont tak cholernie daleko widziany ze szczytu. Niebo na siedmiu tysiącach prawie czarne i niebieską warstwę powietrza pod nogami. Na tym niebie można czasem w dzień widzieć gwiazdy i słońce jednocześnie. Ja lubię mróz, a nie wilgotny ziąb i wodę kapiącą za kołnierz.



Zjazd na linie w Tatrach, w ścianie Kazalnicy. Zjeżdża Bogdan Zalega. Fot. Krzysztof Łoziński

I jeszcze jedno, co mi nie odpowiadało. Do jaskini łatwiej wejść niż niej wyjść. W górach jest odwrotnie. Ścianę skalną trudno pokonać, ale wycofać się nie problem. Kilka zjazdów na linie i do domu. Do jaskini najczęściej zjeżdża się na linie, a wychodzi do góry po linie na węzłach zaciskowych lub drabinkach.

Dzięki speleologom poznałem podwarszawskie bunkry i grupkę młodych ludzi, moich rówieśników, lub niewiele starszych, wspinających się na bunkrach. Tu poznałem Bogusia Słame, braci Skierskich i braci Mierzejewskich. I na te bunkry zaciągnąłem kilku moich szkolnych kolegów, których zaraziłem wspinaczką. Przede wszystkim braci Wroczyńskich. Dwaj z nich, Krzysztof i Michał, chodzili ze mną do klasy, trzeci – Piotrek, był nieco młodszy. Czwartym był znacznie młodszy Tomek. W tamtym czasie przyjaźniliśmy się tak, że mieliśmy wspólny sprzęt wspinaczkowy a mama Wroczyńska mówiła na mnie „piaty brat”. W dorosłym życiu nasze drogi jednak się rozeszły.



Na bunkrach w Czosnowie pięć lat później. Mam już 18 lat. Asekuje mnie Michał Wroczyński.

Zaczęliśmy też jeździć w skałki Jury, najczęściej do Podlesic. Jechało się pociągami do Zawiercia, w tamtym czasie dość ponurego miasta. Stamtąd autobusem do Kroczyca, z których wówczas szło się już piechotą do Podlesic. W Zawierciu był przed dworcem wybrukowany kocimi głowami plac, z którego odjeżdżały autobusy. Na tym placu stali gromadnie miejscowi młodzieńcy z radiami tranzystorowymi pod pachą i podrygiwali w takt muzyki umpa-umpa. Dziś powiedziałoby się disco polo. Michał Wroczyński któregoś razu zauważył, że my dwaj jesteśmy jedynymi mężczyznami w tym mieście, którzy nie mają czarnych spodni. Dzisiejsze Zawiercie jest już zupełnie inne.

Kolejna atrakcja czekała w Kroczycach, gdzie na przystanku stały „pingwiny”. Tak nazywaliśmy miejscowych, którzy już po mszy i pierwszej flaszce, w czarnych garniturach i pod krawatem czekali komu by tu przyłożyć. „Niech wie”.

Mimo to w skałkach i na bunkrach bywaliśmy tak często, że powtarzałem dziewiątą klasę (drugą licealną) bo miałem 148 dni nieobecności nie usprawiedliwionych. To były fajne przygody. Nocowaliśmy w namiotach, lub nawet wprost pod gołym niebem, paliliśmy ogniska, przeżyliśmy pierwsze damsko-męskie przygody.



Wspinam się w Skałkach Podlesickich, na „Nikodemówce”. Właśnie znalazłem chwyt – dziurkę na dwa palce. To akurat nie jest specjalnie trudna droga. Zdjęcie znacznie późniejsze.

W kontekście skałek muszę wspomnieć o niezbyt miłym wypadku Michała Wroczyńskiego, który wydarzył się kilka lat później, chyba w 1970 roku, gdy ja byłem w wojsku. Michał był instruktorem na kursie skałkowym, a że był czuły na pleć niewieścią (a kto nie był?), to się popisywał. Pokazywał kursantkom zjazd na linie z Cimy (takiej skałki w Ogrodzieńcu). Stanowisko zjazdowe było założone z tak zwanego ucha skalnego. W skale wapiennej występują takie otwory na wylot, jakby mini jaskinie, nazywane przez nas uchami. Rzecz w tym, że w tym uchu skała była pęknięta i nie było tego widać. Michał chciał przed dziewczynami zjechać efektownie, takimi skokami po kilka metrów, a nie płynnie. Przy którymś skoku ucho skalne pękło i Michał spadł ok. 17 metrów. Połamał w drobny mak obie nogi i miednicę. Dziś zaleca się zjazd płynny, by nie szarpać na stanowisko i stanowisko z dwóch punktów, ale wówczas była taka moda, taki szpan.

Michał wylądował na długo w szpitalu w Zawierciu, w dobrym szpitalu z dobrą chirurgią (łatali tam ludzi po wypadkach w kopalniach). Później już w Warszawie Michał długo jeszcze nosił gips. Jako młodzi ludzie byliśmy dość imprezowi (na imprezy nie mówiło się wśród nas „prywatki” tylko „spęd bydła”). Michał w czasie tych imprez potrafił gdzieś zniknąć, by obudzić się w parku na ławce bez gipsu, bo go sobie zdjął. W każdym razie w końcu go wyleczono skutecznie. Pozostało mu tylko opadanie prawej stopy, ale świetni sobie z tym radził.

W lecie 1971 roku byliśmy z Krzyśkiem i Piotrkim na Hali Gąsienicowej w Betlejemce (wówczas prywatnym schronisku). Michał, gdy wyjeżdżaliśmy z Warszawy, miał jeszcze ostatni gips. Pewnego dnia zadzwonił do schroniska z dworca w Zakopanem i powiedział, że nie ma już gipsu i trzeba pomóc mu zanieść plecak, bo on będzie szedł na Halę. Zeszliśmy z Krzyśkiem do Kuźnic, gdzie Michał podjechał PKS-em. Szliśmy na Halę Gąsienicową przez Boczań sześć godzin (normalnie chodziliśmy ok. pół godziny), bo Michał z trudem przestawiał nogi. Gdy dochodziliśmy do Betlajemki, ktoś stojący w drzwiach zapytał:

- *Co, nowe buty?*

- *Nie, nowe nogi* – odparł Michał.

Skojarzenie z butami polegało na tym, że wówczas wspinało się w butach „Zawrat”, które miały taką cechę, że niemilosiernie obcierały nogi, dokąd się nie rozchodziły. Produkowanie tych butów powinno być karalne.

Ale wracajmy do lat sześćdziesiątych.

Zaczęliśmy szukać kontaktu z Klubem Wysokogórskim, ale przez przypadek trafiliśmy do SKT – Stołecznego Klubu Tatrzańskiego. Ten klub nie był wyłącznie turystyczny, bo byli w nim także taternicy. Gdy miałem 16 lat, na obozie z SKT

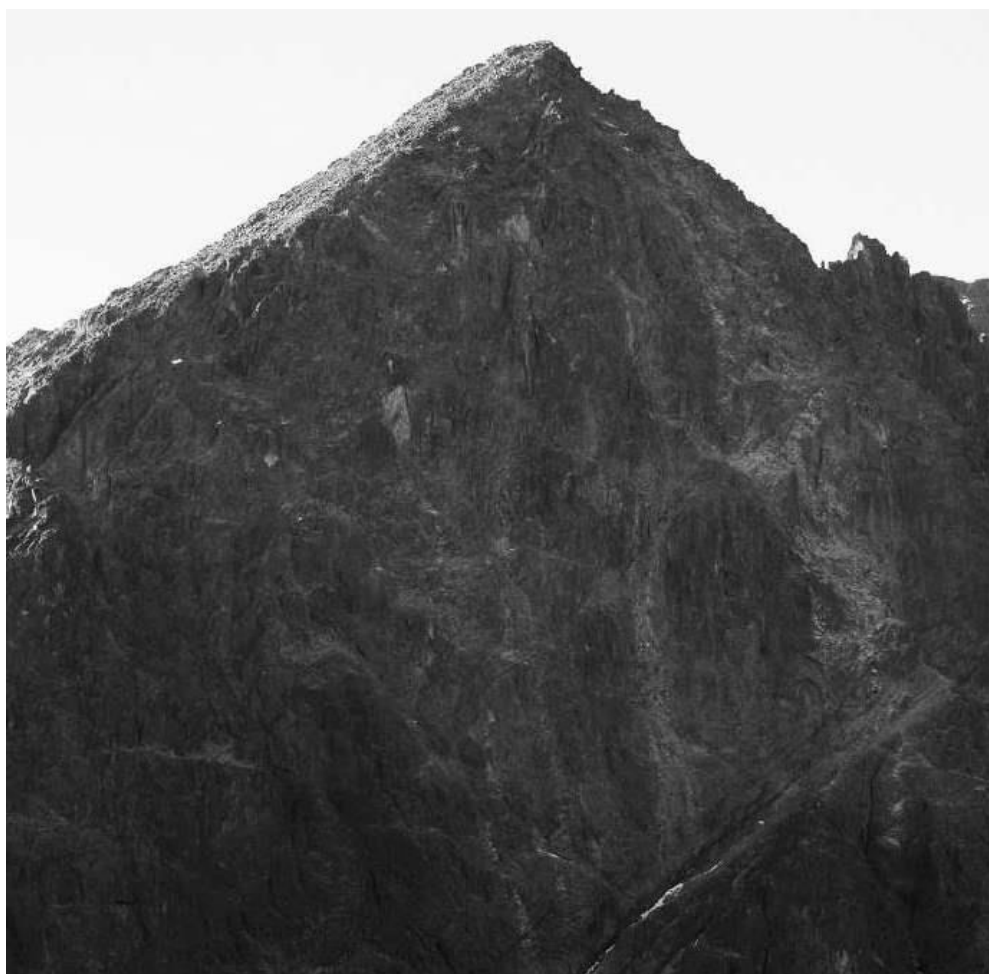
w Dolinie Kieżmarskiej przeszedłem ze słowackim partnerem pierwszą naprawdę poważną drogę tatrzańską, drogę Stanisławskiego na Małym Kieżmarskim. Ponad 900 metrów pionowej skalnej ściany o trudnościach V to było dla szesnastolatka naprawdę coś. Wspinaliśmy się cały dzień i ze szczytu schodziliśmy po ciemku. To już nie były ścianki takie jak Zamarłej Turni, gdzie przechodziłem Lewych Wrześniaków (140 m), czy Kościelca z Kominem Świeża, lub „Sprężyną” (80 m). To była ściana, jak to się mówi, „po byku”. Oczywiście miałem za sobą już trochę tatrzańskich wspinaczek, ale głównie w rejonie Hali Gąsienicowej i nigdy więcej jak „stare pięć”. Różne Filary Świnicy, Filary Staszla itp. Stanisławski na Małym Kieżmarskim w porównaniu z tym mają się, jak fikołki na trzepaku do skoku o tyczce.



Mam 16 lat, na obozie SKT w Dolinie Kieżmarskiej, pod ścianą Jastrzębiej Turni. Fot. Bożena Jesionkiewicz.

W tym czasie, gdy ja byłem w Dolinie Kieżmarskiej na Słowacji, zdarzył się ciekawy incydent. Po powrocie ze Słowacji od razu pojechałem do Warszawy i udałem się prosto do domu, a tu patrzą na mnie jakoś dziwnie, mówią, że się cieszą, że nic mi nie jest itp. Patrzę na rodziców i siostrę jak osłupiały i nie wiem o co chodzi. Okazuje się, że zostałem prawie uśmiercony przez prasę.

W tamtych latach wychodziły tylko trzy główne ogólnopolskie gazety: „Trybuna Ludu”, „Życie Warszawy” i „Sztandar Młodych” i kilka gazet o znacznie mniejszym zasięgu. Pewnego dnia we wszystkich trzech ukazała się mała PAP-owska notatka: W rejonie Hali Gąsienicowej w Tatrach uległ wypadkowi taternik Jerzy Łoziński z Warszawy. W stanie ciężkim został przewieziony do szpitala.



Górna część północnej ściany Małego Kieżmarskiego Szczytu. Droga Stanisławskiego idzie mniej więcej środkiem. Fot. Archiwum K.Ł



Ja mam na imię Krzysztof i nie mam drugiego imienia, ale Jerzy to imię mojego ojca. Można więc było zrozumieć, że chodzi o mnie, a tylko ktoś pomylił imiona. Moi rodzice nie od razu tę notatkę przeczytali. Mój ojciec, nic nie wiedząc, poszedł do pracy, a tu koledzy zadają mu dziwne pytania:

- *Panie inżynierze, czy pański syn jest taternikiem?*

- *Jest.*

- *A czy pański syn jest w Tatrach?*

- *Jest.*

Po paru takich pytaniach ojciec zażądał, by w końcu powiedzieli mu, o co chodzi. Dopiero wtedy przeczytał tę notatkę. No i zaczęły się telefony do Zakopanego. Hela Hajdukiewiczowa zapakowała jakieś pomarańcze i herbatniki i pognęła do szpitala. Zobaczyła w szpitalnym łóżku wysokiego blondyna, który w dodatku wcale nie był „w stanie ciężkim”.

**POLSKI ZWIĄZEK ALPINIZMU**  
**KARTA TATERNIKA**

Nr. 467

**Krzysztof Łoziński**

16.07.1948 r.

W-wa, ul. Miodowa 20 m. 3

Karta upoważnia do uprawiania alpinizmu na terenie PRL zgodnie z Regulaminem Stopni Alpinistycznych PZA.

Posiada stopień  
**TATERNIKA ZWYCZAJNEGO**

Przynależność klubowa: KW Warszawa

Data: 7.7.76 r.

Posiada stopień  
**ZWYCZAJNEGO**  
**TATERNIKA JASKINIOWEGO**

Przynależność klubowa: pieczęć

Data: podpis

\* Zmiana przynależności klubowej: pieczęć

Data: podpis

To nie ja zacząłem mieć najwyższy stopień taternicki w 1976 roku. Miałem go wcześniej w Klubie Wysokogórskim. W 1976 roku zaistniał Polski Związek Alpinizmu i zaczął wystawiać dokumenty od daty swego zaistnienia.

Okazało się, że w szpitalu nie są wcale pewni, jak się delikwent nazywa, a już na drugi dzień okazało się, że to zupełnie kto inny. Po prostu prasa PRL-u była bardzo

beztroska. Korespondent PAP-u usłyszał niedokładnie nazwisko, które zresztą było podobne, ale inne (Łozowski), i napisał cokolwiek, nie przejmując się tym, że czyjaś rodzina może to przeczytać.

Jest taki przesąd, że jak kogoś pochowają przez pomyłkę, to będzie długo żył i widać coś jest w tym prawdy, bo przez pięćdziesiąt lat uprawiania alpinizmu, w tym dobre trzydzieści lat bardzo intensywnie, nie miałem żadnego wypadku. To aż nieprawdopodobne, ale tak było. Miałem wprawdzie odpadnięcia i loty z lawinami, ale nigdy mi się nic nie stało. Raz tylko w Himalajach zwicznęłam nogę, ale w potoku, a nie w czasie wspinaczki.

Przez pierwsze kilka lat wspaniałem się nie należąc do żadnego klubu. Nigdy nie byłem kursantem na kursie taternickim, byłem natomiast kilka razy na takich kursach instruktorem. Gdy w końcu zapisałem się do Klubu Wysokogórskiego zostałem niemal natychmiast taternikiem zwyczajnym (najwyższy stopień uprawnień).

Daleko odszedłem od czasów „wlezenia do Kirkora”.

# Sztuki plastyczne



„Mazurska symetria”.

## Malarstwo, grafika, fotografia

(W tym rozdziale zdjęcia i obrazy są mojego autorstwa, o ile nie podpisano inaczej).

## O zdjęciach na których nic nie widać.



„Srebrny”. Pasikonik na kwiecie dalii.

Znajomy wydawca powiedział:

*- Na tych twoich zdjęciach to nic nie widać. Wszyscy są z tyłu, z boku lub w ruchu.*

Tymczasem mój ojciec, który pierwszy wprowadzał mnie w fotografię mawiał:

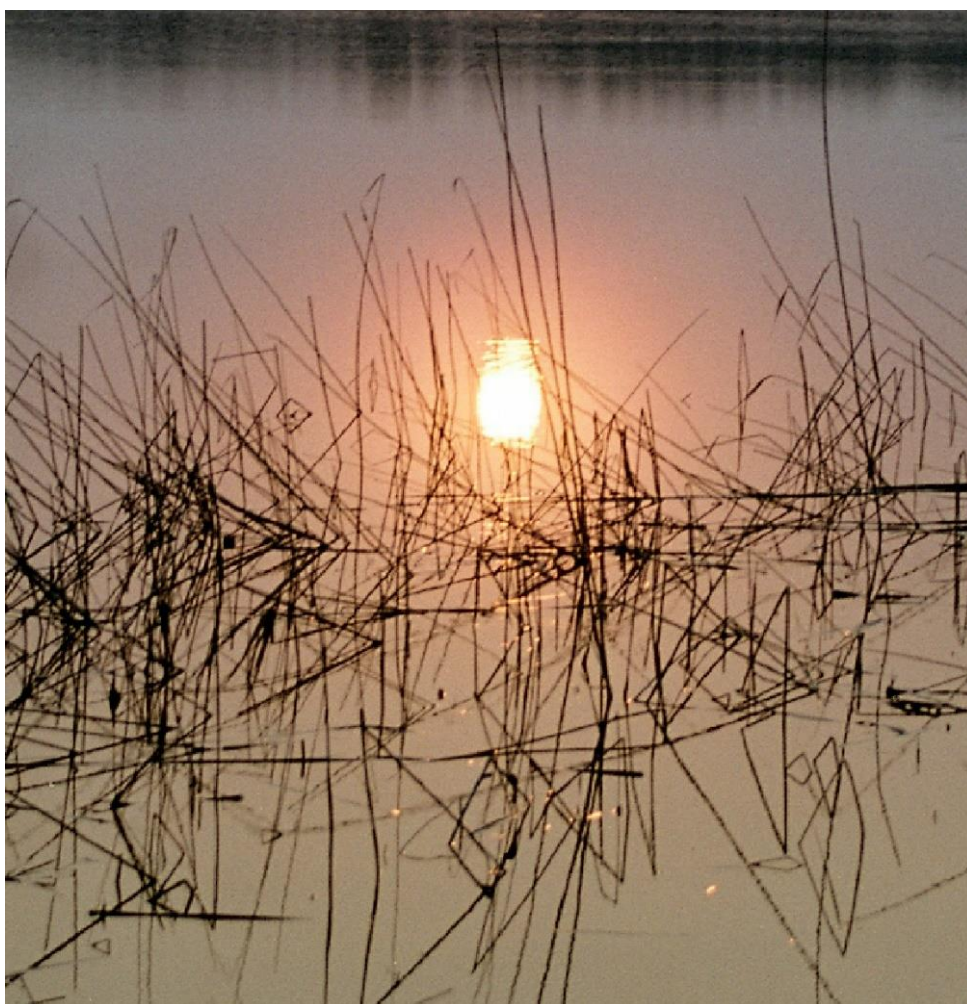
*- Najlepiej fotografować ludzi, kiedy o tym nie wiedzą. Wtedy są najbardziej prawdziwi, nie udają, nie pozują. Zdjęcia en face robi się do legitymacji i do pomnika na grobie.*

Wiele lat później dobra przyjaciółka pokazywała mi zdjęcia ze swojego wyjazdu z dziećmi do Tajlandii. Powiedziała:

- *Widzisz, na każdym zdjęciu przed czymś, świątynią, zabytkiem, zawsze jesteśmy my na pierwszym planie.*

- *Czy po to by fotografować siebie trzeba tak daleko jeździć? – zapytałem. Omal się nie obrazila.*

To jest problem pojmowania fotografii jako pamiątki, czy jako sztuki. Owszem w fotografii są różne dziedziny. Jest rzemiosło (*panie Jasiu, proszę iść na Starówkę i zrobić zdjęcie rynku do artykułu* - mówi redaktor), jest reportaż, fotografia studyjna i jest to, co najbardziej lubię: malowanie obiektywem. Traktowanie zdjęcia jako dzieła sztuki, minimum jako estetyki. Stąd wiele nieporozumień. Dla mnie na zdjęciu ma być forma, kolor i kompozycja. Jest takie powiedzenie: dobry fotograf znajdzie piękno nawet w śmietniku. Piękno może być wszędzie, tylko trzeba umieć je zauważyć. Nie tyle ważne jest to, co fotografuję, tylko jak.



„Sitowie”

Kiedyś chodziłem wokół taboriska (obozowiska taternickiego) w Morskim Oku i szukałem ciekawych ujęć przyrody. Wtedy spod jednego z namiotów usłyszałem:

*- Ten Łoziński to wariat. On fotografuje trawę.*

## **Pierwszy aparat**

Mam siedem lat. Właśnie poszedłem do szkoły, do pierwszej klasy. Dostałem od taty pierwszy aparat fotograficzny, ale nie wiedziałem, co mam z nim robić. Ten aparat był podobno „zdobyczny” z czasów wojny. Przypominał pudełko. Był prostopadłościanem z obiektywem pośrodku przedniej ściany. Nie miał nawet żadnego celownika. Tylko dwie rolki do przewijania kliszy, migawkę i w tylnej ścianie czerwone okienko do odczytywania numeru klatki przy przewijaniu filmu. Film był na klatki 6 x 9 cm. Nie było nastawiania odległości, czasu ani przesłony. Miał dwie fazy: zrobienie pstryk i niezrobienie pstryk. Nie pamiętam, czy w ogóle zrobiłem tym aparatem jakieś zdjęcie, być może nie.

Ten pierwszy aparat straciłem dosyć szybko. Pożyczyłem go jakiemuś koledze na wycieczkę szkolną i już nie wrócił (aparat, nie kolega). Jako człowiek, który obecnie jest pasjonatem fotografii, zacząłem karierę fotografa nadzwyczaj skromnie. Po prostu w dzieciństwie dosyć długo fotografowanie w ogóle mnie nie interesowało. Dziś żałuję, że na przykład nie mam zdjęć z pierwszych wspinaczek i paru innych ciekawych życiowych epizodów, bo ich po prostu nie zrobiłem.

Kolejny aparat był już lepszy. Niestety nie pamiętam marki. Był też 6 x 9 cm, miał obiektyw na wyciąganym miechu, jeden czas, jedną przesłonę, ale odległość można było regulować wysunięciem miecha. Kłopot tylko w tym, że był to sprzęt używany, nie wiem przez kogo i skalę odległości na wysięgniku miecha miał zatartą. Tym aparatem posługiwałem się parę lat, także w okresie pierwszych wspinaczek, ale on zupełnie nie nadawał się do robienia zdjęć w górach (poza pejzażami). Po prostu był za duży i zbyt nieporęczny.

Gdy miałem kilkanaście lat dostałem od rodziców polski aparat Alfa. Bardzo fajny aparat, lepszy od używanego wówczas Druha. Ten aparat miał już wszystkie nastawy, ale nie był lustrzanką i oczywiście nie miał światłomierza. Tym sprzętem zrobiłem już sporo zdjęć, głównie rodziny i swoich psów. Gdy byłem już starszym nastolatkiem, zhandlowałem ten aparat za wykopany z gruzów zardzewiały i niesprawny rewolwer Nagan. No cóż, nastolatki miewają głupio w głowie. Ten rewolwer zresztą później zgubiłem i więcej nie znalazłem.

Alfa to był naprawdę porządny aparat, z niezłym obiektywem i innymi parametrami. Był przy tym ładny. Osobna sprawa, że bardzo długo, aż do pełnoletności, fotografia w ogóle mnie nie interesowała, a było to dziwne, bo wychowywałem się w środowisku bardzo twórczych ludzi, w tym malarzy i fotografów. Mój ojciec zawzięcie fotografował, ale robił odbitki maleńkie, sześć na dziewięć centymetrów. Robił bardzo dobre zdjęcia, ale w takim maleńkim formacie nie było ich widać. Gdy ja zacząłem robić odbitki w formacie A4, był zaskoczony jakością swoich zdjęć.



Przysłop Miętusi zimą. Fot. Jerzy Łoziński.

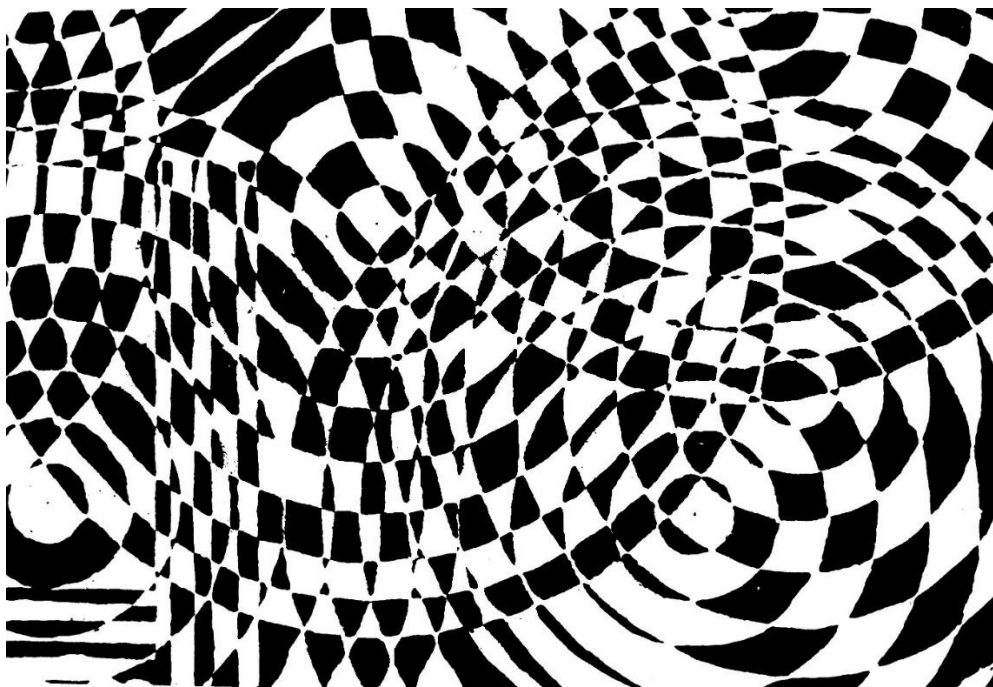
## Pędzlem

Nie od razu zająłem się fotografią. Wychowywałem się w środowisku malarzy, głównie abstrakcjonistów. Dlatego moje pierwsze próby twórczości artystycznej zaczęły się od malarstwa.

Mając wczesne kilkanaście lat, będąc z rodzicami na Turbaczu, ujrzałem dalekie ośnieżone Tatry. Miałem blok rysunkowy i akwarele. Położyłem szare tło i namalowałem jakby wiszące w powietrzu białe, ośnieżone góry. Po powrocie ojciec pokazał ten malunek Boguszowi, a on popatrzył na mnie i powiedział:

*- No Krzysiek, ty masz talent.*

Taka pochwała od wybitnego malarza bardzo mnie podbudowała (Marian Bogusz miał za życia ponad dwieście wystaw, w tym wiele zagranicznych).



„Wirowanie”, olej na płótnie.

Dziś mam taki kłopot, że w czasie mojego skomplikowanego życia prawie wszystkie moje prace z tego wczesnego okresu zaginęły. Część rozdałem, część gdzieś się zawieruszyła, część moja partnerka pochłapała farbę emulsyjną (malowała sufit i zapomniała zdjąć obrazy ze ścian), a część zniszczyli „krytycy sztuki z SB”. Ci ostatni robili nam parę razy „przeszukania pogłębione”, czyli połączone



z niszczeniem wszystkiego, co się dało. Na przykład sprawdzali „czy pod obrazem czegoś nie ma”. Polegało to na przecięciu płótna nożem na krzyż.



„W drogę”. Tempera na papierze. Ten obraz uległ zniszczeniu. Zachowała się tylko czarnobiała fotografia, której teraz na komputerze przywróciłem kolor.

Początkowo malowałem głównie martwe natury, naczynia, kwiaty. Ale szybko zaczęła mnie interesować grafika w stylu op-art. Wypracowałem pewien własny styl czarno białych figur geometrycznych, których przecinające się linie dzieliły przestrzeń na różnokolorowe pola, najczęściej czarne i białe. Stopniowo zacząłem między tę czerń i biel wprowadzać kolor.

## Światłem



„Obroty światła”.

Następnym etapem było malowanie światłem. Kładłem na papierze fotograficznym różne przezroczyste przedmioty lub wieszałem je nad papierem i naświetlałem błyskiem światła.

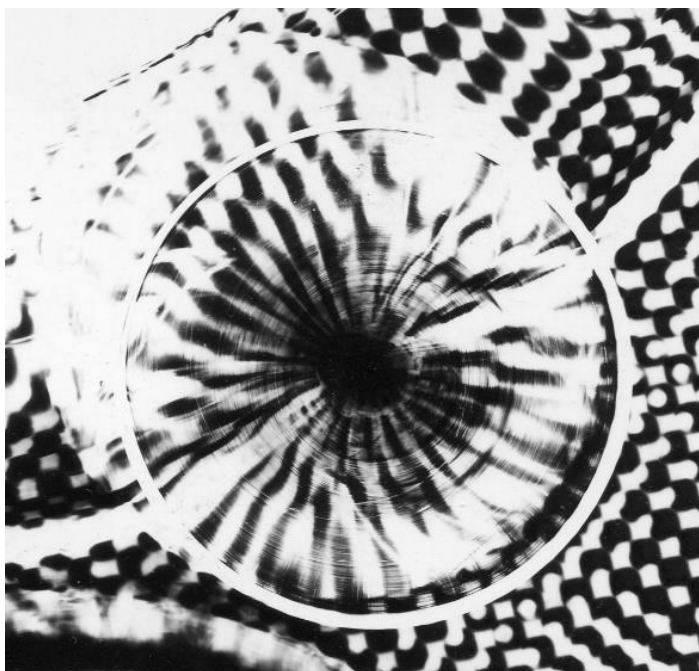
Do tego zacząłem stosować różne rastry, od tinty zwanej też „gazetową” (72 punkty na cal), bo taki raster stosowano wówczas do druku zdjęć w gazetach, po porządnym rasterze poligraficznym (300 punktów na cal). Z rastrami i filmami graficznymi był problem, bo komuna bała się podziemnej poligrafii i rastry oraz filmy i klisze graficzne były sprzedawane tylko legalnym drukarniom. Ktoś taki jak ja nie mógł ich legalnie kupić. Szczęściem w kłopotcie pomagał mi kolega Krzysiek Kleczkowski, który nieznanym mi sposobem miał dostęp do takich materiałów i porządnego wywoływacza Rodinal.



„Siatka”.

Nawiasem mówiąc podobne kłopoty miałem przy malowaniu. W sklepie dla plastyków nie mogłem kupić dobrych farb albo blejtramu, bo wymagano albo

legitymacji Związku Plastyków, albo legitymacji studenta ASP. Student fizyki nie miał prawa malować w PRL. Gdyby nie Marian Bogusz byłbym skazany na dziecięce farbki ze sklepu papierniczego.



„Obrotowo”. Raster i pseudosolaryzacja.

Eksperymentowałem też z pseudosolaryzacją, zjawiskiem częściowego odwrócenia obrazu z pozytywu na negatyw za pomocą krótkiego doświetlenia odbitki podczas wywoływania. Dawało to dość ciekawe efekty graficzne. Ale, jak widzicie, ciągle byłem w kręgu op-artu, tylko przy użyciu technik fotograficznych.

## **Pracownia**

Rodzice spokojnie tolerowali moją pasję, ale Magda się wkurzała, bo zaanektowałem cały pokój na ciemnię. W końcu zawarliśmy kompromis. Wybudowaliśmy ściankę w przedpokoju, za którą była moja ciemnia. A było to dla mnie ważne, bo w pewnym momencie zacząłem się zajmować fotografią barwną.

Dziś ktoś powie: no to co? Ale w tamtym czasie nie było to proste. O ile filmy i odbitki czarno-białe można było wywoływać przy czerwonym świetle, o tyle fotografia barwna wymagała niemal całkowitej ciemności, no w najlepszym wypadku światła oliwkowego, które od ciemności niewiele się różniło.

Dziś, gdy jest fotografia cyfrowa, wszystko jest proste. Miliony ludzi pstrykają telefonami, często bez sensu i bez wysiłku publikują te zdjęcia w mediach społecznościowych. No to prześledźmy proces fotografowania i robienia odbitek z tamtych czasów.

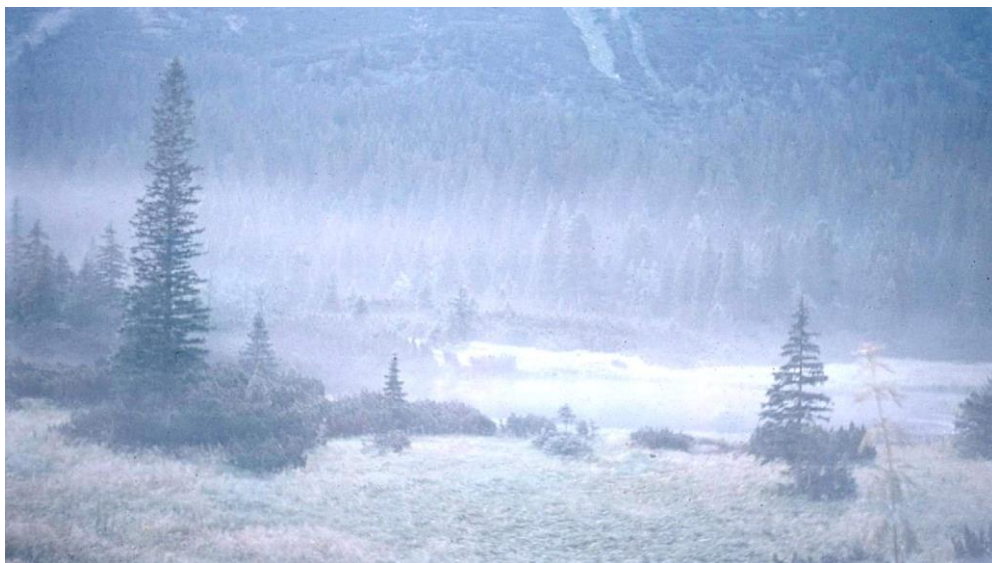
Zacznijmy od aparatu. W tamtym czasie posługiwałem się najczęściej Smieną 8M, aparatem małoobrazkowym produkcji sowieckiej. To był całkiem niezły aparat (jak na tamte czasy). Oczywiście nie miał żadnej automatyki. Trzeba było na oko ustawić czas, przesłonę i odległość. Smiena miała całkiem niezły obiektyw 40 mm, czyli pośredni między standard a szerokokątnym. To było bardzo dobre rozwiązanie, bo dzięki niemu uchodziły na sucho drobne błędy w ocenie odległości. Ale główną zaletą Smieny było to, że była tania i gdy w górach spadła, to bardziej było żal naświetlonego filmu, niż aparatu. Po prostu szło się do sklepu i kupowało następną. Raz nawet przejechałem się ze Smieną w lawinie. Aparat pod ciśnieniem śniegu się otworzył i nabiło śniegu do środka. W schronisku wylałem z aparatu wodę ze stopionego śniegu, wysuszyłem i działał jak stary. Spróbujcie coś takiego zrobić z moim dzisiejszym Pentaxem. Byłby do wyrzucenia. Smiena, poza obiektywem, była całkowicie plastikowa i dzięki temu nie zamarzała na mrozie. A było to istotne, bo na przykład Zenit, teoretycznie lepszy od Smieny, zmarnował mi wszystkie zdjęcia z wyprawy na Tirich Mir. Po prostu na mrozie dał perforację filmów i wszystkie zdjęcia na każdym filmie robiłem na jednej klatce nie wiedząc o tym. Wszystkie filmy były do wyrzucenia.



Koreks na dwa filmy. Filmy wprowadzało się w rowki szpul. Fot. Wikipedia.

Ale wróćmy do techniki, co adresuję głównie do młodych czytelników wychowanych już na fotografii cyfrowej. Aby wywołać film trzeba było po ciemku włożyć go do koreksu, co wcale nie było łatwe nic nie widząc. Dalsze czynności robiło się już przy świetle, bo koreks był światłoszczelny. Następnie do koreksu wlewało się

wywoływacz, który musiał mieć odpowiednie stężenie i temperaturę. Trzeba było pilnować czasu wywoływania, bo zagapienie się kosztowało zmarnowanie filmu. Później natychmiast trzeba było przepłukać film wodą z resztek wywoływacza i włączyć utrwalacz. Przy każdym procesie czas, stężenie i temperatura. Jeden błąd marnował całą pracę.



„Rozlewiska Rybiego Potoku o świcie”. Slajd na filmie ORWO CHROM. Postawiłem aparat Smiena 8M na kamieniu i trzymałem nieruchomo przez chwilę. Jedna z pierwszych odbitek ze slajdów, jaką zrobiłem w domowym laboratorium. Zdjęcie nagrodzone w konkursie fotografii górskiej.

Następnym etapem było robienie odbitek. Tu już błędy były do naprawienia, o ile błąd przy wywoływaniu filmu był nieodwracalny. Naświetlało się papier fotograficzny przez kliszę w powiększalniku. Gdy jako dziecko widziałem pierwszy raz powiększalnik u Mariana Bogusza, naiwnie myślałem, że wkłada się tam odbitkę i się ją powiększa, czyli mechanicznie rozciąga.

Przy robieniu odbitek można było dodawać różne efekty, np. pseudosolaryzację lub raster. Można też było robić pewien montaż, na przykład zasłaniając część kadru i później naświetlać ją innym zdjęciem. Jednym słowem tu już można się było pobawić. Odbitki czarnobiałe można było robić przy słabym czerwonym świetle.

O ile samo wywołanie filmu było dość proste, to przy odbitkach zaczynała się zabawa. Robiłem pierwszą odbitkę i patrzyłem: ach, za dużo czerwieni, za mało niebieskiego itd. Miałem powiększalnik Krokus Kolor z głowicą filtracyjną. Kolory poprawiało się manewrując filtrami i patrząc na rezultat przy kolejnych próbach.

Bywało, że zrobienie dobrej odbitki trwało wiele godzin, nawet cały dzień. Oczywiście zawodowe laboratoria miały odpowiednie światłomierze i inne sprzęty, ale dla takiego amatora jak ja były one niedostępne.

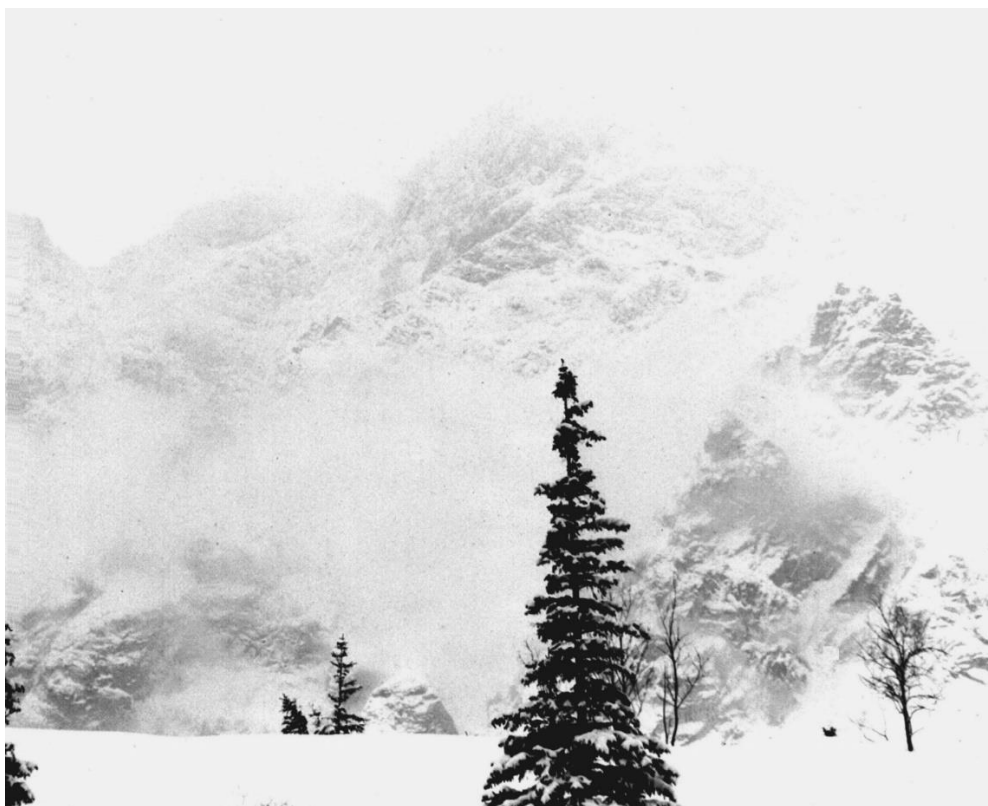


„Kazimierz Dolny nad Wisłą”. Postawiłem aparat na statywie na środku ulicy. Kierowcy cierpliwie czekali.

Fotografia barwna istniała jeszcze przed drugą wojną światową, ale na poziomie powszechnie dostępnym w Polsce pojawiła się dopiero w połowie lat

siedemdziesiątych. Wcześniej dominowały zdjęcia czarnobiałe. W latach 70-tych pojawiły się też slajdy ORWO Color a później lepsze ORWO Chrom. Jednakże przeniesienie slajdu na odbitkę barwną nie było proste. Już samo wywołanie slajdu nie było łatwe. Najlepiej było wysłać film do zakładów FOTON w Bydgoszczy i im zostawić ten kłopot. A jednak zdołałem opanować tę sztukę. Wyświetlałem slajd od tyłu na biały ekran perełkowy i fotografowałem ten obraz na filmie negatywowym, z którego robiłem odbitkę. Do dziś mam jeszcze projektor do wyświetlania slajdów, choć dawno go nie używałem.

Tak więc, młodzieży szanowna, fotografowanie w tamtych czasach nie było takie proste, jak dziś, gdy zamiast skomplikowanych procedur fotograficznych wystarczy parę kliknięć na komputerze.



„Mięgoszowieckie szczyty we mgle”. Czasem opłacało się zrobić proces odwrotny – z barwnego slajdu czarnobiałą odbitkę. Slajd był niebieskobiały, bo na zdjęciach śnieg w cieniu jest niebieski (średnia długość fali światła rozproszonego). Nasz mózg to koryguje, bo wie, że śnieg ma być biały, ale klisza nie myśli.





„Pelargonia”.

### **Malujemy obiektywem**

Fotografia zawsze była dla mnie przedłużeniem malarstwa. Mniej ważne jest to, co jest na zdjęciu. Ważny jest kolor, forma i kompozycja. Ponieważ zaczynałem od op-artu, preferuję pełne mocne kolory i malarską kompozycję. Oczywiście robię od tego odstępstwa. Ale zawsze zdjęcie jest dla mnie obrazem namalowanym obiektywem.

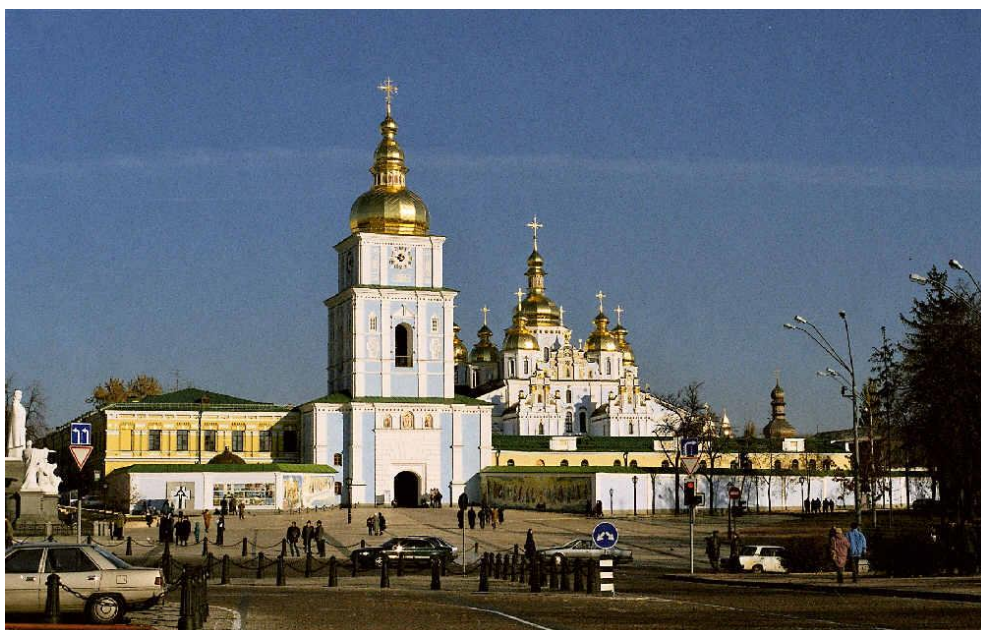
Nie ma obiektów, których się nie fotografuje. Tym się różni fotografik od fotografa. Może fotografować trawę i nie jest się wariatem. Nie ma też „banalnych” tematów. Na przykład nie jest „banalne” fotografowanie kwiatów. Weźmy przykład z malarstwa, głównie z impresjonistów. Czy „Słoneczniki” Van Goga są „banalne”?

Amatorów uczy się „zasad”: nie rób zdjęć pod światło, prosto w słońce, po ciemku... Ale tam, gdzie zaczyna się poprawność kończy się sztuka.

Oczywiście w tej chwili mam dobry nowoczesny aparat cyfrowy i komplet obiektywów. Do tego skaner pozwalający też skanować slajdy i komputer z oprogramowaniem graficznym. To już zupełnie nowa epoka, ale dawna szkoła dała mi ważną naukę - szacunek do kompozycji i pewną wyobraźnię. Także szacunek do zdjęcia, niemarnowanie klatek. Fotografie nie pstrykaj bez sensu.



„Prosto w słońce”.



Kijów, Monaster św. Michała. No taki prosty kadr, ale... po placu Chmielnickiego, z którego robiłem zdjęcie jeździ tramwaj i cały kadr przesłaniają druty. Wyretuszowanie ich z kadru zajęło mi kilka godzin.

Podstawą fotografii nie jest technika, bo tej można nauczyć konia. Podstawą jest umieć widzieć to, czego inni nie widzą, patrzeć obiektywnie, filmem, kadrem. W wielu przypadkach „pstryknięcie” zdjęcia to dopiero początek pracy. Siadam do komputera i pracuję, nad kadrem, kompozycją, kolorem. Wiele zdjęć wymaga przerobienia światła, koloru, kadrowania a nawet usunięcia zbędnych obiektów. Przy fotografii miasta najczęściej trzeba usunąć z kadru całą masę słupów, latarni, drutów. Chodząc po mieście nie zdajemy sobie sprawy, ile tego świństwa zasłania nam obiekty.



Kościół Św. Anny w Warszawie. Po kilkugodzinnej obróbce w programie graficznym. Prostowanie perspektywy (by elewacja nie zwiężała się do góry) i usuwanie latarni, słupów i drutów.

Miałem kiedyś zamówienie na zdjęcia do przewodnika po Warszawie. Okazało się, że to kawał ciężkiej roboty. Trzeba zarobić zdjęcia obiektów tak, by nic ich nie zasłaniało (słupy, druty, ludzie). Na ogół nie zadajemy sobie sprawy z tego, jak zadrutowane są nasze miasta. W dodatku elewacje muszą być jednocześnie oświetlone, a tu na każdy obiekt o różnych porach przeróżnie pada światło. Idziesz do jednego zabytku, fajnie, cały w słońcu, idziesz do drugiego, a on w cieniu. W słońcu będzie jutro rano.



Starówka i Plac Zamkowy w Warszawie. Aby nie mieć w kadrze tłumu ludzi, wycieczek i autokarów, trzeba fotografować o piątej rano.

Kolejny problem to ludzie. W niektórych miejscach niemal cały czas są tłumy ludzi, autokary i ogródki kawiarniane. Rynek Warszawskiej Starówki latem jest cały zastawiony takimi ogródkami. Aby go sfotografować, trzeba przyjść w październiku.

Gdy fotografowałem zabytki Angkor w Kambodży, problemem były japońskie wycieczki. Przed każdym obiektem stoi japońska wycieczka, jakieś 20 osób lub więcej. Jeden Japończyk robi zdjęcie grupy „na tle”. Następnie przyłącza się do grupy, z której wychodzi następny i robi zdjęcie grupy „na tle”. I tak po kolei wszyscy. Godzina z głowy, o ile nie przyjdzie kolejna wycieczka. To są ci ludzie, co robią sobie zdjęcia na tle Fontanny di Trevi. Fontanny na niej nie widać, ale „to my w Rzymie” mówimy pokazując zdjęcie cioci. Inną plagą są faceci w Indiach i Nepalu, którzy stoją specjalnie w środku naszego kadru, bo trzeba dać im rupię, za to, że zrobiło się im

zdjęcie. Przed niektórymi obiektami na Durbar Square w Kathmandu ci panowie postawili sobie nawet krzeselka, by nikt nie zrobił zdjęcia nie płacąc.

Problem jest większy, gdy chcemy zrobić nie banalne zdjęcie takiego obiektu, jak z widokówki, tylko ujęcie ciekawsze. To już wymaga więcej czasu i roboty.

I tu pewna refleksja. Gdy Ansel Adams robił słynne zdjęcie „Księżyc i ściana Halfdome”, musiał ustawić ciężki aparat na statywie i namiot do wywołania negatywu na pycie szklanej. Kupa roboty, więc nie pstrykało się ot tak. Dziś ludzie robią zdjęcia nie tylko aparatami, ale i telefonami komórkowymi. Codziennie powstaje na świecie miliard zdjęć, w większości nic nie wartych, ale i parę milionów zdjęć świetnych i jakiś milion wybitnych. Dziś by zostać zauważonym trzeba najpierw umrzeć i zostać klasykiem. Dziś niestety sztuka jest przywalona lawinami tandety, zza których nie wystaje.



Ta Prohm, Angkor, Kambodża. Godzina czekania, aż wycieczka Japończyków sobie pójdzie.

Ale wróćmy do malowania obiektywem. To jest dziedzina, w której mniej ważne jest *co jest* na zdjęciu, tylko *jak jest*. Ludzie nie obcy ze sztuką widzą na zdjęciu np. ślimaka i zaraz powiedzą jaki to gatunek. A ja widzę formę i kolor. I guzik mnie obchodzi, czy to ślimak, czy kamień.



„Pancerny”



„Motyl”



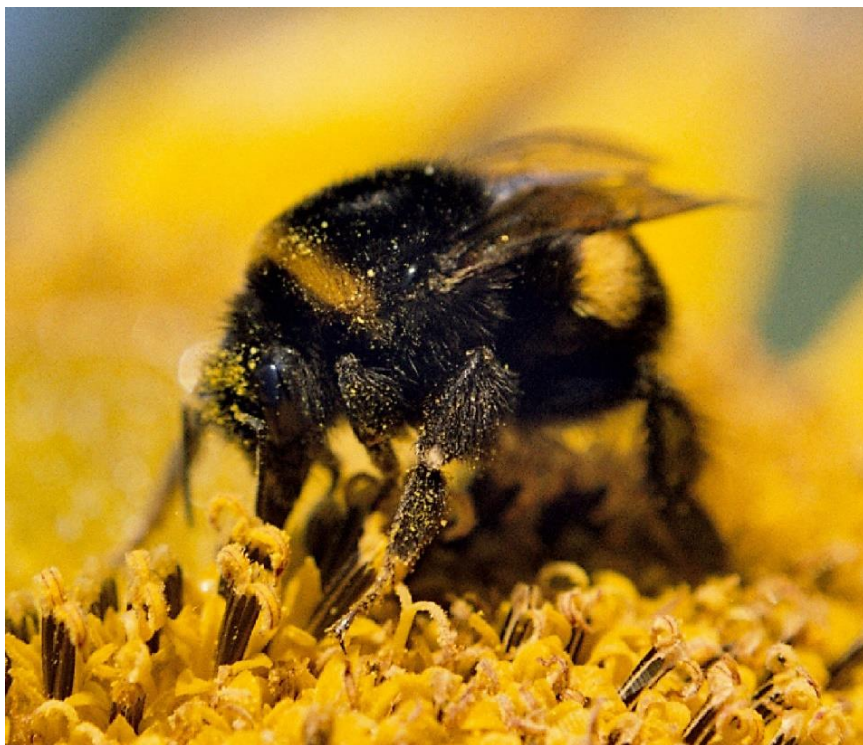
„Kamyki na plaży”

Wiem, że wiele osób tego nie zrozumie, zwłaszcza ci, dla których estetyka sprowadza się do stwierdzenia „ładne, bo różowe” albo „brzydkie, bo czarne”. Ci ludzie zawsze będą widzieć kamień, a nie zauważą jego koloru. Dla wielu ludzi sztuka abstrakcyjna to „bazgroły”. Trudno, trzeba z tym żyć.

### **Makrofotografia**

Inaczej fotografia bardzo małych obiektów. W moim wykonaniu głównie owadów i kwiatów. I znów dla wielu ludzi „robale” są paskudne, albo groźne i trzeba się ich bać. Mnie zafascynowało ich piękno. Przyjąłem przy tym metodę dość trudną. Fotografuje owady żywe w ich naturalnym otoczeniu, podczas gdy wielu kolegów ułatwia sobie robotę łapiąc owady i zamrażając. Owady są zmiennocieplne, więc wystarczy pojemnik z owadem wstawić do lodówki, by obiekt przestał się ruszać.

Wtedy łatwiej fotografować, ale naszego modela najczęściej się przy tym zabija, a to mi nie odpowiada.



„Trzmiel”



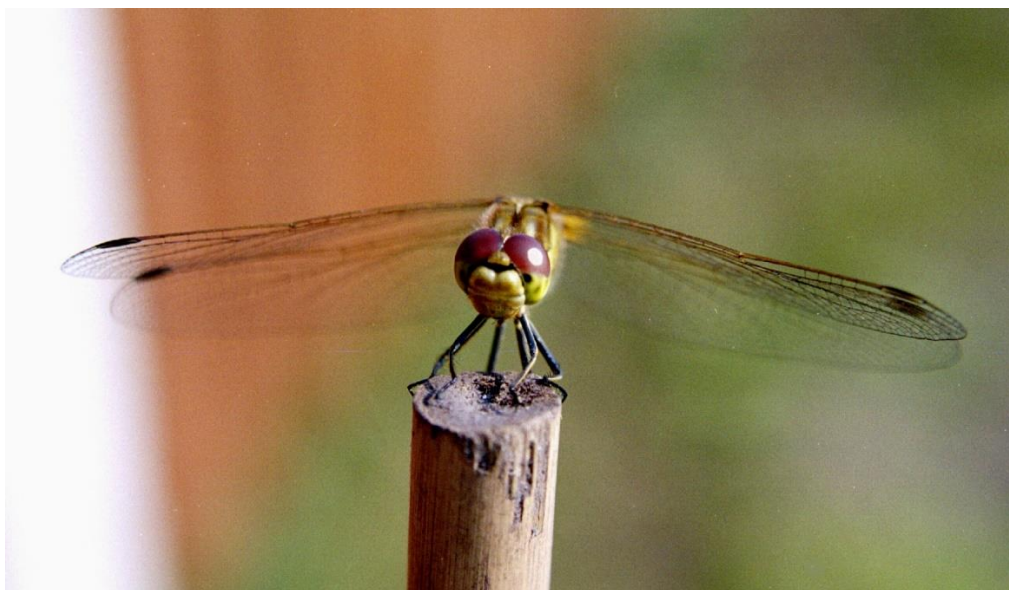
„Osa”



Podobnie z fotografowaniem kwiatów. Ponoć to temat banalny. No i co z tego, skoro piękny. Rozumując w ten sposób wracamy do sposobu widzenia nie jako gry kolorów i kształtów, tylko obiektów.



„Opadłe kwiaty na wodzie”



„Ważka”

No to teraz przejdźmy do zdjęć trochę większych żywych obiektów.

### **To jest żywe i to się rusza**

Gdy zamieszkałem na wsi, znalazłem kolejną pasję: fotografowanie dzikich zwierząt w ich naturalnym środowisku.

Trochę było w tym łatwizny, bo zwierzęta z lasu często podchodzą pod nasz dom. Nie chodziło jednak o to, by w ogóle zrobić zdjęcie na przykład sarny, tylko by zrobić ciekawe zdjęcie sarny. No i oczywiście najlepiej w ruchu i z bliska. Nie sztuka sięść na ambonie z teleobiektywem na statywie i czekać aż zwierzę sama przyjdzie, gdzie trzeba. Sztuka trochę połązić po lesie i szukać.



„Portret sarny”

Zdołałem nawet oswoić zająca, któremu nadaliśmy imię Mnietek (nie Mietek, tylko Mnietek). Zając codziennie urzędował na naszej jeszcze nie uporządkowanej łące. Gdy podchodziłem na pewną odległość nieruchomiał i udawał, że go nie ma. Wtedy i ja nieruchomiałem. Po chwili robiłem jeden krok i znów nieruchomiałem, po czym powoli, bez gwałtownych ruchów wycofywałem się. Codziennie podchodziłem trochę bliżej, przyzwyczajając zająca do mojej obecności i do tego, że nic mu z mojej strony nie grozi. Doszedłem do tego, że Mnietek nawet pozwolił się dotknąć.

Niestety źle się to dla niego skończyło. Któregoś dnia nasz pracownik znalazł tylko krew i sierść. Mnietka załatwił orzeł. Trudno, przyroda jest przyrodą, dokąd jest dzika. Są w niej zające, ale są i orły oraz lisy.



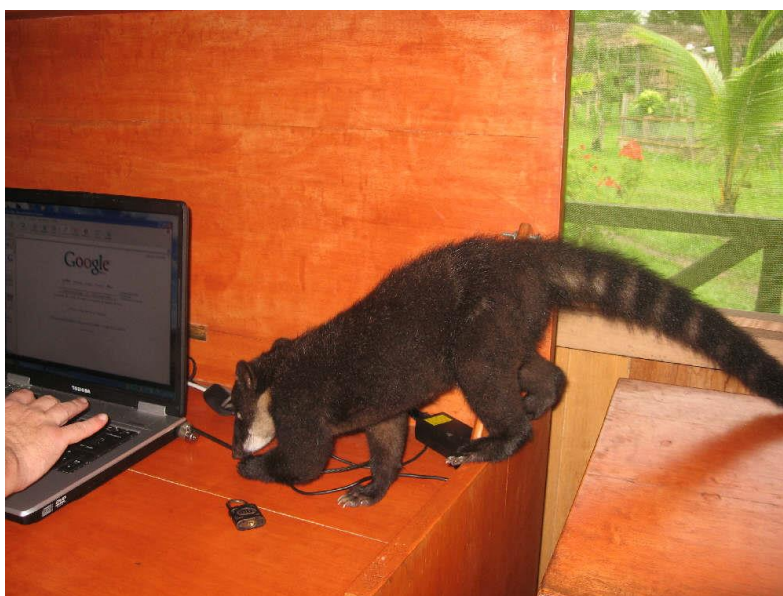
Mnietek już się mnie nie boi na tyle, że mogę blisko podejść, ale jeszcze nie staje w słupka i nie dotyka mojej ręki nosem.

Najwięcej zdjęć dzikich zwierząt zrobiłem w Amazonii. Na te zwierzęta nikt już dawno nie polował i nie bały się ludzi. W miejscu, w którym byliśmy cała gromadka zwierząt z lasu czuwała pod kuchnią i personel nawet apelował, by nie karmić tukanów, tapirów, papug i ostronosów, bo nie będą żarły w lesie, czyli tam,

gdzie ich miejsce. Tukan siedział na barierce naszego balkonu i nawet na suszącym się praniu. Innym razem sprawdzał dziobem, czy mój palec nadaje się do jedzenia. Ostronos rudy, inaczej koati, najpierw wlaź mi na ramię, później na głowę, a gdy usiadłem do komputera, łąził mi po klawiaturze i przeszkadzał w pisaniu maila do redakcji. Tak, tak, proszę państwa, dziś Internet jest nawet w Amazonii, a przed indiańskimi chatami krytymi liśćmi palmowymi stoją anteny satelitarne, tylko Cejrowski jeszcze tego nie zauważył.



Tukan sprawdza, czy mój palec nadaje się do jedzenia.



Koati, czyli ostronos rudy, zwiedza mój komputer.

. Koati, to bardzo ciekawskie i towarzyskie zwierzątko, ale bardzo nie lubiące brudów. Gdy ktoś pali papierosa, to mu wrywa go z ust (bo śmierdzi). Na moim profilu na Facebooku widnieje mój portret z papugą makaw (inaczej czerwoną arą) na ramieniu. Ta papuga sama tam siadła



„Portret tapira”.

Ten młody tapir łąził za mną, bo podrapałem go za uchem i łąsił się jak pies: rób mi to jeszcze...

Wspomnę jeszcze o pewnej przygodzie związanej z fotografowaniem zwierząt. W rejonie Morskiego Oka w Tatrach grasowała przez kilka lat niedźwiedzica Magda. Łaziła nam między namiotami, kradła konserwy, bo nauczyła się je otwierać potężnym uderzeniem łapy. Nie bała się ludzi, ale ludzie bali się jej. Zwłaszcza gdy chodziła z młodymi. W końcu ją złapano i wywieziono do ZOO, gdzie zmarła ze stresu. Udało mi się z bliska zrobić jej zdjęcie, ale go nie pokażę, bo jest nieostre. Koledzy krytykowali mnie, że źle ustawiłem ostrość i światło. Proponuję wszystkim krytykom, by stojąc dwa metry od dzikiej niedźwiedzicy z małymi precyzyjne ustawiali parametry zdjęcia.

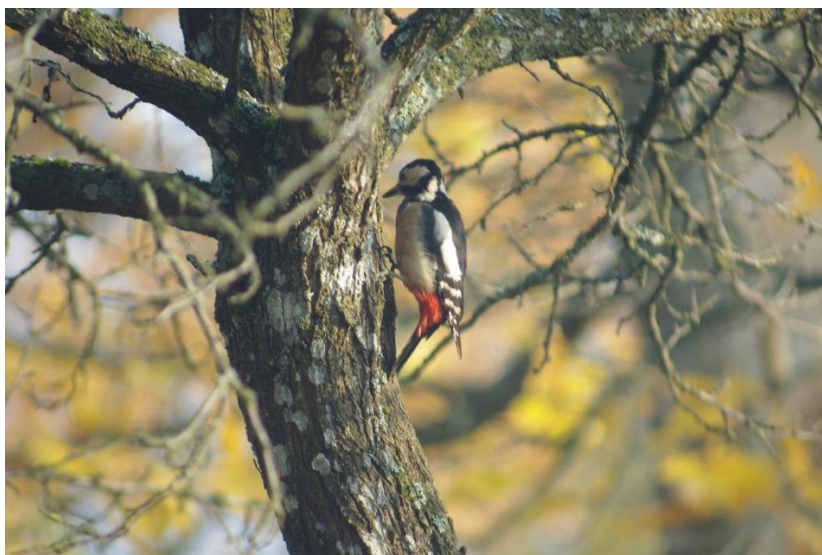
## **Ptaki**



„Kondor na Andami”.

Są ludzie, którzy specjalizują się w fotografowaniu ptaków, czemu się nie dziwię, bo ptaki są piękne. Mnie jednak interesują ptaki nie pozujące do zdjęcia. W Peru udało mi się zrobić kilka zdjęć latających kondorów nad Kanionem Colca. To piękne majestatyczne ptaki o rozpiętości skrzydeł (według Wikipedii) do 3,2 metra, ale peruwiańscy przewodnicy twierdzą, że zdarzają się wielkie osobniki o rozpiętości skrzydeł dochodzącej do czterech metrów.

Ale ptaki rodzime też mogą być ciekawe. Nawet zwykła mewa uchwycona w locie.



„Dzięcioł”.



„Sikorka jak na dłoni”.



„Mewa akrobatka”

No i wróbelek Elemelek.

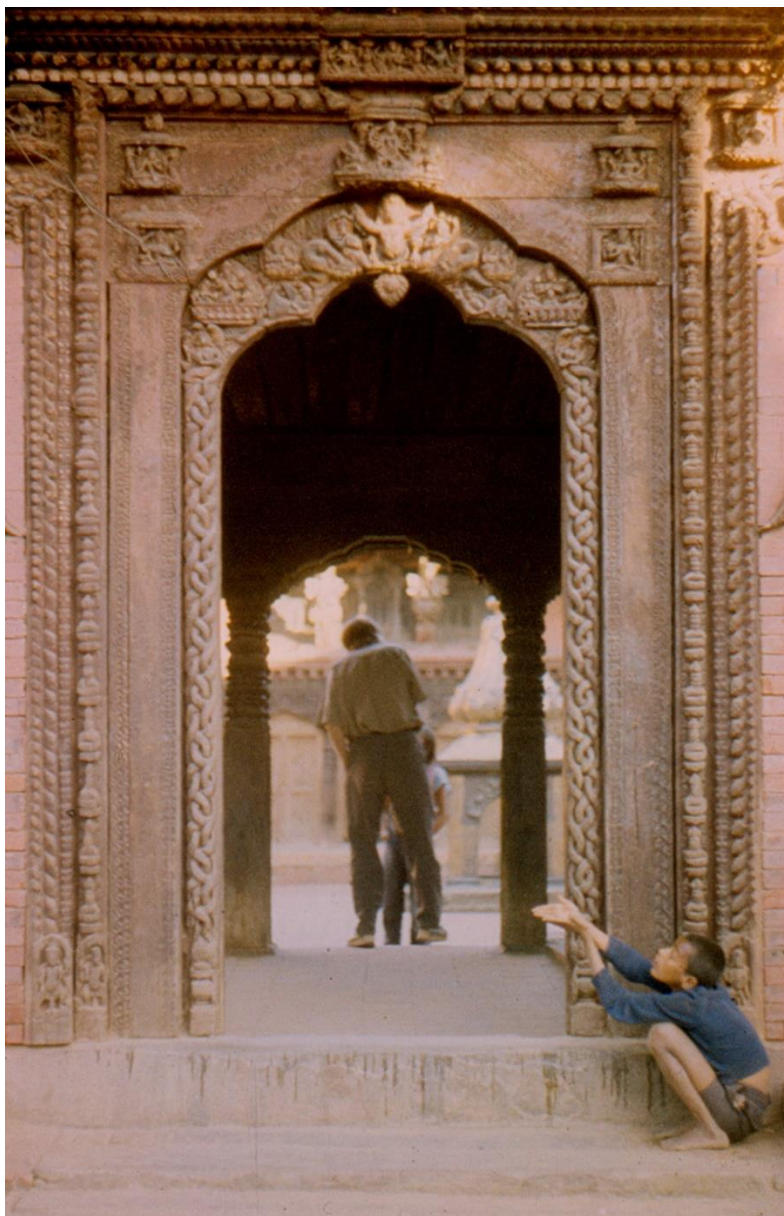


„Elemelek”.



## Zawód reporter

Kilka razy byłem zatrudniany w roli reportera, ale najczęściej zdjęcia reportażowe robiłem z własnej woli. Po prostu fotograf-reporter nie może przejść spokojnie obok czegoś ciekawego.



„Dwa światy”. Nepal. Niewidomy chłopiec żebrze przed wejściem do pałacu królewskiego w Patanie, a turyści nawet go nie widzą. Zdjęcie do materiału „Uniwersalizm praw człowieka” napisanego na potrzeby wykładu na Uniwersytecie Warszawskim.

W 1996 roku pisałem dla Magazynu Gazety Wyborczej duży reportaż z Ukrainy, która dopiero co odzyskała niepodległość. To było bardzo ciekawe. W już niepodległym kraju ciągle z kątów wychodził Związek Radziecki. Zamieściłem w tym reportażu sporo zdjęć.



„Ach te mordy”. Sewastopol. Rosyjscy komuniści na ukraińskim już Krymie. 1996 r.



„Pomieszczenie świątów”. McLenin's, i matrioszki na straganie w Sewastopolu.

Ale praca reportera nie zawsze jest tylko ciekawa. Bywa też niebezpieczna. My często, uzbrojeni tylko w aparat fotograficzny i kamizelkę „PRESS”, biegniemy tam, skąd wszyscy uciekają. Robiłem reportaż z wojny domowej w Nepalu i z części tak zwanych „wydarzeń na Tianamen” w Pekinie. W Pekinie zmarnowała mi się robota. Żołnierz przy odprawie na lotnisku rewidował bagaże i prześwietlał wszystkie znalezione filmy. W Warszawie już znajduję jeden film i nadzieja: jest, jest! Tylko co jest? Wywołuję, a tu same zabytki.



Demonstracja antykrólewska w Kathmandu tuż przed wkroczeniem oddziałów maoistycznych do miasta.

Obudziły nas rano hałasy. Obsługa nie wypuszcza nikogo z hotelu. Pytam;

- Co się dzieje?
- W mieście rozruchy, siedem partii opozycyjnych ogłosiło strajk.
- Strzelają?
- Jeszcze nie.

Pokazuję legitymację prasową, ale oni nie wiedzą co to jest. Wracam po aparat, a oni znowu nie chcą mnie wypuścić. Mówią, że niebezpiecznie, a ja na to, że w takim razie tym bardziej idę. W końcu mnie wypuścili.



„Bieda”. Indie. Slumsy w Varanasi.



Prostytutki w Bangkoku.

Zdjęcia reporterskie robiłem także w Polsce. Oto dwa z nich:



Miejsce samospalenia się Piotra Szczęsnego pod Pałacem Kultury w Warszawie. Piotr Szczęsny protestował w ten drastyczny sposób przeciw temu co z Polską robił PiS. Zdjęcie zrobiłem następnego dnia. W lewym górnym rogu widać wypalony ślad po kanistrze z benzyną. Napis KONSTYTUCJA i kwiat spontanicznie ułożyli ludzie. To nie była inscenizacja.



Pierwsza demonstracja pod Trybunałem Konstytucyjnym organizowana przez KOD 12 grudnia 2015 roku (dziesięć dni wcześniej była mniejsza spontaniczna demonstracja). Tylko ja zrobiłem trzy zdjęcia z góry, z piętrowego autobusu, który służył nam za scenę.

No i na koniec inne zdjęcie z historią. Dostałem za to zdjęcie, zrobione pod szczytem Koh-e-Awal w Hindukuszu, nagrodę w konkursie fotografii górskiej. Ponieważ redagowałem akurat kolejny numer „Taternika”, dałem to zdjęcia na rozkładówkę. Wówczas jeden z kolegów napisał o tym zdjęciu „Dwie postacie szukają natchnienia w miejscu, w którym prawdziwy alpinista mógłby najwyżej oddać moc”. Odpisałem „Ponieważ zrobiłem to zdjęcie o cztery kilometry wyżej, niż kiedykolwiek kolega dotarł, pytam: co mógłby oddać prawdziwy alpinista na wysokościach kolegi”.

Warto wspomnieć, czemu ja redagowałem kilka numerów „Taternika”, choć nie miałem tego robić. Po rezygnacji Józefa Nyki powołano redakcję z osób tak niekompetentnych, że w ogóle nie wiedziały, na czym polega redagowanie pisma. Myśleli, że jak wyślą do mnie, do drukarni, bezładny i niekompletny stos maszynopisów, to ja, drukarz w tym przypadku, „wezmę i wydrukuję”. Nie miałem wyboru, musiałem te numery zredagować za nich.



„Pod szczytem Koh-e-Awal”

Chciałoby się pokazać jak najwięcej prac, ale to książka, nie album. Mam na dysku 127 tysięcy zdjęć, plus kilka tysięcy slajdów i ogromną ilość negatywów. Trudno, wszystkiego nie pokażę.

# W świat daleki, w świat szeroki



W Amazonii. Fot. Agnieszka Łozińska.

## W zamkniętym kraju

Moje najstarsze wspomnienia związane z granicami PRL. Pamiętam incydent, którego znaczenie zrozumiałem po latach. Byliśmy na wakacjach Witowie, niedaleko od granicy ze Słowacją, która wówczas była częścią Czechosłowacji. My dzieci, ja, moja siostra Magda i siostra cioteczna Ala, poszliśmy na spacer z naszymi mamami w stronę granicy. Nie specjalnie w stronę granicy, tylko po prostu na spacer po polach. Była tam taka kępa malin i buszowałem w tych malinach, gdy usłyszałem dziwny gwizd koło głowy. Gwizd był dziwny i dlatego go zapamiętałem. Nasze mamy, siostry Danuta i Sabba, były bardzo zdenerwowane i kazały nam szybko wracać. Nie mówiły, dlaczego, ale pośpiesznie zawróciliśmy w stronę wsi. Ale ten dziwny gwizd dokładnie zapamiętałem, bo nie przypominał niczego, co wówczas znałem. Dopiero jako dorosły człowiek usłyszałem go ponownie, ale wtedy już wiedziałem co to jest. To był gwizd kuli karabinowej koło głowy. Jakiś pojeb (przepraszam za określenie, ale pasuje), nie wiem czy polski, czy słowacki, żołnierz pogranicza strzelał do kobiet z małymi dziećmi, bo za blisko podeszły do granicy.

Wtedy, w latach 50-tych XX wieku, władze komunistyczne miały istnego fioła na temat granic między „bratnimi krajami”. W Tatrach nie tylko nie wolno było się wspinać na szczyty graniczne, ale nawet szlaki turystyczne idące wzdłuż granicy były zamknięte. Na Liliowym, tuż obok stacji kolejki linowej na Kasprowym Wierchu, stała budka wartownicza pomalowana w białe i czerwone pasy, a w niej rezydował żołnierz Wojsk Ochrony Pogranicza i interweniował, gdy ktoś chciał usiąść na trawie dwa lub trzy metry po stronie Czechosłowackiej. Iść dalej granią w stronę Świnicy nie było wolno. W drugą stronę, w kierunku Goryczkowej Czuby też. Można było tylko wjechać kolejką na Kasprowy i zejść na polską stronę, lub zjechać z powrotem. Polskie środowisko taternicze miało z tym poważny kłopot, bo w Tatrach nie wolno było wchodzić na prawie wszystkie szczyty. Zmieniło się to dopiero po przełomie 1956 roku. Oczywiście ja wówczas nie byłem taternikiem, tylko dzieckiem. W 1956 roku miałem osiem lat.

Z trochę późniejszego dzieciństwa pamiętam, że można było już udać się na stronę słowacką w tak zwany pas konwencji turystycznej i wolno było już wchodzić na szczyty graniczne. Z wakacji w Zakopanem pamiętam chłopca, którego jego mama nazywała: Duduś Cyran. Duduś gwiazdorzył wśród dzieci, bo „był za granicą”, a „nawet w Smokowcu”, jak głosiła z dumą jego mama. Z „zagranicy” przywieźli jakieś trampki.

W każdym razie, gdy kilka lat później jeździłem z rodzicami na narty na Chochołowską, łązić po graniach już było można i w rejonie Chochołowskiej nikt specjalnie już tej granicy nie pilnował. Nie mniej, jednak wyjechać gdzieś dalej, zwłaszcza na Zachód, było nadal bardzo trudno.



## Urząd paszportowy

Aby z PRL wyjechać za granicę, trzeba było dostać paszport, a to nie było proste. Po raz pierwszy podjąłem próbę takiego wyjazdu zaraz po wojsku, w 1971 roku. Opisywałem już w innych książkach, że w czasie tak zwanych wydarzeń marcowych 1968 roku wyrzucono z Polski moją narzeczoną Krystynę w ramach wyrzucania z Polski Żydów. Mnie wcielono wówczas represyjnie do wojska. Po wyjściu z wojska wymyśliłem, że pojedę do Izraela jej szukać. Byłem młodym naiwnym człowiekiem. Poszedłem wprost do biura paszportowego i złożyłem podanie o paszport. Na paszport czekało się wówczas półtora miesiąca. W terminie poszedłem po odbiór paszportu. Zostałem zaproszony do gabinetu SB-ka i usłyszałem pytanie:

- *Po co chce pan wyjechać do Izraela?*
- *Bo moja dziewczyna wyjechała tam w 1968 roku i chce jej poszukać.*
- *Ale pan nie może wyjechać.*
- *Dlaczego?*
- *Bo pan jest Polakiem.*

Szczerość SB-ka była powalająca. Jawne obnażenie systemu. Oto mój kraj jest zamknięty. Można kogoś z niego wyrzucić, ale nie można Polaka wypuścić, bo chce wyjechać. Polacy mają siedzieć w domu a nie szwendać się po zagranicy. SB-ek dodał jeszcze:

- *Za granicę jeżdżą ludzie sprawdzeni.*

To był jasny wykład: nie jesteś wolnym człowiekiem, jesteś własnością państwa, niewolnikiem. To jest właśnie różnica między wolnością a dyktaturą. W wolnym kraju obywatele decydują o tym, co robi państwo. W dyktaturze państwo decyduje o tym, co robią poddani (nie obywatele, tylko poddani). Przez parę późniejszych lat, zapytany o obywatelstwo, odpowiadałem:

- *Niewolnictwo polskie.*

To, w jaki sposób traktowano nas przez całe lata w Biurze Paszportowym na Kruczej, było obrzydliwe i poniżające. Wypełniało się kwestionariusz i czekało w gigantycznej kolejce do okienka. Facet w okienku sprawdzał kwestionariusz i znajdował jakiś drobny błąd i rzucał tonem rozkazu:

- *Poprawić!*

Poprawić nie można było na miejscu. Trzeba było wziąć nowy blankiet i wypełniać od początku. Gdy wszystko pracowicie wypełniłem, chciałem jeszcze raz stanąć w kolejce (godzina stania), ale pilnujący końca kolejki urzędnik rzucał stanowczo:

*- Jutro!*

I znowu kolejka i znowu okienko. Urzędnik czyta i zadaje pytania o imię babki, dziadka, zawód i co tylko wymyśli, a o co w kwestionariuszu pytań nie było. Za półtora miesiąca po odbiór albo odmowę. Tym razem do gabinetu SB-ka.

*- A żona już wyjechała? -pyta SB-ek.*

*- Nie mam żony.*

*- A samochód pan sprzedał?*

*- Nie mam samochodu.*

*- No to co wy, kurwa, macie?*

I trzeba być grzecznym choć on jest chamski i rzuca kurwami. Trzeba być grzecznym, bo od niego zależy paszport albo odmowa.

*- To po co tam jedziecie?*

*- Na wyprawę w Hindukusz.*

*- W co?*

*- W Hindukusz, takie góry.*

*- Ta, takie góry. Po trampki pewnie... No dobra, masz paszport i spadaj.*

Oczywiście nie zawsze było tak po chamsku. Zależy na kogo się trafiło i jaki miał humor. Muszę jednak wspomnieć o pewnym incydencie. Podczas wyprawy w Himalaje Kaszmiru zginęło dwóch naszych kolegów. MSZ wysłał między innymi mnie na akcję ratunkową. Po powrocie poszedłem zdać paszport, bo paszporty w PRL tydzień po powrocie trzeba było oddawać. Urzędujący w biurze paszportowym SB-ek szczegółowo mnie wypytywał:

*- A jest pan pewien, że oni nie żyją?*

*- Gdyby żyli to dawno by z gór zeszli.*

*- Ale czy oni gdzieś nie uciekli, przez jakąś granicę?*

*- Jaką? Do Chin, do Pakistanu?*

*- No, mieli paszporty, mogli uciec. My musimy wiedzieć, czy nie uciekli.*

Komunistyczne władze kompletnie nie interesowało, że dwóch Polaków nie żyje, tylko czy nie uciekli. No bo, co z tego, że ktoś nie żyje. Ludzi mamy dużo. Ale ci ludzie nie mogą uciekać! Ot co!

Skąd my to znamy? *Ludziej u nas mnogo* – powiedział Stalin po bitwie stalingradzkiej, w której zginęło ok. milion żołnierzy sowieckich.

Paszport w PRL niełatwo było zdobyć. Po pierwsze trzeba było wykazać, że ma się zagraniczne waluty na wyjazd, oczywiście zdobyte legalnie. To i tak był postęp w stosunku do rządów Bieruta, gdy za posiadanie dolarów groziła kara śmierci. Były trzy wyjścia. Pierwsze to wyjazd zorganizowany przez jakąś instytucję lub organizację. Na przykład przez Związek Studentów Polskich, Klub Wysokogórski itp. Wtedy dostawało się tak zwaną promesę dolarową, pozwolenie na zakup ok. stu dolarów (później nieco więcej) w Banku PKO S.A. Oczywiście po złodziejskim kursie. Inną metodą było kupienie dolarów u waluciarza, po jeszcze bardziej złodziejskim kursie i wpłacenie ich na konto „A” w Banku PKO S.A. Ponieważ państwo dramatycznie potrzebowało walut, nie pytano skąd się te dolary posiada. Trzecią metodą było przywiezienie ze sobą pewnej ilości dolarów z poprzedniej podróży (zarobionych na półlegalnym handlu, lub nielegalnej pracy za granicą) i wpłacenie ich na konto „A”, by zapewnić sobie możliwość kolejnego wyjazdu. No i można było odkupić dolary od kogoś kto pracował za granicą na czarno. W gazetach ukazywały się dziwne ogłoszenia, np.: „Z powracającym nawiążę”. Albo krótko: „Odkupię”. Nie trzeba było pisać co odkupię, bo wszyscy wiedzieli.

Skutkiem ubocznym było organizowanie wypraw poprzez byle jakie organizacje, np. oddziały PTTK, które nie dawały nam nic, poza firmowaniem wyjazdu. Zapytasz czytelniku: A nie można było tak normalnie? W PRL nic nie było normalnie. My polscy alpinisci zawsze musieliśmy mieć jakiegoś „organizatora”, który niczego nie organizował, tym czasem nasi zachodni koledzy często robili wyprawy prywatne. Gdy spytałem kolegów z wyprawy brytyjskiej, kto jest jej organizatorem odparli:

*- Jak to kto? My sami.*

Muszę na koniec tego wątku powiedzieć, że nie zawsze tak było. Miałem przypadek, gdy straż graniczna, niestety nie polska, potraktowała nas zupełnie inaczej. Wybrałem się z Miską, która jeszcze nie było wtedy moją żoną na Grań Tatr Polskich zimą. To bardzo poważna wyprawa, choć nie ma tam istotnych trudności technicznych. Sama długość tej grani, od Żabiej Czuby do Bobrowca i zima, wystarczą,

Byliśmy już pod koniec imprezy, w rejonie Starorobociańskiego, gdy załamała się pogoda. Mieliśmy tylko lekki sprzęt biwakowy - płachtę a nie namiot. Pominę szczegóły. Istotne, że spędziliśmy trzy dni uwięzieni przez silny wiatr tuż pod granią po słowackiej stronie. Byliśmy już poważnie wyziębieni, już bez paliwa i jedzenia. Wiatr uniemożliwiał zejście na polską stronę. Zdecydowaliśmy się na zejście do doliny Raczkowej po stronie słowackiej. Naprawdę ostatkiem sił (mieliśmy już halucynacje) dotarliśmy do szałas, w którym byli Słowacy, narciarze. To był początek lat 70. Słowacy pamiętali jeszcze na świeżo udział polskiego wojska w najeździe na ich kraj w 1968 roku. Oczywiście nam to wypomnieli, ale rozpalili dla nas ognisko, byśmy się ogrzali, nakarmili nas. Jeden z nich poszedł nawet specjalnie po koce dla nas. Po prostu nas uratowali.

Następnego dnia poszliśmy do Pribyliny zgłosić się do słowackiej straży granicznej (w końcu przekroczyliśmy granicę). Przyjął nas oficer, który zamiast zamknąć nas do aresztu, udostępnił nam pokój żołnierzy, którzy poszli na kilkudniowy patrol. Przegadaliśmy parę godzin popijając koniaczek. My nielegalni przestępcy graniczni z oficerem Bepahu (Bepeczenstwo Statnih Hranic). Gdy już szliśmy spać, zajrzałem do szafy w tym pokoju, a tam zamiast półek stojak. W stojaku sześć kałazników. No w takich warunkach byłem aresztowany tylko raz w życiu.



Miśka rozmawia z komendantem słowackich pograniczników w Pribylinie. My aresztanci, którzy nielegalnie przekroczyliśmy granicę, byliśmy częstowani koniakiem i robiliśmy zdjęcia. Fot. Krzysztof Łoziński.

Na drugi dzień pan komendant odwiózł nas do przejścia granicznego Hrebenne. I tu zaczął się cyrk. Nasi rodacy robili srogie miny, rewizję. Jeden z nich włożył łapy do naszego przemoczonego puchowego śpiwora, w którym na grani trzymaliśmy nogi w butach. Na jego twarzy zobaczyłem, że od razu zrozumiał swój błąd. Była sobota. Gość był już odstawiony w białą koszulę na wiejską zabawę. Gdy wyjął ręce, były oblepione po prostu błotem, koszula też. Urządzono nam też konfrontację. Posadzili nas na krzesłach tyłem do siebie (w tym samym pokoju) i zadawano podstępne (w ich wyobrażeniu) pytania. Zapomnieli, że siedząc w tym samym pokoju, każde z nas słyszało, co drugie odpowiada. W końcu zostaliśmy zwolnieni. Miło czasem powrócić na łono ojczyzny, która serdecznie nas wita.

### **Prywatny handel zagraniczny.**

Wyjazdy zagraniczne, a zwłaszcza wyprawy, trzeba było z czegoś finansować, bo przeżycie nawet w biednym kraju, jak Afganistan, Indie czy Nepal, za sto dolarów było niemal niewykonalne. Takim limitowaniem środków władza nas po prostu zmuszała do kombinowania. Ludzie bardzo szybko zorientowali się, co i gdzie można sprzedać z niezłym przebicciem i podobnie, co należy przywieść w celu spieniężenia do Polski.

Handel zaczynał się już w Moskwie, przez którą jechało się pociągiem do granicy Afganistanu, albo transsyberyjską do Mongolii i Chin. Do Rosji należało zabrać z Polski dzinsy „Szariki” i koronkową damską bieliznę. Za ruble wracając kupowało się złoto w wyrobach, bo z rublami w Europie nie było co robić. W dodatku rubli z ZSRR nie wolno było wywozić. Więc kupowało się jakieś pierścionki, czy inne wyroby, zawinięte w kartkę wydartą z jakiejś gazety, bo tak się w rosyjskich sklepach pakowało wszystko, złoto też.

W Polsce krążył dowcip, jaki jest kurs rubla do funta i dolara: „funt rubli dolara”.

Najbardziej znaną metoda był „szlak kozuchowy” Warszawa-Kabul. Kupowało się najczęściej za 200 złotych zegarek Ruhla w sklepie NRD-owskim na Kruczej i w Afganistanie kupowało się za ten zegarek kozuch afgański, taką baranicę. Te kozuchy były w Polsce niezwykle modne i chodziły nawet za dziesięć tysięcy. Szalona fortuna powie ktoś. Hola, hola z tą fortuną. To tylko sto dolarów po ówczesnym kursie. Moja nauczycielska pensja to było dwadzieścia dolarów (czyli dwa tysiące złotych).

Te kozuchy i mniejsze kozuszki, które w Polsce też „chodziły”, były zresztą koszarnej jakości, skóry gdzieś uszkodzone, zszyte na okrętkę, ale co moda, to moda. Przymykało się oko na mankamenty.

W Afganistanie chodziły też polskie kremy Nivea i Kokosal (płyn do prania), jako szampon. Z kolei lecąc do Indii wypadało kupić na lotnisku (w strefie wolnocłowej) whisky Jony Walker, najlepiej czarną. W tamtym czasie w Indiach, w kilku stanach (np. Haryana, Pendżab) była całkowita prohibicja. Bardzo szybko zorientowaliśmy się, że gorzałę najlepiej sprzedaje się tam, gdzie obowiązuje całkowity zakaz jej spożywania. W takich krajach zdarzało się, że całą gorzałę miałeś sprzedaną już na tranzycie, jeszcze przed odprawą celną. Pamiętam taki incydent w Delhi, w czasie, gdy obowiązywał zakaz wwożenia alkoholu do Indii, że jednemu z naszych kolegów celnik chciał zatrzymać litrową butelkę whisky. A ten oświadczył:



Miśka w kożuszk, który przywiozłem z Afganistanu. Fot. Krzysztof Łoziński.

*- Skoro nie mogę wwieźć, to wypiję – i zaczął udawać, że otwiera butelkę.*

Celnik był przerażony, bo Hindusi wręcz bali się pijanych i pozwolił mu przenieść whisky przez granicę.

Handle zaczynały się natychmiast po wynajęciu pokoju w hotelu. Przychodził najczęściej właściciel albo recepcjonista i od razu padało pytanie:

- *What do you have to sell?*

I zaczynało się wykładanie towaru oraz negocjacje. Ale Polacy nie tylko sprzedawali. Przed powrotem do Polski trzeba było zakupić towar do sprzedania w kraju. Najczęściej były to ciuchy. Był taki czas, że sklepikarze na Main Bazaar, Patica Bazaar, Jam Path Bazaar zaczęli uczyć się polskiego. Jednym z popularniejszych sklepikarzy był Anand. Wszyscy pamiętamy jego tekst powitalny po polsku:

- *Bo u Ananda sycy kupujo, bo u Ananda jest najlepszy towar i nie ma dziura, nie ma plama.*



„Duży Staś, wielobranżowy sklep dla polskich turystów i marynarzy. Bombaj” - napis po polsku. Fot. Krzysztof Łoziński

Na Jan Path były stoiska z najtańszymi koszulkami. To były po prostu wielkie skrzynie, w których można było wybierać i przebierać. Sprzedawcy skandowali: *das rupa, das rupa, das rupa*, albo *daska, daska, daska*. Czyli dziesięć rupi (das rupa) albo dyszka, dycha (daska). Gdy na Jam Path chodziły takie ceny za T shirty. Dziesięć rupi. Kurs dolara był 45 –50 rupi za dolar. Koszulka kosztowała więc 20 centów (według kursu dzisiejszego 1 zł.). Przebicie było więc niezłe.

Był czas, gdy w Polsce nie było kawy i Polacy wysyłali do Polski z Indii kawę. W poprzek ulicy Main Bazaar wisiał ogromny transparent po polsku: „Tu jest kawa ziarnista, usługi, wysyłanie paczek”. Rzecz w tym, że w Indiach kawy nie wolno było wywozić za granicę. Ale specyficzną formą działalności gospodarczej w Indiach są „załatwiacze”, tacy agenci, którzy załatwiają za ciebie wysyłki, także kargo lotniczego lub morskiego, wizy, których legalnie nie dostaniesz, bilety lotnicze, których oficjalnie już nie ma... A jak trzeba to nawet skupują towar z przemytu.

Głównym towarem kupowanym w Indiach były tekstylia. Najczęściej marnej jakości, ale wielokrotnie tańsze niż w Polsce. T shirty, sukienki, bluzki itp. Wielką atrakcją były bluzki i spódnice cekinowe – całe pokryte błyszczącymi cekinami. Tekstylia przywoziło się też z Chin, ale z Chin warto było przywozić zabawki dla dzieci. Pamiętam, jak stałem z towarem na bazarze w Rembertowie z takim chińskim grającym pistoletem, który wydawał różne dźwięki: syrenę strażacką, serie z karabinu, jakieś gwizdy. Jak szła jakaś mama z dzieckiem, uruchamiałem ten pistolet z dźwiękiem „eło, eło, eło” i każda mama musiała kupić, bo dziecko zapierało się obydwoma nogami.

Ale ja byłem też odszczepieńcem, bo kupowałem w Indiach książki dla siebie. Większość kolegów tego nie robiła, bo były po angielsku i trzeba było ten język znać. Wyszła z tego ciekawa draka, bo wysłałem do Polski kargo lotnicze, które moja żona Miśka miała odebrać z terminalu na Okęciu. Okazało się, że przesyłka musi być dokładnie sprawdzona, bo w spisie zawartości napisałem obok innych towarów „książki”. Celników nie interesowała żadna kontrabanda, tylko książki. Jakie książki? Czy aby nie z Kultury Paryskiej? Jak zobaczyli książki o jodze i historii hinduizmu, to zapęły im opadły. A był tam prawdziwy biały kruk – „Hindu Mythology”, książka wydana w Kalkucie w latach 80 dziewiętnastego wieku.

Trzeba przyznać, że prywatny handel zagraniczny odegrał istotną rolę w historii polskiego alpinizmu. Wspomnę jeszcze jedną ciekawostkę. Wracając z Alp przywoziliśmy plastikowe butelki po napojach. Po co - dziwili się celnicy. A problem był taki: w PRL nie produkowano żadnego kanistra na wodę, który by nie przeciekał, a w coś trzeba było zabierać wodę na dłuższą wspinaczkę.



Ale czasy się zmieniały i Polacy wymyślali coraz zuchwalsze metody zagranicznego handlu. Oddawałem pokój w hotelu w Pekinie dwóm rodakom, którzy mieli wracać dołem, czyli pociągiem „transsyberyjską”, przez Ułan Bator i Moskwę. Mieli oni wielką torbę podróżną wypełnioną zegarkami elektronicznymi. Zdziwiłem się, jak to przez Sowiety przewiozą. A oni mi pokazują, że w tej torbie jest na wierzchu mniejsza plastikowa torebka zawierająca 50 zegarków. To już był przeciwiczny układ z sowieckimi celnikami. Celnik otwierał torbę, zabierał małą torebkę i doznawał nagłej ślepoty.

Pod koniec lat 80-tych odbyłem dwie podróże czysto handlowe. Jedną do Indii, drugą do Chin. Pomysł polegał na tym. Że większa grupa osób składała się na wyjazd i fundusze, a leciały tylko dwie osoby, albo nawet jedna. Z pierwszej podróży wysyłałem kargo lotnicze z terminalu w Delhi. Było to przedpiekle. Hala-błaszak, bez klimatyzacji i dziki kłębiący się tłum. Każde koleje stanowisko tej odprawy było taką budką okratowaną ze wszech stron z małym okienkiem (30x30 cm), za którym siedział urzędnik działający jak polskie biuro paszportowe. Znajdował jeden błąd w kolejnym formularzu i mówił: poprawić. Trzeba było poprawić i ustawić się ponownie w monstualnej kolejce.

W końcu pojawił się problem – celnik. Celnik kazał mi otworzyć jedną z blaszanych skrzyń, w które zapakowałem nasz towar i zobaczył kilka paczek kawy. Już myślałem, że z głowy, bo kawy nie wolno było z Indii wywozić. Ale on tylko pochylił się do mnie i szepnął na ucho:

- *Mister, bakszysz* (bakszysz to po prostu łapówka).

Dałem mu 50 rupii natychmiast kawę przestał zauważać.

Ciekawy był też wyjazd do Chin. Polecieliśmy, ja z Anią Krzywicką, po owerloki, które sprzedawało się w Polsce z dużym przebicciem. A tu klops. Nie ma owerloków. Wymyśliłem, by kupić elektronarzędzia, które w Chinach były bardzo tanie. Kupiłem między innymi młoty udarowo-obrotowe Makita. Ale pojawił się problem. Nasz bagaż zrobił się strasznie ciężki. Tego nie przewidzieliśmy. Mieliśmy wykupione tylko po 10 kg nadbagażu. Poszliśmy do biura LOT-u i mówimy, że mamy taki problem. Urzędnik LOT-u mówi:

- *Przy odprawie ustawcie się do mnie, a nie do Chińczyka.*

Wrzuciliśmy nasze wory na wagę (po ok. 90 kg, nie mogliśmy ich podnieść, tylko ciągnęliśmy po podłodze) i dajemy facetowi nasz bilety na 10 kg nadwagi.

- *Bagaż opłacony* – Mówi gość i chowa bilety bagażowe do kieszeni.

Niewiele nam to dało, bo wyczyła nas stewardessa w rękawie. Nasz bagaż nie trafił do kabiny tylko do bagażu z zawieszka „Bagaż nie opłacony”. Na Okęciu wory wyjechały na klemie z tą zawieszka. Pytam pracownika LOT-u, gdzie mamy ten bagaż opłacić, a on zerwał te zawieszki i mówi:

- *Nigdzie. Idźcie do domu.*

Na koniec wspomnę jeszcze ciekawe metody z późnego PRL, czyli lat 80-tych. Do Berlina Zachodniego nasi rodacy wozili słoik z kurzymi odchodami i pewną ilością małych piórek. W Berlinie kupowali jajka w niemieckim sklepie, brudzili je kurzym „g” i sprzedawali na ulicy dwa razy drożej jako „ekologiczne”.

Najciekawszy numer nasi pomyslowi rodacy wymyśli na Szwecję. Jechali promem do Szwecji, wypożyczyli samochód, wypijali jedno piwo i jechali pod posterunek policji, by dać się złapać za jazdę po pijanemu. Delikwent dostawał trzy miesiące aresztu, a w socjalistycznej Szwecji aresztant musi mieć pracę według takich samych stawek jak na wolności. Patent miał sporo zalet. Delikwent miał trzy miesiące legalnej pracy w Szwecji według stawek jak dla Szwedów, darmowe mieszkanie i wyżywienie i jeszcze załatwiony na koszt Szwecji powrót do kraju. Wadą było to, że miał „misia” w paszporcie, więc był to numer na raz. Czy tak było, czy nie było, nie wiem. Ja nie próbowałem.

## **Patenty podrózne**

Jak ktoś myśli, że zna monstrualną biurokrację z Europy, to nie był w Indiach. W Indiach nawet bilet na pociąg kupowało się w trzech okienkach stojąc w trzech kolejkach. W jednym rezerwację, w drugim miejscówkę, a w trzecim bilet. W Indiach stoi się w kolejce dotykając piersią poprzednika a plecami następnego. Jeśli zrobi się krok w bok, wypada się z kolejki. Oczywiście w takich halach dworcowych żadnej klimatyzacji nie ma.

Na koniec okazuje się, że w bilecie zawsze czegoś brakuje, albo numeru wagonu, albo numeru miejsca, albo godziny odjazdu. Ja już wiem, co trzeba zrobić. Z tyłu za kasami, od strony peronu jest biuro faceta, który tytułuje się Collectif Assistant of Tickets Officers. Ten facet ma taki ogromny zeszyt w formacie A4, w którym ma napisane pismem odręcznym wszystkie namiary twojego biletu. Nie ma tylko jednego – peronu, z którego odjeżdża pociąg. A nie ma z prostego powodu – bo nikt tego nie wie. Po prostu zawiadowca wpuszcza pociąg na ten tor, który jest akurat wolny, a który będzie wolny, okazuje się w ostatniej chwili. On sam tego nie wie.

Efekt jest taki, że z kolejowego megafonu, pięć minut przed odjazdem, rozlega się bardzo niewyraźny głos (wszystkie kolejowe megafony na świecie to mają) w języku hindi. Nawet znając hindi trudno jest zrozumieć. W dodatku nazwy miast pisane są i wymawiane w dwóch językach, tradycyjnie po angielsku, i patriotycznie w hindi. Jadąc z Delhi do Bombaju, możemy usłyszeć kolejowy komunikat w czterech wariantach: Delhi – Bombaj, Dilli – Bombaj, Delhi – Mumbai i Dilli – Mumbai.

Ale to wszystko jeszcze może się zmienić. Siedzieliśmy już z Agnieszką na dworcu w Puno, w pociągu do Waranasi, na swoich miejscach, a tu przychodzą ludzie i mówią, że to ich miejsca. Porównujemy bilety, a oni mówią, że nasze miejsce jest w wagonie C. Gdy wsiadaliśmy, to był wagon C, ale przyszedł facet nie wyglądający na kolejarza, w czerwonej bluzie z napisem KOREA i poprzekładał tabliczki na wagonach.

To i tak już lepiej, bo kiedyś trzeba było iść wzdłuż pociągu i szukać na wywieszonych listach pasażerów swojego nazwiska przekreślonego i napisanego w alfabecie hindi. A na przykład ekspres Rajani z Hawra Station w Kalkucie do Delhi miał ponad 50 wagonów i trzeba go było zidentyfikować na jednym z kilkudziesięciu peronów.

Taki doświadczony podróżnik, jak ja, który był w Indiach 13 razy, wie co robić. Nie bawić się w to wszystko samemu. Zamiast ganiać na stację po bilet, zlecić obsłudze hotelowej, by kupili mi bilet. Oni w tym chaosie poruszają się sprawniej od nas. A już na dworcu wziąć tragarza, który za dwie lub trzy rupie wsadzi cię do pociągu i na właściwe miejsce. Proste? Proste, ale to wiedzą ci, którzy byli 13 razy w Indiach.

Oprócz handlu były też metody oszczędzania. Hotelarze w Delhi nie mieli nic przeciw temu by 5 czy 6 osób zajmowało teoretycznie dwuosobowy pokój. Ale problemem była sama podróż. O ile do Afganistanu, czy do Chin, można było dotrzeć przez Związek Radziecki, o tyle do Indii i Nepalu można było dostać się tylko samolotem, a ceny biletów lotniczych były znaczne. Był jednak pewien patent. W krajach komunistycznych wiele cen podróży było niższe dla ich obywateli. Te ceny nie miały nic wspólnego z kalkulacją ekonomiczną. Bilet lotniczy z Warszawy do Delhi kosztował 14 tysięcy (bo do wstrętnego kapitalizmu), ale bilet z Budapesztu do Hanoi tylko cztery tysiące, bo był z jednej komuny do drugiej. Patent polegał na tym, że sowieckie Iły i Tupolewy miały kiepski zasięg. Nie były w stanie odbyć takiej podróży bez międzylądowania. Samolot z Budapesztu miał dwa międzylądowania – w Dubaju i w Bombaju. Jechało się więc pociągiem do Budapesztu, kupiwszy wcześniej bilet na samolot do Hanoi. W czasie międzylądowania w Bombaju należało oświadczyć stewardessie:

- *Ja mam indyjską wizę i ja tu wysiadam.*

Po pewnym czasie węgierski personel pytał zawczasu:

- *Pan do Bombaju, czy do końca?*

Musieli wiedzieć, że nasz bagaż należy umieścić z brzegu, by go w Bombaju nie szukać.

Szlak budapeszteński wkrótce się skończył i pozostało latanie do Delhi z normalnym biletem. Szczególnie ciekawy był lot z Moskwy do Delhi Aeroflotem. Były dwa warianty: przez Dubaj albo przez Taszkent. Ja wolałem latać przez Taszkent. Należało usiąść przy lewym oknie samolotu. Startował rano z Taszkentu i wkrótce otwierały się widoki. Najpierw za oknem miałeś Pamir, później lot nad Hindukuszem, dalej wzdłuż pasma Karakorum i gdy już samolot podchodził do lądowania w Delhi, za oknem otwierał się widok na Himalaje.

W drodze powrotnej też lądowanie w Taszkencie. Ponieważ musieli samolot zatankować, trzeba było wysiąść do „air portu”, który jak na Sowiety przystało podobny był do jakiegoś baraku zaplecza dużej budowy, a nie portu lotniczego. Wchodzimy prosto z płyty, a tu schody, do góry i na dół. Przed schodami siedzi *babuszka*, taka sowiecka baba, jak *etażnaja* w sowieckim hotelu. No to pytam:

- *Babuszka, kuda?* – bo nie wiedzieliśmy, gdzie iść, do góry, czy na dół

- *Upstairs* – odpowiada dumnie *babuszka* po angielskiemu.

Osobnym rozdziałem było podróżowanie po ZSRR pociągami. Kierunki były w zasadzie dwa: Moskwa - Ułan Bator – Pekin i Moskwa – Termez, miasto na granicy z Afganistanem. Pociąg z Warszawy dojeżdżał do Moskwy na Dworzec Białoruski. Dalej obowiązywał kupiony już w Polsce bilet, ale nie rezerwacja. Rezerwację na dalszy pociąg trzeba było załatwić w Moskwie w Inturiscie. Stała tam gigantyczna kolejka do jednego okienka. Szybko wymyśliliśmy sposób na sowiecką biurokrację – na towarzysza Leontiewa. Nie wiem, czy jakiś towarzysz Leontiew w ogóle istniał, ale wiedziałem, że sowieccy urzędnicy woleli nie sprawdzać.

Stoję w gigantycznej kolejce w Inturiscie. Dochodzę do okienka i mówię:

- *Potrzebuję dziewięć rezerwacji do Termezu na dziś.*

- *Na siewodnia niet* (na dziś nie ma) – mówi urzędniczka i już chce załatwić kolejnego klienta.

- *A nam towarzyszc Leontiew skazał, szto dla nas budiet* (a nam towarzysz Leontiew powiedział, że dla nas będą).

I nagle panienka doznaje olśnienia i rezerwacje są.

A skąd się wzięły? Wyjaśnia to stary sowiecki dowcip:

Przyjechał chłop do Moskwy i chciał kupić bilet na pociąg do Leningradu. Idzie do kasy na dworcu, a kasjer mówi: *Miesta w pojezdzie niet* (miejsca w pociągu nie ma). Zrezygnowany chłop odchodzi, ale zaczepia go moskiewski cwaniak i mówi: *Ech ty durny, daj mu pięć rubli a bilet się zajdzie*. Chłop idzie jeszcze raz do okienka, kładzie pięć rubli, a kasjer za telefon: *Towariszcz prokurator* (towarzyszu prokuratorze). Chłop chce uciekać, ale kasjer trzyma go za rękę:

- *Towariszcz prokurator, ja hatiel wam skazać, szto na siewodnia miesta w pojezdzie niet* (towarzyszu prokuratorze, ja chcę wam powiedzieć, że na dziś miejsca w pociągu nie ma).

[A swoją drogą co za czasy nastały. Dawniej napisałbym po rosyjsku, ale teraz młodzi rosyjskiego nie znają i muszę tłumaczyć].

Towarzysz Leontiew przydawał się nie raz. Mieliśmy spory bagaż wyprawy, a tu odjazd pociągu za pięć minut z dalekiego peronu. Złapaliśmy wózek bagażowego i ciągniemy nasz ładunek. Bagażowy leci za nami z krzykiem:

- *Kto wam pozwolił?*

- *Towariszcz Leontiew* – i bagażowy pcha wózek razem z nami.

Pakujemy bagaż do przedziału. Konduktor w wejściu do wagonu dostał pół litra i wpuścił. Ale po dłuższej chwili doszedł do wniosku, że dostał za mało i marudzi, że powinniśmy nadać na bagaż a do przedziału sypialnego nie wolno. Wyjmuję notes, długopis i pytam:

- *Towariszcz, wasza familia?* (towarzyszu, wasze nazwisko). I konduktor już pomaga bagaż układać.

Na czym to wszystko polegało? Krążył taki dowcip, że w łagrach na Syberii były trzy części. Pierwsza mała dla złodziei, druga większa dla „anegdoticzków” (dowcipnych) i trzecia największa dla ciekawych, co zadawali za dużo pytań.

My, *inostrancy*, mieliśmy rezerwacje i wiedzieliśmy o której godzinie jest pociąg, ale dla obywateli *kraju szczęścia* rozkład jazdy był tajny. W hali Dworca

Kazańskiego kłębił się tłum na walizkach i „czemodanach” (kartonach opasanych taśmą z rączką). W pewnym momencie z megafonu rozległ się komunikat:

*-Towariszczy pasażyry, budtie ostorożny. Pojezd dwatcat czetwiortyj Maskwa – Duszambe odprawlajetsa czerez piat minut iz wagzala siedemnadsiatowo.* (Towarzysze pasażerowie. Uważajcie, pociąg dwudziesty czwarty Moskwa – Duszambe odchodzi za pięć minut z peronu siedemnastego).

I tłum ruszał pędem, bo przed tym komunikatem nie było wiadomo, kiedy i z którego peronu odchodzi pociąg.

Nastrój tego kraju najlepiej oddawał sowiecki dowcip:

Jedzie facet pociągiem przez Syberię i ciągle pyta konduktora: Kiedy będzie Czukowka? W końcu konduktor mówi mu – Teraz Czukowka. Facet wysiada na peron, pociąg odjeżdża, a on patrzy: peron, napis Czukowka i śnieg po horyzont. I nic więcej.

*- Oj nie lubi mnie towarzysz Breżniew, nie lubi.*

Ale prawdziwa przygoda zaczynała się po odjeździe. Oprócz normalnych wagonów, były wagony tańsze, tak zwany „wobszczyj” lub „plaskatnyj” wagon. To była taka kuszетка bez przedziałów. Prycze były piętrowe jak w normalnym slipingu, ale nie było ścian. No i zaczynało się życie narodu radzieckiego. Jedni piją, drudzy w karty grają, tam się kochają, a tam biją po mordach. Rosjanie podróżowali w piżamach i również w piżamach wychodzili na perony na stacjach. Bardzo szybko wychodziła na jaw higiena radziecka. Do toalety trzeba było dostawać się jakimś dziwnym sposobem, bo nie wszyscy załatwiali się do kibla. Niektórzy obok. No bo skąd miał *mużik iz kolchoza* wiedzieć, co to jest?

I tu wręt o higienie radzieckiej. Miałem kolegę Rosjanina, który był ze mną na jednym roku na Wydziale Fizyki. Spotkaliśmy się w Moskwie i on mnie po Moskwie oprowadzał. Pokazał mi budynek NKWD na Łubiance i mówi:

- To jest najwyższy budynek w Moskwie.
- Jak to – ja mu na to – przecież ma tylko sześć pięter.
- Sześć wystaje – mówi Wowka.

Poszliśmy do jednego z takich mieszkalnych wieżowców na Arbacie i widzę taką scenę: Do drzwi kibla stoi kolejka. Każdy ma ze sobą deskę klozetową, bo w Rosji w publicznych kiblach desek nie było (nawet na lotnisku Szeremietiewo). Ale

za to, kolejka do kibla była zebraniem towarzyskim piętra. Absolutny horror to były kibelki dworcowe. Na dworcu w Termezie to było pomieszczenie o wymiarach dużego pokoju. Niżej, pod podłogą było szambo ogólne, a w podłodze po prostu były rzędkie otworów, nad którymi się po prostu kucąło i załatwiała sprawę. Nie było żadnych kabin, ścianek. Praca towarzyska i już.

W pociągu teoretycznie ktoś miał sprzątać, ale tylko teoretycznie. Za to w każdym wagonie była *babuszka*, która teoretycznie o pasażerów dbała. Była ważną postacią, bo dysponowała samowarem, w którym robiła *czaj* (herbatę). *Czaj* był dla wszystkich jednakowy, bo samowar był jeden. Żadne tam fanaberie, z cukrem, bez cukru, z mlekiem, bez mleka... Podobnie było w wagonie restauracyjnym. Gdy zwróciłem uwagę kelnerowi, że *ragu* (zupa gulażowa) niesmaczne, usłyszałem:

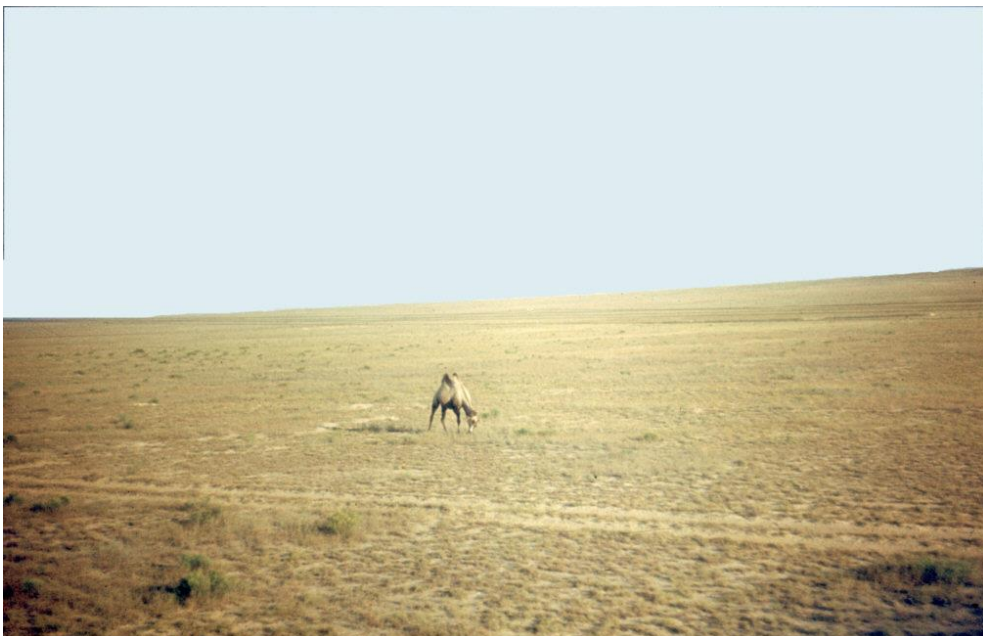
- *Nie chcesz, nie kuszaj* (nic chcesz, nie jedz).

W *restaurancie* były do wyboru dwa dania: *ragu* i *salianka* (zupa rybna). Pociąg z Moskwy do Termezu jechał tydzień, a jadłospis bez zmian. Czasem na jakiejś stacji ktoś coś sprzedawał i wtedy szedł szum po wagonach:

- *Ryby, ryby!*

Bo ktoś sprzedawał wędzone ryby. Pamiętam, jak cały niemal pociąg rzucił się do kupowania, a gdy pociąg ruszył, ludzie zauważyli, że ryby nieświeże, śmierdzące i wszystkie ryby wylatywały przez drzwi na tory. Przez drzwi, bo pociąg był klimatyzowany i okna nie można było otworzyć. Innym razem idzie szum: *torty, torty!* Cały pociąg rusza do *restauranta* kupować torty, wszystkie jednakowe. I nie dziwmy się. Ten naród przeżył w niedawnej historii dwie fale potwornego głodu sztucznie wywołanego przez władzę „ludową”. A więc jeść co dają, bo mogą nie dać.

Za Kujbyszewem i Morzem Aralskim (a raczej tym, co z niego jeszcze zostało) zaczyna się upał. Pociąg jest klimatyzowany, a mimo to gorąco. Zaczynam marzyć o tym, by choć na chwilę wyjść na zewnątrz. W końcu pociąg staje na chwilę na jakiejś stacji. Otwieram drzwi i wyskakuję i... jakbym wskoczył do pieca. Pustynie tego regionu należą do najcieplejszych miejsc świata. W końcu zmierzamy w stronę Afganistanu, który latem notuje najwyższe temperatury na Ziemi, wyższe niż na Saharze (co nie przeszkadza, by zimą leżał tam śnieg).



Pola golfowe Breżniewa. Tak nazywaliśmy ogromne obszary pustyni i stepów między Morzem Aralskim a Amu Darią. Fot. Krzysztof Łoziński.

Przez kilka kolejnych dni jazdy krajobraz za oknem jest niemal identyczny, Prosty horyzont, pusty step i niemal nic więcej. Nazywaliśmy to „polami golfowymi Breżniewa”. Co jakieś kilkaset kilometrów pojawia się na horyzoncie tajemnicza fabryka. Rosjanin, z którym się zaprzyjaźniłem, mówi, że to są „fabryki wózków dla dzieci”. Różnych wózków, kołowych, gąsienicowych, z wieżyczką lub bez... i opowiada mi jak Breżniew pojechał do obozu komsomolców. Pyta komsomolców:

- *Ile masz lat?*
- *Dziewięć.*
- *Dwanaście.*
- *Czternaście.*
- *Dożywocie...*

Wspomniałem o Morzu Aralskim, które przez całe wieki było zaopatrywane w wodę przez Amu-darię. Ta ogromna rzeka w Uzbekistanie i na granicy z Afganistanem została „zreformowana” przez Związek Radziecki. Specjaliści od siedmiu boleści wymyślili, by wodami Amu-darii nawodnić stepy i pustynie Uzbekistanu. Wykopano wielkie kanały na Kara Kum i Kizyl Kum i wpuszczono w nie wodę. A woda wsiąkała w piasek i nie nawodniła niczego. Amu-daria płynęła w szczelnym korycie z mułu. Gdy w tym korycie zrobiono wyrwę, rzeka poszła w pustynny piach, do dna. Sowieccy mądrze nie przewidzieli, że grubość warstwy



piachu w tym terenie wynosi czterysta metrów i bez trudu łyknie nawet największą rzekę. Jedynek skutkiem tej „reformy” było to, że wody Amu-darii przestały docierać do Morza Aralskiego i zaczęło ono wysychać. Do dziś można oglądać tkwiące w piachu kutry rybackie odległe o sto i więcej kilometrów od brzegów bajora, które z Morza Aralskiego zostało.

Nie był to jedyny sowiecki pomysł na nawodnienie tego regionu. Był jeszcze na szczęście nie zrealizowany pomysł wykopania bombami atomowymi kanału przez Ałtaj i przekierowania nim Angary. Fajnie by ta skażona radioaktywnie rzeka nawodniła.

Ale wracajmy do podróży. Termez jako miasto graniczne, był miastem zamkniętym. Na peronie przywitał nas szpaler żołnierzy wojsk NKWD z kałaszami. Przejść dalej mogli tylko tacy *inostrńcy* jak my, z paszportami i wizami Afganistanu i nieliczni Rosjanie, którzy mieli *putiowki*. *Putiowka* to był dokument pozwalający obywatelom ZSRR podróżować poza miejscem zamieszkania. *Putiowkę* mógł dostać nie każdy i nie wszędzie można było z nią pojechać, tylko tam, gdzie władza pozwoliła. Tak się podróżowało po kraju, gdzie „*tak wolno dyszit człowiek*”. Po rosyjsku „*wolno dyszit*” znaczy swobodnie oddycha, ale Polscy to „*wolno dyszit*” interpretowali jako „*wolno dyszy*”, czyli ledwo zipie. I coś w tym było.

Termez to był mój pierwszy poważny kontakt z gorącym klimatem. Termometr na stacji wskazywał 46 stopni.

- *Chłodno dziś* – powiedział jeden z miejscowych.

I rzeczywiście. Dopiero w Afganistanie zobaczyłem co to jest upał: 50, 55 stopni i kto da więcej. Ziemia parzy przez buty.

Do Termezu dojechała z nami wyprawa turystów z Krakowa. My postanowiliśmy spać na peronie, na ławkach, Krakowiaczy poszli do „gostielnicy”, czy takiego kiepskiego hotelu. Zrobili błąd. Wieczorem, przy zapalonym świetle, otworzyli okno, „bo było duszno”. Po chwili wokół lampy krążył czarny obłok wszelkiej latającej bźdzągwy.

Z Termezu napisałem do Miśki list o bźdzągwach, który czytany na taborisku wzbudził niezłą wesołość. Opisałem, jak nocując na peronowej ławce obserwowałem „przemianę materii”. Wokół latarni na peronie latały różne bźdzągwy, Część z nich łąziła po peronie. Ludzie wysiadający z nocnych pociągów je rozdeptywali. Rano przyleciały ptaszki pożywić się rozdeptanymi w nocy bźdzągwy. Ale niektóre bźdzągwy nieskutecznie rozdeptane były jadowite i co któryś ptaszek robił fik do

góry nóżkami. Gdy nastał dzień, przyszyły bezpańskie pieski i zutylizowały fiknięte ptaszki. To była przemiana materii.

Gdy rok później zjawiłem się w Termezie jadąc do Afganistanu na kolejną wyprawę, Termez zmienił się w wielki parking dla czołgów, bo w Afganistanie właśnie miała nastąpić „spontaniczna rewolucja”.

## **Przygody lotnicze**

### ***Duszanbe - Termez***

Tu na trochę zostawimy przygody kolejowe i opiszemy pierwszą przygodę lotniczą, przypadkowo związana z tym samym rejonem.

W składzie kolejnej wyprawy mieliśmy takiego gościa, który miał zwyczaj mówić „ale się narobiło”, gdy sam narozrabiał. Ten pan nieopacznie zajął się nadaniem bagażu wyprawy koleją z Moskwy do Termezu. No i „się narobiło”. Facet nie skojarzył, że trasa tego pociągu nie kończy się w Termezie, tylko w Duszanbe, stolicy Tadżykistanu. Jakież kilkaset kilometrów dalej, ale co tam?

No i „się narobiło”. My wysiedliśmy w Termezie, a nasz bagaż pojechał dalej. Chcąc nie chcąc pojechaliśmy w kilku do Duszanbe szukać naszej zguby. No i powstał następny problem. Jak to przewieźć do Termezu nie ryzykując, że pojedzie na tym razem na drugi koniec trasy - do Moskwy. Ktoś z miejscowych urzędników poradził nam, że można dość tanio przewieźć samolotem.

Załadowaliśmy nasze bębny na ciężarówkę i jedziemy na lotnisko. Związek Radziecki miał to do siebie, że różne obiekty niekoniecznie wyglądały tak samo jak w innych krajach. Tak też było z tym lotniskiem. Teren otoczony siatką, a brama w tej siatce otwarta i nikogo nie ma. Ale gdzieś dalej widać budynek wglądający na port lotniczy. No to jedziemy pod ten budynek, ot tak, na przełaj. Tu każdy lotnik złapie się za głowę. A gdzie zasady bezpieczeństwa lotów? Po terenie lotniska bez żadnego nadzoru jedzie ot tak sobie obca ciężarówka. Ale w tym kraju wszystko było dziwne.

Wreszcie dotarliśmy do jakiegoś biura, uiściliśmy opłatę za transport do Termezu i pokazują nam przez okno, że mamy jechać „tam”, to znaczy do miejsca, w którym stoi kilka zaparkowanych samolotów An 2. To takie spore dwupłatowce mogące bez problemu przewieźć nasz bagaż. W biurze spytali, ile tego mamy. 900 kilogramów, mówimy. *E tam*, machnął ręką urzędnik.

I znów jedziemy po lotnisku na przełaj, pod te Antki. Czekamy pół godziny i wreszcie przyjeżdża na rowerze pilot. Każe nam ładować. Pytam, czy jakoś układać. Machnął lekceważąco ręką.

- *A tak brasaj* - czyli tak sobie wrzucaj.

Zawsze myślałem, że samolot trzeba wyważyć, ale może nie w Związku Radzieckim. W tym kraju wszystko było normalnością odwróconą. To, co tu było normalne, wszędzie na świecie było nienormalne i odwrotnie. Bo nigdzie w normalnym świecie nie można tak sobie wejść na płytę lotniska, bez żadnej kontroli, wpuścić do samolotu nie wiadomo kogo z niewiadomo jakim ładunkiem.

Pilot uznał mnie za szefa i posadził obok siebie z przodu. Odpalił silnik i mówi do mnie:

- *Dwieri zakroj* (drzwi zamknij).

Zamknąłem i myślałem, że już starujemy. A on zapalił papierosa i mówi:

- *Otkroj* (otwórz).

Drzwi były przesuwane, otworzyłem i widzę, że jemu chodziło tylko o to, by ciąg powietrza od śmigła nie zgasił mu zapałki, jak podpałał papierosa. Startujemy z otwartymi drzwiami, bo upał był trudny do wytrzymania. No i lecimy. Dziwny to był lot. Lecimy na bardzo małej wysokości, na oko jakieś sto metrów albo i mniej. Po pół godzinie zaczął z kimś gadać przez radio i wcale nie z wieżą.

Niespodziewanie lądujemy w stepie. Za chwilę podjeżdża do nas gazik i wysiada jakiś facet. Pilot i facet stoją sobie przy gaziku i gadają. Kumpla spotkał, czy co? Podali sobie grąbę i lecimy dalej. Wiem, że jak to czyta jakiś lotnik, to mu wszystkie włosy wypadają. Ale ZSRR i Rosja to nie kraje, to stan umysłu. Zresztą nie tylko Rosja. W Nepalu, na lotnisku w Katmandu, było kiedyś tak, że po odprawie można było wyjść na płytę i czekać. A że pięćdziesiąt metrów dalej była brama w siatce, niektórzy wychodzili przez nią, bo był tam stragan z napojami. Kupowali Limkę i wracali na płytę lotniska. Wprawdzie teoretycznie pilnował nas żołnierz, ale był tak niekumaty, że nie reagował na nic. Na tym lotnisku można było zabrać do samolotu broń a nawet CKM.

No ale lecimy dalej. W pewnym momencie pilot odbiera jakąś wiadomość przez radio. Nie rozumiem, bo gadają po uzbecku. Pilot mówi, że będziemy zabierać po drodze babę z kołchozu do szpitala. Znów lądujemy w stepie opodal czterech jurt

i stada wielbłądów. To jest kołchoz. Trzy jurty są zamieszkałe przez Uzbeków kołchoźników, a czwarta jest pusta. Nad wejściem drewniana tabliczka; „*Dwariet Kultury*” (dom kultury). Zaczynam się śmiać, ale zjawia się szef kołchozu, Rosjanin. Jest na zesłaniu, ale jako Rosjanin jest szefem. Wbrew oficjalnej propagandzie rosyjski rasizm w azjatyckich republikach miał się dobrze. W Termezie też była *czajchana* (islamska herbaciarnia), której szefem był Polak zamieszkały w ZSRR. Też był na zesłaniu, ale był szefem *czajchany*, bo biały.

Siedzimy na dywanie w kukki i pijamy zieloną herbatę z potworną ilością cukru. Dla mnie to płyn niejadalny, ale nie będę robił bez potrzeby afrotu i piję. Zabieramy kobietę na pokład i startujemy. Co by nie powiedzieć o samolocie An 2, to na takie warunki jest idealny. Może lądować niemal wszędzie i ma sporą ładowność.

Pilot po raz pierwszy łączy się z kontrolą lotów w Termezie, choć jesteśmy jeszcze daleko. Zgłasza, że będziemy podchodzić do lądowania w Termezie, choć mamy do Termezu sporo kilometrów (po tą kobietę sporo zboczyliśmy z trasy). Ale on wiedział co robi. Zbliżamy się do Termezu, a pilot zamiast lądować zaczyna krążyć. Zatacza koła nad stepem. Pytam go, czemu nie lądujemy, a on tylko powtarza, że czekamy. Na co czekamy, nie mówi. W pewnym momencie dostaje zgodę na lądowanie. Gdy już siadamy na pasie przelatuje nisko nad nami myśliwiec – Mig 21.

I tu cię mam bratku. Sowiecki cywilny samolot mógł lądować w mieście granicznym tylko mając myśliwca na ogonie. No bo jakby mu odbiło i uciekł? Na przykład do Afganistanu, gdzie step, pustynia, kamienie i skorpiony? Granicy pilnuje też *sistema*. Co jakies 200 metrów wieża strażnicza a na niej żołnierz z ciężkim karabinem maszynowym zespolonym z lunetą i reflektorem. Jak na ciebie patrzy przez lunetę, to ma cię na celowniku. W sumie to komiczne, bo Amu-daria to potężna rzeka, a za nią afgańska pustynia. Przeprować się może tylko samobójca. Ale może na pustyni lepiej niż w kraju, gdzie *tak wolno dyszyt człowiek?*

### ***Moskwa – Frankfurt - Delhi***

Lecimy do Delhi przez Moskwę na wyprawę w Himalaje Kaszmiru. Do Moskwy dolatujemy samolotem LOT-u. Dalej ma nas zabrać Air India. Parę godzin czekania na tranzycie lotniska Szeremietiewo. Z tranzytu jest wyjście na taras widokowy, ale w drzwiach stoi żołdat i nie przepuszcza. Próbuujemy wyjść na taras. Chrystian Parma zagaduje żołdata po angielsku, ale on nie ustępuje. Wreszcie ja mówię do żołdata „*paszoł won*” i facet pozwala nam wyjść. Widać otrzymał komendę w zrozumiałym dla niego stylu. Robimy zdjęcia samolotów.



Mimo protestów ochrony fotografuję samoloty na lotnisku Szeremietiewo w Moskwie.  
Fot. Chrystian Parma.

Wreszcie wieczorem ładujemy się do wąskokadłubowego Boeinga 707 (to był tok 1979). Samolot zaczyna rozpędzać się na pasie i nagle zwalnia. Zatrzymuje się. Pilot mówi przez megafon:

- *Ladies and Gentlemen, we have a little tehncial mistake* (panie i panowie mamy małą techniczną usterkę).

Pali się silnik. Załoga jest zdenerwowana, a pasażerowie podekscytowani. Zjeżdżamy na płytę po gumowych zjeżdżalniach i wracamy na Szeremietiewo. Zaczyna się czekanie, ale nie wiadomo na co. Tranzyt na Szeremietiewie jest cały w marmurach, ale nie ma krzeseł. Pałętamy się po tranzycie do rana. Jest bufet, ale tylko za ruble, a my rubli nie mamy. Rano po sporej awanturze Aeroflot stawia nam śniadanie: kawę zbożową i jajka na twardo. Dobre i to, bo nic nie jedliśmy od wylotu z Warszawy. Wreszcie wsadzają nas znowu do samolotu LOT-u. Przelatujemy z powrotem nad Polską i lądujemy we Frankfurcie.



Siedzimy w kawiarni na lotnisku we Frankfurcie i oglądamy tuż za szybą załadunek naszego samolotu Boeing 747 „Kanishka”, którym polecimy do Delhi. Fot. Krzysztof Łoziński.

Znów przejmuje nas Air India. Dostajemy porządny posiłek w ludzkich warunkach. Tranzyt we Frankfurcie to zupełnie inny świat. W Moskwie był tylko sklep „Bieriozki”, w którym można było kupić byle co po astronomicznych cenach za dolary. We Frankfurcie jest niemal cała galeria handlowa. Jest nawet Sex Shop. Siedzimy w restauracji i patrzymy jak tuż za oknem ładują kontenery do naszego samolotu – Boeinga 747 „Kanishka”. Lecimy już bez przygód do Delhi. Boeing 747 nie musi tankować po drodze.

W czerwcu 1985 roku dokładnie ten sam samolot spadł do Oceanu Atlantyckiego po eksplozji bomby podłożonej przez separatystów sikhijskich. Wszyscy zginęli.

Kim był Kanishka, którego imię nosił ten samolot? Cytuję z Wikipedii: *Król Kuszunów panujący na początku II wieku Jego państwo obejmowało obszar od Bucharj na zachodzie, dolinę Gangesu na wschodzie, góry Pamir na północy i środkowe Indie na południu. Przeszedł do historii jako król, który wprowadził buddyzm do Indii.*

*Huaraz – Lima – Amsterdam – Warszawa (2008)*



Blisko trzy kilometrowej wysokości ściana Huascarán (6768 m). Po lewej Nevado Hodoy. Fot. Krzysztof Łoziński.

Jesteśmy z Agnieszką w Peru, w rejonie Huaraz, takiego andyjskiego Zakopanego. Są tu dwa z największych szczytów Andów Peruwiańskich – Huascarán (6768 m) i Nevado Hondoy. Pomiędzy nimi znajduje się górskie jezioro Llanganuco. Leżące u podnóża Huascarán miasteczko Yungay stało się ofiarą jednej z największych tragedii naturalnych. Między innymi dlatego przyjechalśmy zwiedzić to miejsce. No i mnie interesował Huascarán.

Cytuję za „Góry on line”: *Nieprzypadkowo Huascarán bywa nazywany „Wielkim Grabarzem”, gdyż szczyt ten przyczynił się do jednej z największych w dziejach i w historii Peru tragedii górskiej. W niedzielę 31 maja 1970 roku wskutek ogromnego trzęsienia ziemi o sile ponad ośmiu stopni w skali Richtera (w samym środkowym Peru zginęło 80 tys. osób) oberwała się część zbocza północnego szczytu Huascarána. Najpotężniejsze w znanych dziejach Ameryki Południowej wstrząsy tektoniczne spowodowały w Białej Kordylierze lawinę lawin. Ogromne masy śniegu, lodu, kamieni i błota runęły do położonego u stóp góry, na wysokości 3850 m, Laguny Llanganuco. Jezioro wystąpiło z brzegów, masy wody chlusnęły w dół, w stronę położonych osad ludzkich, porywając po drodze glazy, żwir, kawały ziemi i drzewa.*

*Ta koszmarna lawina błotna zwana tutaj aluvion lub huayco, pędząca z prędkością 400 km/godz. w niecałe pięć minut pogrzebała dwa miasteczka Yungay i Rarahirca, powodując śmierć ponad 20 000 ludzi, a dziesiątki tysięcy pozabawiając dachu nad głową.*



Wielki zbiorowy grobowiec 18 tysięcy mieszkańców Yungay. W Yungay zginęli wszyscy, którzy byli w tym czasie w mieście. Nie przeżył nikt. Fot. Krzysztof Łoziński.

Mamy już wracać do Polski. Mieliśmy jechać autobusem do Limy, ale dla Agnieszki, która jest przed operacją stawu biodrowego byłaby to katorga (koło 10 godzin, a później samolot przez ocean do Europy). Wpadłem na pomysł, by do Limy dostać się samolotem. W Huaraz jest lotnisko, ale starują i lądują tu tylko małe samoloty. Nasz samolot był naprawdę malutki. Zabierał tylko kilkunastu pasażerów, a wchodziło się do niego w pozycji mocno schylonej. Miał jednak pewną zaletę. Ponieważ były tylko dwa rzędy foteli i przejście pośrodku, to każdy miał miejsce przy oknie.

Po dwóch godzinach jesteśmy w Limie. Podchodzimy do odprawy lotu do Amsterdamu. Wiem, że dla Agnieszki z chorym stawem biodrowym tak długi lot to ciężkie wyzwanie. Na stanowisku odprawy biletowej młody śniady chłopak. Wygląda jak peruwiański Indianin, ale na plakietce ma napisane imię: Ashik.





Nasz samolot na lotnisku w Huaraz. Fot. Krzysztof Łoziński,

- *Your name is Ashik. Are you Indian?* – pytam (Ashik to popularne imię męskie w Indiach. W języku hindi znaczy *miłość*).

Chłopak potwierdza, jest Hindusem. Zaczynam do niego mówić w hindi. Wiem z doświadczenia, że jeśli biały z Zachodu mówi do Hindusa, lub Nepalczyka w jego języku, to wszystko ma załatwione. Mówię mu, że moja żona ma chorą nogę i potrzebuje w samolocie trochę więcej miejsca, zwłaszcza w tak długim locie. Ashik tak się przejął, że specjalnie gdzieś poszedł, z kimś rozmawiał i załatwił. W drzwiach samolotu czekała specjalnie na nas stewardessa, która specjalnie zaprowadziła nas na odpowiednie miejsce.

Airbus A380 linii Air France to kolos, zabiera nawet 615 pasażerów. Jest naprawdę wygodny, ale 14 godzin lotu z Limy do Amsterdamu to i tak wyzwanie. Spróbuj czytelniku w domu posiedzieć 14 godzin na krześle. Dlatego miejsca na których możesz trochę swobodniej wyciągnąć nogi to skarb.

Lądujemy w Amsterdamie na Schiphol. Mamy sześć godzin czekania na samolot LOT-u do Warszawy. Na szczęście Schiphol to tranzyt, na którym pasażer ma gdzie się podziać. I dwie kawy nie kosztują tu 40 euro jak na Charles de Gaulle w Paryżu.

I znów dwie godziny lotu i jesteśmy w Warszawie. Zsumujmy: z Huaraz do Limy - 2 godziny; w Limie - 2 godziny przerwy; z Limy do Amsterdamu – 14 godzin; w Amsterdamie - 6 godzin; z Amsterdamu do Warszawy – 2 godziny. Razem 26 godzin w samolotach i na lotniskach. Daleko psia krew z tego Peru do Polski.

## **Przygody kolejowe**

### ***Gorakhpur - Lacknow - Delhi (1987)***

Wracamy w trójkę z himalajskiej wyprawy, z Nepalu, Ja Wilma i Ela. Mamy ze sobą spory bagaż wyprawy. Kilka wielkich toreb z namiotami, linami i resztą gratów. Kupiliśmy w Gorakhpur bilety na pociąg do Delhi. To ogromna odległość. W połowie drogi, w Lacknow, dowiadujemy się nagle, że musimy się przesiąść na inny pociąg, bo ten jedzie do Amritsaru w Phenjapie. Konduktor informuje nas, że nasz pociąg odchodzi z innego terminalu za 15 minut. Ten terminal jest oddalony o kilkaset metrów, prawie kilometr. Łapiemy z Elą połowę naszych gratów i biegniemy. Wilma zostaje z resztą bagażu. Zabrać wszystkiego na raz nie damy rady.

Biegniemy targając ciężkie wory. Wpadamy na wskazany peron, gdzie powinien być nasz pociąg. Pytam faceta stojącego w wejściu do wagonu:

- *Do Delhi?*

- *Yes, do Delhi.*

Wsadzam Elę do wagonu i biegnę po Wilmę. Po ok. dziesięciu minutach wpadamy zdyszani na peron. Pociągu nie ma. Pojechał. Pytam gościa w kolejarskim mundurze:

- *Dokąd pojechał ten pociąg?*

- *Do Madrasu.*

Jasna cholera. My spóźniliśmy się na pociąg, a Ela pojechała do Madrasu. Co więcej, ona ma wszystkie nasze pieniądze, a my mamy wszystkie bilety. Pieniądzy nie mamy żadnych. Jest jeszcze jedna obawa. Obie dziewczyny słabo mówią po angielsku a w hindi wcale.

Niby byłem już kilka razy w Indiach, a zapomniałem o prostej zasadzie: Hindus, jak czegoś nie wie, to nigdy nie powie, że nie wie. Zamiast „nie wiem”, powie cokolwiek. To, że jakiś facet powiedział, że pociąg jedzie do Delhi wcale tego nie znaczy. Mógł powiedzieć cokolwiek. Tak samo ten, który powiedział, że pociąg pojechał do Madrasu. Nie wiedział, gdzie pojechał, to powiedział cokolwiek.



Indyjski pociąg, druga klasa. Fot. Krzysztof Łoziński.

No dobra, ale mamy kłopot. Pytam różnych ludzi z którego peronu będzie odchodził pociąg do Delhi. Każdy mówi co innego. Muszę dotrzeć do jakiegoś wiarygodnego źródła. Idę do hallu dworca szukać rozkładu jazdy. Jest, ale w alfabecie hindi. Na szczęście sylabizując coś mogę odczytać. Następny pociąg do Delhi jest jutro, ten na który nie zdążyliśmy, ale w rozkładzie nie ma peronów. Z którego peronu, nie wiem nadal. A peronów jest od cholery. W końcu Lacknow to małe indyjskie miasteczko, tylko jakieś dwa razy większe od Paryża (*w zależności od źródła od 5 do 10 milionów*). W dodatku kompletnie nie turystyczne. Mało kto tu mówi po angielsku.

Znajduję biuro Collectif Assistant of Tickets Officers. Dowiaduję się, że nasze bilety nadal są ważne. Załatwiam przepisanie naszych miejscówek na jutro. Niestety nawet on nie wie, z którego peronu nasz pociąg ma jutro odjechać. A myślałem, że on wie wszystko. W końcu znajduję zawiadowcę. Sympatyczny, wyraźnie wykształcony człowiek. Dowiaduję się, że on sam nie wie, z którego peronu. Po prostu, jak pociąg zbliża się do stacji, patrzy który tor jest wolny i na ten go wpuszcza.

Zawiadowca udziela mi w końcu dobrej rady.

- Weź tragarza. Tragarze są w czerwonych kurtkach. Zapłacisz jedną - dwie rupie, a on cię wsadzi do pociągu.

Gdybyśmy od razu tak zrobili, zamiast targać samemu nasze wory, jechalibyśmy już wszyscy spokojnie właściwym pociągiem. Dwie rupie, to po ówczesnym kursie około 30 groszy polskich.

No cóż, głupota nie boli, ale czasem kosztuje, jak nie w pieniądzu to w nerwach. Siedzimy całą dobę na peronie. Na głodno. W końcu wsiadamy do właściwego pociągu. W Delhi spotykamy Elę, która wcale nie pojechała do Madrasu tylko tam, gdzie trzeba, na New Delhi Station. Musiała tylko kupić u konduktora nowy bilet. Próbowaliśmy załatwić coś na polską zasadę PKP (przekaz kolejarzowi połowę), ale się nie dało. U polskiego kolejarza *załatwić* można, u indyjskiego nie.

### ***Katmandu – Gorakhpur – Amritsar – Delhi (2006)***

Około godziny 22 jedziemy na dworzec autobusowy w Kathmandu. Tutejszy Pekaes, czyli government bus, zabierze nas do Sonauli (granica), skąd rano mamy kolejny government bus, tyle że indyjski, do Gorakhpur. Ale to dopiero początek kolejnej tury podróży. Z Gorakhpur mamy pociąg, 21 godzin jazdy, do Amritsar oddalonego od Goprakhpur ok. 1200 kilometrów.



Nepalski government bus na postoju. Fot. Krzysztof Łoziński.

No to czeka nas wyrypa - półtorej doby w drodze.

Autobus pnie się serpentynami przez góry Sivalik. Na drodze panuje ogromny ruch, a w autobusie ogromny tłok. W przejściu pośrodku ludzie siedzą na dostawionych drewnianych stołkach. Niektórzy stoją. Cała podłoga zavalona jakimś workami (rano zorientuję się, że jest to poczta). Około północy zaczyna się korek. Podjeżdżamy po kilkadziesiąt metrów i stop. Wreszcie grzęźniemy na dobre. Kierowca zjeżdża na pobocze i zarządza „przerwę na spanie”. Nie można się dowiedzieć, o co chodzi, bo nikt poza nami nie posługuje się tu angielskim, a mój nepali jest daleki od doskonałości. W nocy wychodzę na zewnątrz na siusiu i słyszę dziwnie znajome dalekie odgłosy: puk puk puk, tratata, tratata... Grają powolne serie z WKM-ów i szybkie z CKM-ów i karabinków automatycznych. No nieźle. Na szczęście gdzieś daleko.

Wracam do środka i nic nie mówię Agnieszce. Nic jej ta wiedza nie pomoże, a tylko by się denerwowała. Rano, już w Sonauli, dowiemy się, że trwała nocna bitwa między armią, a maoistami.

Nad ranem ruszamy. Już wiem, że szanse zdążenia na pociąg z Gorakhpur mamy niewielkie. Jedziemy drzemiąc. Jest już jasno, gdy wjechaliśmy na dworzec autobusowy w Simra i stoimy. Stoimy, stoimy i nagle orientuję się, że ludzie z naszego autobusu gdzieś się podziali. Jesteśmy sami. Wypadam na zewnątrz i widzę, że wszyscy przesiedli się do innego autobusu. W łamanym nepali dopytuje się, co jest grane.

- *Chhema garnos sati, Sonauli hoina, Birgain hoina* - stara się mi przekazać kierowca (Bardzo przepraszam przyjacielu, Sonauli nie, Birgain nie).

Cholera, ten autobus dalej nie jedzie! Do granicy jest 50 kilometrów!

Pokazuję na ten drugi autobus:

- *Kahaa samma?* - wygrzebuje z pamięci pojedyncze słowa w nepali (ten, dokąd?).

- *Sonauli hoina, Birgain ho* (Sonauli nie, Birgain tak).

A niech ich cholera. Mamy bilety do Sonauli ale nikogo to nie obchodzi. Autobus skończył trasę w Simra. Drugi jedzie do Birgain, to bliżej granicy, ale jeszcze nie granica. Trudno, trzeba jechać do Birgain i czort wie, co dalej.

Przenosimy bagaż do drugiego autobusu a raczej na jego dach. W środku wszystkie miejsca już zajęte, tłok niemiłosierny. Dostają azjatyckiej furii i najgorsze wyrazy powtarzając po kilka razy (w lokalnych językach też) wywalczam miejsce siedzące dla Agnieszki. Sam będę stał półwisiąc. Oczywiście musimy kupić kolejny bilet, bo nasz bilet do granicy nikogo już nie obchodzi - był na tamten autobus.

Autobus, zapchany po brzegi i jeszcze trochę, niemiłosiernie się wlecze przez równinę Teraju. Patrzę na zegarek i konstatuje, że nasz autobus do Gorakhpur po indyjskiej stronie dawno już odjechał. Agnieszka pyta, jak wytrzymuję na stojąco w niewygodnej pozycji.

- *Jestem wyćwiczony w 517* - mówię.

517 to warszawski autobus jadący przez Aleje Jeruzolimskie. Przypominał chwilami nepalski government bus (wówczas, w 2005 roku).

Wreszcie jesteśmy w Birgain. Bierzymy dwie riksze rowerowe (ze względu na bagaż nie zmieścimy się w jedną) i jedziemy w kierunku Sonauli. W końcu to już tylko kilka kilometrów. Tak oto państwo sahibowie, mając kupione bilety na całą trasę, jadą rikszami po drodze państwowej w Nepalu gubiąc co chwila „łańcuchy od rowera”... Skąd ja to znam? Z całej Azji. Tym się ona między innymi różni od Europy.

### **Sonauli, czyli burdel na kółkach**

W Sonauli dopadamy naszego agenta Nepal Guest House, który ma nas dalej wyekspediować do Gorakhpur autobusem, co już odjechał 2 godziny temu. Oczywiście musimy dopłacić 900 rupii do taksówki, by zdążyć na pociąg, bo następny autobus będzie jutro. Perspektywa ewentualnego kiblowania w Gorakhpur wcale mnie nie cieszy, bo jest to miasto tak piękne, że można się obwiesić (wyobraź sobie czytelniku gigantyczny bazar, na którym nikt nie sprząta a nad nim krążą komary jak chrabąszcze... i tną oczywiście).

Agent dzwoni po taksówkę, a ja pędzę z naszymi paszportami do odprawy nepalskiej i indyjskiej. Nikogo tu nie dziwi, że jestem jeden, a paszporty mam dwa, że przekraczam granicę z tymi dwoma paszportami, a później już dwuosobowo odprawiony wracam przez tę granicę z powrotem z nieważną już wizą. Nikogo nie dziwi, że Agnieszka została w Nepalu bez paszportu, a później przekracza granicę do Indii, granicę, którą w paszporcie już teoretycznie przekroczyła. Ot, takie porządki panują w Sonauli.

Przyjechała taksówka marki ambassador w stanie reanimowanej победы. Wsiadamy do tyłu, bo z przodu siedzi kierowca i pomocnik. Oni siedzą na drewnianej ławce zamiast samochodowych siedzeń, co jednak ma pewne zalety, bo parę kilometrów dalej dosiada się do nich na trzeciego jakiś policjant na autostopie. Taksówka osiąga zawrotną prędkość 53 kilometry na godzinę i ani trochę więcej. Do Gorakhpur jest 200 kilometrów. W dodatku co chwilę musimy się zatrzymywać, bo w niemal każdej wsi trwa wiec. To Bharatija Janata Party (Indyjska Partia Ludowa) prowadzi kampanię wyborczą do parlamentu stanowego stanu Utar Pradesh.

W Gorakhpur jesteśmy 15 minut przed odjazdem naszego pociągu. Problem z tym, że mamy tylko bilet, ale bez rezerwacji miejsca. No i nie wiemy, który peron, a peronów na tym dworcu dużo, bo dworzec jest gigantyczny, tak jak i miasto. Wpadam do agencji naprzeciw dworca po rezerwację. Cwaniak z agencji natychmiast wyłudza ode mnie 200 rupii, bo wie, że jesteśmy pod przymusem czasu. Nie załatwi, nie jedziemy. Za chwilę wszystko jest załatwione, ale wyłudza jeszcze 100 rupii, no i jest tragarz, który nas wsadzi do pociągu (kolejne 100 rupii). Na targowanie się nie ma czasu. Sto rupii to niecałe dwa dolary.



Z Gorakhpur do Amritaru - posiłek w pociągu (w cenie biletu). Fot. Krzysztof Łoziński.

Wreszcie jesteśmy na peronie... a pociągu nie ma. Spóźnił się skurczybyk półtorej godziny. Pociągi są w Indiach całkiem niezłe, ale trasy mają po 2 tysiące kilometrów (nasz jedzie z Kalkuty do Jammu) i punktualność na tych trasach traktują nie do końca poważnie.

Wreszcie jest pociąg. Jesteśmy tak zmęczeni, że padamy.

21 godzin spędzonych w pociągu z Gorakhpur dało nam solidnie w kość. Nie można powiedzieć, by było nudno. Raz po raz ktoś odczuwał wielką potrzebę porozmawiania z nami. W naszym przedziale zmieniało się towarzystwo. Było młode małżeństwo na najwyższych „półkach” (przedział w indyjskim pociągu ma sześć rozkładanych prycz, twardych jak cholera, po 3 pod każdą ścianą), był policjant jadący na gapę, a wreszcie polityk-biznesmen, który koniecznie chciał, byśmy go zaprosili do Polski i z którym kilka godzin rozmawialiśmy o handlu przez Internet. Pod sam koniec dosiadły się cztery nastolatki jadące do szkoły (oczywiście na gapę). Oglądały nowe materiały na sari (piękne), poprawiały makijaż, jedna bezczelnie przepisywała od innej pracę domową. Ot takie indyjskie życie pociągowe.

## **Przeboje autobusowe**

### ***Delhi - Agra***

Jedziemy z Delhi do Agry. Agent z hotelu Vishal, który mówił, że jest „nasz friend” (w Indiach każdy kto chce na nas zarobić jest „nasz fiend”) i to on sprzedał nam bilety, powiedział, abyśmy czekali spakowani o szóstej rano i ktoś po nas przyjdzie i zaprowadzi do autobusu. Autobus ma być koło Imperial Cinema. Autobus ma być *luksusery, video i aircondition*. A więc czekamy spakowani o 6 rano przy recepcji hotelu na „człowieka”, który ma nas wsadzić do autobusu. Jest ciemno, miasto śpi. Autobus miał odjechać o 6.00 a o 6.30 ciągle nie ma „człowieka”. Co gorsza nie widzę żadnych autobusów przy Imperial Cinema, które to kino znajduje się nie dalej jak 70 metrów od nas. Zaczynamy się już zastanawiać, czy ktoś nas nie robi w bambuko.

O 6.45 pojawia się „człowiek”, mniej więcej 20-letni chłopak i poleca nam iść za sobą. Nie idzie jednak w kierunku Imperial Cinema, ale skręca w Main Bazaar. Mamy oboje dość ciężkie walizki na kółkach i nie możemy iść specjalnie szybko, a nasz „człowiek” zasuwa jak nakręcony. Ciągniemy te walizy po Main Bazaar, kółka się co chwila zacinają, bo to co leży na ulicy się w nie wkręca. A cóż tam nie leży na tej ulicy...? Lepiej nie myśleć i nie patrzeć. Agnieszka, która ma kłopoty ze stawem biodrowym (z tego powodu nie mamy plecaków tylko walizki) i nie może szybko chodzić, zaczyna zostawać z tyłu, ja gonię człowieka, by go nie zgubić, ale co chwila czekam na Agnieszkę, człowiek mknie, kółka się zacinają. Słowem cyrk w gonitwie.

W połowie Main Bazaar „człowiek” pobiera dwie młode Australijki z innego hotelu i skręca w wąziutką uliczkę prowadzącą w stronę Gupta Road. Gonimy już za nim w czwórkę. Australijkom łatwiej, bo mają plecaki. Co gorsza cały czas myślimy,



że to już nie daleko, bo w innym przypadku wzięlibyśmy riksę. Tymczasem nabiliśmy piechotą z tymi walizkami już chyba kilometr. W końcu zjawia się szef „człowieka” na motocyklu i pakuje nasze walizy na riksę. Rychło w porę, bo okazuje się, że jest już tylko 50 metrów do końca. Rikszarz wystawia nasze walizy na Gupta Road, skąd naprawdę ma odjechać autobus (ponad kilometr od Imperial Cinema). Szef daje mu 5 rupii (równowartość 35 groszy), facet marudzi, że mało, na co szef krzyczy: *czielo, czielo! Czielo*, to w języku hindi dosłownie idź, odejdz, przejdź, ale powtórzone dwukrotnie znaczy spier...aj! Uprzejmy ten szef, nie ma co.

Agnieszka jest wściekła, chyba znów przestają się jej podobać Indie. Wcale się jej nie dziwię, nikt nie lubi być robiony w konia, ale mnie to martwi, bo tyle pracy i agitacji włożyłem, by ją do tego kraju przekonać. Tymczasem zaczynają nas turystów wsadzać do autobusów. Turystów jest kilkunastu, autobusów kilka, ale są już w nich ludzie. W końcu szef pokazuje mi kierowcę i mówi, że to „very good driver”. „Very good driver” prowadzi nas do autobusu i okazuje się, że są w nim wolne tylko dwa miejsca na samym tyle. Nie normalne fotele, na jakich siedzą inni, tylko wąska drewniana ławka z pionowym oparciem i to mają być nasze „luksusery very good places” za 900 rupii. Ledwo się na nich mieścimy.

Autobus rusza, a kierowca krąży po Delhi i zbiera kolejnych pasażerów na lewo, bo przecież musi zarobić. Trzęsiemy się na naszej ławeczce, bo ten sprzęt, stary indyjski autobus Tata, chyba nigdy nie miał resorów a i budowniczy drogi chyba nigdy nie słyszeli o równej nawierzchni. Po paru kilometrach kierowca próbuje dosadzić nam trzeciego pasażera. Agnieszka ostro protestuje, wtórują jej Australijki a autobus stoi. Zamiast jazdy, awantura. W końcu wstawia się za nami już niemal pół autobusu, co ciekawe głównie Hindusi. Kierowca musi ustąpić. Zabiera tego pasażera do swojej kabiny i dosadza na swoją ławkę, która robi za fotel kierowcy. Wygraliśmy małą bitwę z orientem.

Ze zdziwieniem stwierdzam, że jedziemy autentyczną autostradą. Pamiętam drogę do Agry sprzed lat. Była to wąska jezdnia pełna arb ciągniętych przez bawoły, wielbłądów i ciężarówek, których kierowcy nie wierzyli w żadne ograniczenia ładowności. A teraz, proszę - dwie dwupasmowe jezdnie oddzielone trawniczkiem i barierą. Coś jak nasza Trasa Katowicka zwana Gierkówką. Oczywiście „lustro asfaltu” jest na tej autostradzie cokolwiek krzywe, ale nie wybrzydząmy. Dobrze, że jedziemy i wydostaliśmy się z Delhi, co zajęło sporo ponad godzinę.

Na naszej autostradzie pełno jest riks, rowerów, traktorów z przyczepami. Jak to w Indiach. Po jakiś stu kilometrach, autobus zawraca na skrzyżowaniu i jedziemy do przydrożnego baru. Oczywiście było mnóstwo barów po naszej stronie drogi, ale z tym barem kierowca ma układ, a z tamtymi nie. Śniadanie jest takie sobie,

my i tak mamy swoje banany. Z grubsza ujdzie, choć higiena stołu jest nieco egzotyczna. Ale bez przesady, widywałem gorszą.



Młodociany kierowca i jego ciężarówka. Fot. Krzysztof Łoziński.

Autobus rusza spod baru i jedzie do skrzyżowania. Oczywiście nie może od razu wjechać na właściwą jezdnię w stronę Agry, bo jest bariera, a cofać się do poprzedniego skrzyżowania mu się nie chce, więc jedzie jakieś 3 kilometry pod prąd. Tylko w Azji pełen ludzi autobus może jechać 3 kilometry autostradą pod prąd, ale tutaj to „normal”.

Powtarzam: **autobus pełen ludzi jedzie 3 kilometry autostradą pod prąd.** I co? I nic.

Ruch w Indiach jest w zasadzie lewostronny. Podkreślam, nie lewostronny, ale w zasadzie lewostronny. Jazda pod prąd, nawet w gigantycznym ruchu wcale nie jest wyjątkiem. W większości krajów Azji obowiązują zupełnie inne zasady ruchu niż u nas. Pierwszeństwo ma większy, a w nocy ten, co ma silniejsze światła. Mrugnięcie światłami oznacza „nie ustąpię”, a klakson „uwaga jadę”. Jak ktoś trąbi, to trzeba mu wiać z drogi. Kierowcy w ogóle nie obchodzi to, co się dzieje z tyłu. Wielu kierowców ma złożone boczne lusterka albo wcale ich nie ma. On ma uważać na tych z przodu, a na niego ma uważać ten z tyłu. Coś, co u nas nazywa się wymuszaniem pierwszeństwa, tu jest normalną metodą jazdy. Co więcej, jak się zacznie ustępować, to w ogóle się nie pojedzie. Tak więc samochody gwałtownie skręcają bez żadnego ostrzeżenia i nikogo to nie dziwi. Pasy ruchu bywają namalowane na jezdni, ale nikt się nimi nie przejmuje. Jazda kilometrami po linii ciągłej jest na porządku dziennym.

Czerwone światło spełnia tylko rolę informacji, kto ma pierwszeństwo, ale nie jest bezwzględny zakazem jazdy jak w Europie. Swojego czasu nauczyłem się w Indach, iż z tego, że mam zielone światło, to jeszcze nic nie wynika i nawet w Polsce zawsze przed skrzyżowaniem zwalniał (co wcale nie jest takim głupim nawykiem).



Indie. Droga z Jammu do Ladakhu z za szyby samochodu. Fot. Krzysztof Łoziński.

Pojazdy wykonują na indyjskich drogach nieprawdopodobne slalomy, mijając się nieraz na grubość lakieru. Podstawowa zasada to szybki refleks i miękkie ruchy. Na szczęście to wszystko dzieje się na małych prędkościach. Rzadko tu przekracza się 50 km/godz. i tylko dzięki temu wszyscy jeszcze żyją. Normą są stada bawołów lub kóz, spacerujące w poprzek drogi słonie lub małpy. Po zmroku sto procent rowerzystów i część innych pojazdów jest nieoświetlonych, ale i tak trzeba jechać wolno, bo bawoły są nieoświetlone z natury.

Około południa, wytrzęsieni do niemożliwości na niewygodnej twardej ławce, która miał być naszym „*luxusery place*” w autobusie, docieramy do Agry. Natychmiast pojawia się kolejny „*friend*”, który oferuje nam riksę, hotel i wszystko, czego tylko chcemy. Oczywiście ten facet nie zjawił się tu przypadkowo. Po prostu agent z Delhi zawiadomił telefonicznie swojego kumpla w Agrze, że tym autobusem jedzie dwoje westmanów, na których można zarobić. Taka sieć biznesowych

powiązań obowiązuje w niemal całej wschodniej Azji i urywa się dopiero wtedy, gdy jedziemy tak daleko, że nasz dotychczasowy opiekun nikogo już tam nie zna.

### **Zwyczaje transportowe azjatyckiej biedy**

W części biednych krajów Azji nie ma albo jeszcze niedawno nie było, takiego dokumentu jak prawo jazdy. Po prostu każdy kto siadł za kierownicą mógł prowadzić. Wielokrotnie widziałem tak młodych chłopców prowadzących wielkie ciężarówki, że ledwo sięgali nogami do pedałów. W dodatku te ciężarówki, lub autobusy, były w takim stanie technicznym, że każdy polski diagnosta dostałby zawału.

Zacznijmy od Afganistanu. Polacy tamtejszym ciężarówkom nadali nazwę *burubuchaj*. Słowo to wywodzi się od okrzyku, jakim pomocnik kierowcy, zwany przez nas klockowym, dawał sygnał do odjazdu:

- *Buru bahaj!!!*

*Buru* w języku farsji znaczy tyle co w angielskim *go* - iść, jechać, poruszać się. *Buru bahaj* to odpowiednik *let's go* – idźmy, jedźmy. Odpowiednikiem tego w hindi jest *cielo*. Co ciekawe, nie należy tego słowa powtarzać dwa razy, bo *buru buru* znaczy polskie *spierdalaj*. Powtórzenie *cielo cielo* też ma taki wydźwięk. *Buru bahaj* to po prostu sygnał do odjazdu.

Wypada wspomnieć, kto to jest klockowy. *Burubuhaj* to ogromna ciężarówka, której burty rozbudowano na dwukrotną wysokość, bo w Afganistanie nikogo nie interesuje ładowność, tylko objętość. Fabryczna ładowność jest przekraczana, ile tylko się da. Ponieważ żadne resory by tego nie wytrzymały, zostały zastąpione kilkoma warstwami gumy z bieżników opon. Drogi są, poza kilkoma głównymi, gruntowe i prawie nie naprawiane. I tak dochodzimy do klockowego. Klockowy na stromych podjazdach biegnie za samochodem i trzyma wielki drewniany klin, czyli klocek, który podtyka pod tylne koło, gdyby zgasł silnik, albo samochód zaczynał się staczać do tyłu. Klockowy jest ręcznym hamulcem. Przy zjeździe w dół, klockowy biegnie z przodu. Często jest jeszcze chłopak biegnący z przodu i odrzucający kamienie, bo gdyby opona tak przeładowanego pojazdu wjechała na kamień, mogłaby eksplodować. Opony są na ogół eksploatowane, dokąd nie pękną. Tym, że są łyse, że dawno już nie ma bieżnika, nikt się nie przejmuje.

Kierowca nie używa lusterka wstecznego, bo po co? Uważać ma ten z tyłu. W Afganistanie lub w Indiach nie raz widziałem samochody bez światła stopu, a zamiast tego z napisem „STOP” na tabliczce z tyłu. Ale to jeszcze nic. W Kambodży

jechaliśmy autobusem, który w ogóle nie miał świateł. Pomocnik kierowcy oświetlał drogę latarką ręczną przez szybę.

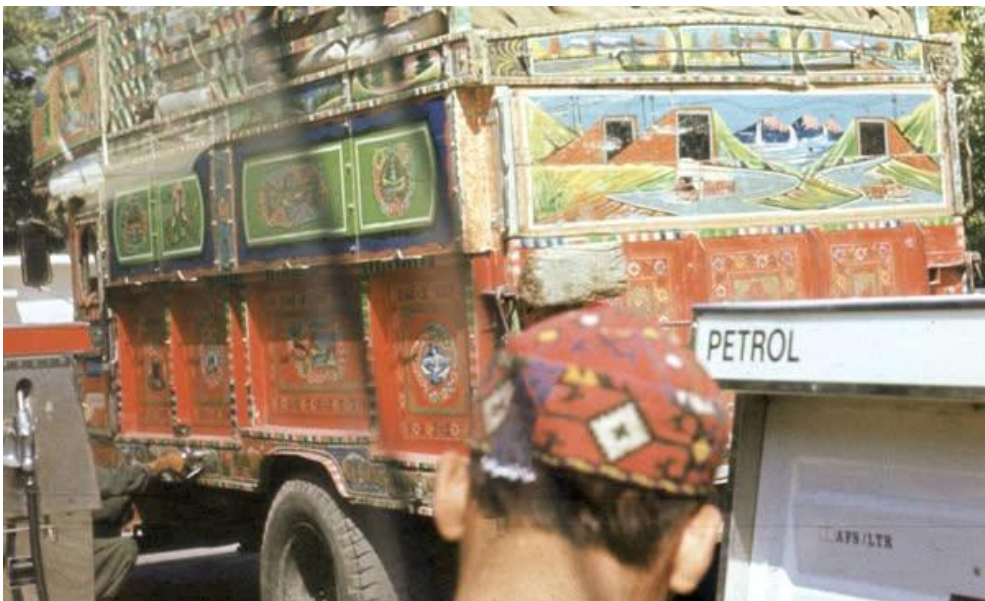


Kambodża. Załadunek po azjatycku. Fot Krzysztof Łoziński.

Opisać jeszcze wypada wystrój *burubuhaja* lub azjatyckiego autobusu. Kierowca ma nawet kilka lusterek, ale ustawionych tak, by sam się w nich przeglądał. Przednią szybę zdobią różne frędzelki, a na masce możemy zobaczyć baranie rogi lub lisi ogon. Na burtach *burubuhaja* znajdziemy wymalowane wszystkie marzenia azjatyckiego kierowcy: białe kobiety (oczywiście blondynki), asfaltowe drogi, aparat telefoniczny w kraju, w którym powszechnie nie ma telefonów (Afganistan, Birma). Wszystko oczywiście utrzymane w krzykliwych kolorach. No i napisy: „druga klasa 60 miejsc (na dachu)”, „horn please” i podobne.



Tym jeepem jedzie 12 osób, z czego 3 na tylnym zderzaku. Zamiast światła stopu napis STOP. Indie, droga do Kjuraho. Fot. Krzysztof Łoziński.



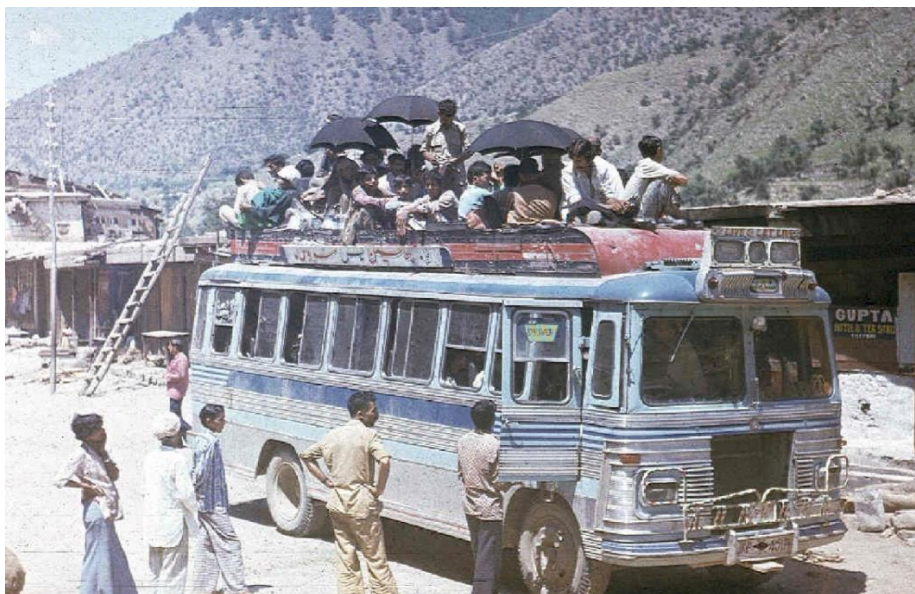
Malowidła na burtach burubuhaja. Asfaltowe drogi, tunele... Fot. Krzysztof Łoziński.

Na koniec jeszcze wymuszacze pierwszeństwa. Ponieważ prawo drogowe jest zwyczajowe, to pierwszeństwo ma większy i ten kto ma mocniejsze światła. W Afganistanie i Pakistanie widywałem ciężarówki, które miały przed maską

wystająca szynę, niby taran. To taki przekonywacz do tego, by mu ustąpić drogę. Co do świateł, to niemal normą dużych ciężarówek jest cała galeria halogenów, ustawiona tak, że oślepia przeciwnika. To nie jest złe ustawienie. Ma oślepiać.

Kiedyś jechaliśmy z Kabulu do granicy w Heiratanie drogą przez przełęcz Salang (3363 m.n.p.m). Wściekle serpentyny, choć akurat ta droga jest asfaltowa. Jechaliśmy w nocy osobówką. Z przeciwka jechał spory *burubuhaj*. Chciał chyba zobaczyć co to jedzie i włączył wszystkie halogeny, jakie miał. Tak nas oślepił, że nasz kierowca musiał się zatrzymać, bo nic nie widział. Oczywiście nasz, zwyczajem jasnej nocy jechał z wyłączonymi światłami, no bo „przecza widza”, to po co świecić? Ten *burubuhaj* miał z przodu jaskrawe czerwone światło ku ozdobie i jechał wcześniej z wyłączonymi światłami drogowymi, dokąd nie postanowił nas oślepić. Na całym cywilizowanym świecie światło czerwone jest z tyłu i oznacza pojazd jadący w tym samym kierunku, co my, ale w Afganistanie może być odwrotnie. Można się zdziwić.

Wspomniałem przełęcz Salang. Pod tą przełęczą znajduje się tunel długości prawie trzech kilometrów. W czasie wojny przeciw sowieckiej okupacji Afganistanu, mudżahedini wysadzili oba końce tunelu w czasie, gdy jechał nim konwój wojsk sowieckich. Zginęło wówczas ponad tysiąc żołnierzy ZSRR. Nie wyłączyli w porę silników i podusili się spalinami.



Autobus z Jammu do Kishwar. Stan Jammu & Kashmir, Indie. Fot. Krzysztof Łoziński.

Autobusami „dla ludu”, nie dla turystów, jeździ się także na dachu. W tamtejszym upale polecam. W środku jest duszno i gorąco, a kierowca puszcza

takie miejscowe disco polo (bębny, piszczałki, słowem kakofonia nie do wytrzymania). Na dachu jest przewiew i widoki. Spokojnie, nikt nie spadnie. Te pojazdy jadą bardzo wolno. Nie wszędzie kursują autobusy. Komunikacja osobowa odbywa się także ciężarówkami. Ludzie ładują się na bagaż. Tyłu, ilu się zmieści. Możesz umówić się z kierowcą, że zabiera tylko nas i nasz bagaż. Nic to nie pomoże. Miejscowi takich umów nie rozumieją. I tak się wpakują.



Kambodża. Stacja benzynowa. Benzyna w butelkach po Coca Coli. Fot. Krzysztof Łoziński

Wspomnę jeszcze o oryginalnych rozwiązaniach transportowych Kambodży (w Laosie i Birmie jest podobne). Pierwszym jest rozbudowa motocykla. Za pomocą bambusa i drutu buduje się platformę szerokości do ok. dwóch metrów podpartą dodatkowym kołem. Z jednej strony platformy motocykl, z drugiej dodatkowe koło. Na taką platformę można załadować sporo towaru albo całą rodzinę. Konstrukcję umacnia daszek nad całością.



Drugim patentem jest dreżyna domowej roboty. Reżim Czerwonych Khmerów zwalczał koleje jako dzieło kapitalizmu. Niszczono parowozy i wagony. Po tej demolce zostało sporo osi kolejowych z kołami. Dwie takie osie łączy się platformą z babusa. Powstaje taki wózek: bambusowa platforma i cztery koła. Stawia się to na tory, a napęd zapewnia motocykl, którego tylne koło jedzie po podkładach pośrodku. Na takiej dreżynie może jechać nawet kilkanaście osób. Gdy z przeciwka jedzie pociąg, załoga zeskakuje, przenosi ręcznie dreżyną na bok, a jak pociąg pojedzie, stawia ją na tory z powrotem.



Rozbudowa motocykla. Kambodża. Fot. Krzysztof Łoziński.

To szaleństwo wcale nie jest tak szalone, jak się wydaje. Kolej w Kambodży budowali jeszcze Japończycy w czasie wojny światowej. Tory rzadko kiedy były

konserwowane i są w fatalnym stanie, więc pociągi jeżdżą bardzo wolno. Załoga drezyny ma więc czas na zabranie pojazdu, za czym pociąg dojedzie.

Motocykl (normalny, nie rozbudowany) w tym kraju jest istotnym środkiem komunikacji i potrafią nim jechać trzy osoby, albo mama, tata i dwoje dzieci. Ponieważ wszyscy niemal są biedni, benzynę i olej sprzedaje się w ilościach po jednym lub dwóch litrach. Typowa stacja benzynowa zawiera stojak z benzyną w butelkach po Coca Coli lub Mirindzie. W Laosie i Birmie nie inaczej.

### **Przygoda z Mekongiem**

*(na kanwie artykułu „Jak się topić to w Mekongu” napisanego dla „Kontratekstów” z Kambodży)*

Jesteśmy, ja i Agnieszka, w Siem Rieap w Kambodży po koszarnej podróży z Bangkoku. Koszmar zaczął się już 20 kilometrów od granicy samochód stanął, bo kierowca nie wlał wystarczająco paliwa i oleju silnikowego. Dym z silnika i zero akcji.

Kierowca złapał autostop na skuterze i po godzinie wrócił z benzyną i jednym litrem oleju (silnik potrzebuje minimum 3 litrów). No i pojechaliśmy dalej, ale niezbyt daleko. 5 kilometrów dalej zagotowała się chłodnica i wywaliło olej, a raczej jego resztkę. Tym razem pękła też dość istotna rura z układu chłodzenia. Kierowca autostopem pojechał gdzieś ją spawać. My, 19 osób z różnych krajów, czekamy na drodze. Wkrótce robi się noc i nadciągają istne dywizje moskitów. Jest 39 stopni Celsjusza, noc, moskity, Kambodża i popsuty samochód. Coś pięknego.

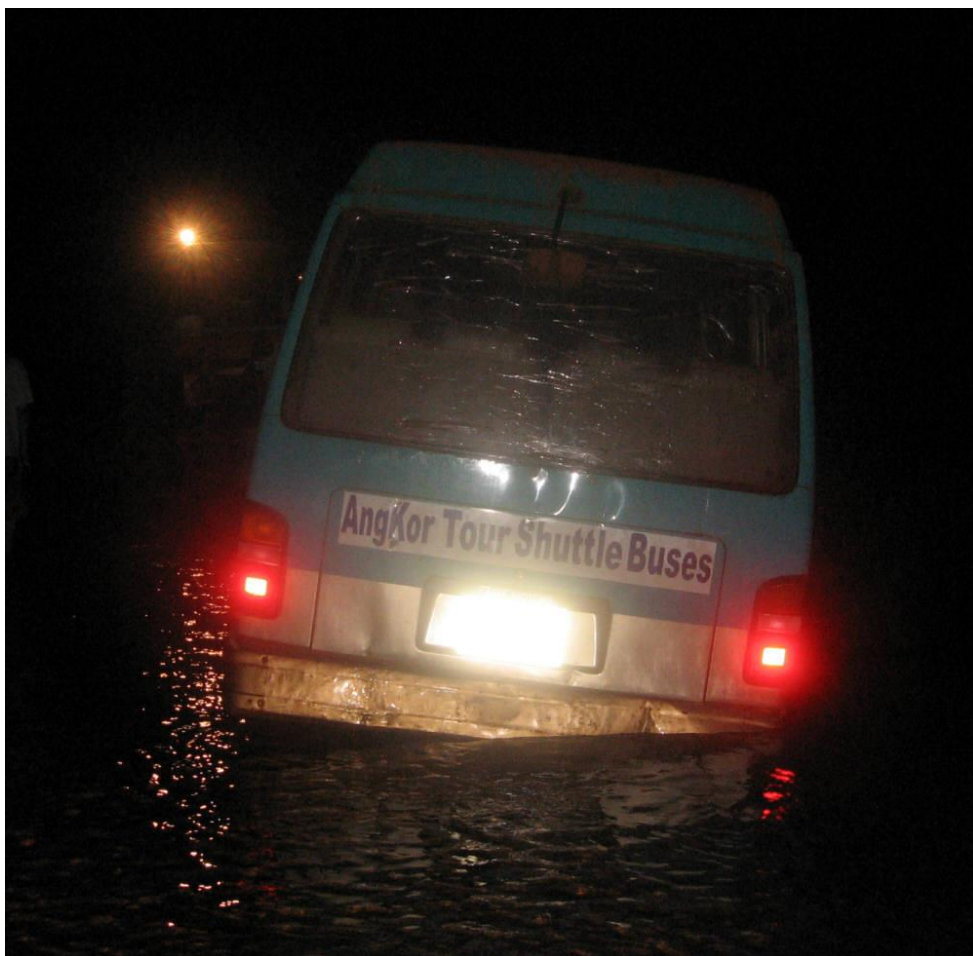
Kierowca wraca po 3 godzinach i teoretycznie można jechać, ale samochód nie ma świateł. Pomocnik kierowcy świeci latarką ręczną przez szybę i jedziemy w kompletnych ciemnościach.

Za chwilę nowa atrakcja, której nikt się nie spodziewał - powódź! Wylał Mekong. Nikt nie brał pod uwagę powodzi! Około północy nadciąga fala powodziowa i droga zostaje zalana przez wodę. Jedziemy do połowy kół w wodzie, bez świateł i na kompletnym odludziu. Woda przybiera i boczny prąd staje się coraz silniejszy.

W pewnym momencie autobus grzęźnie na rozmytej drodze (w Kambodży prawie nie ma asfaltu, to są drogi gruntowe nie konserwowane chyba nigdy). Wszyscy wysiadamy pchać. Po pas w wodzie szarpiemy się z ugrzęźniętym pojazdem. Po pół godzinie znowu jedzie, ale pomocnikowi kierowcy skończyły się baterie w latarce. Dalej jedziemy już w kompletnej ciemności i po chwili pojazd wpada do rowu. No to klops. Nie wiadomo, co robić. Jest druga w nocy, przybiera woda, nadciąga tropikalna

burza, która wody raczej doda, niż ujmie. Tym razem nie dajemy już rady autobusowi wypchnąć.

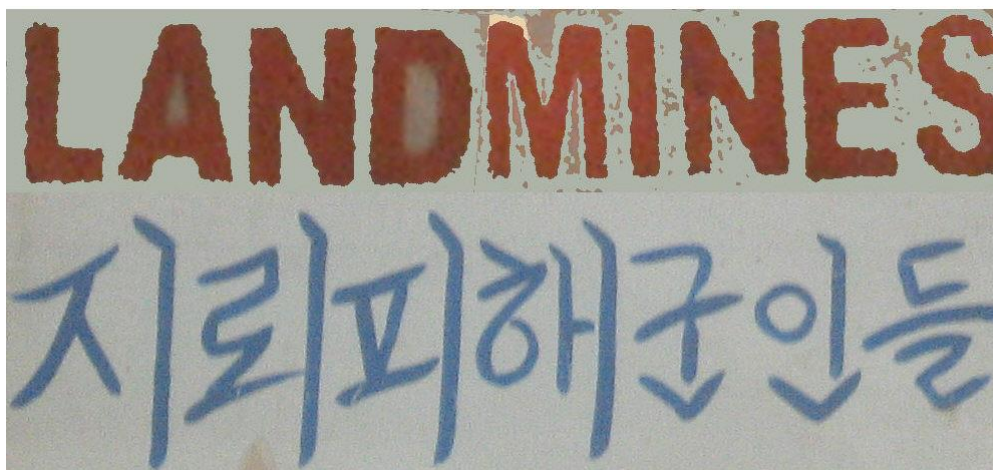
Kierowca dzwoni z komórki po pomoc. Autobus jest mocno pochylony i zanurza się coraz bardziej. Przez drzwi woda wlewa się do środka. Stoimy na drodze bezradnie w wodzie, jedni po kolana, inni po pas a chwilami nawet po pierś. Za chwilę nowa atrakcja, Prąd wody robi się coraz silniejszy. Kobiety zaczynają panikować, a faceci dostają jakiegoś małpiego rozumu i się śmieją. Widać zatopione ciężarówki, w poprzek drogi płyną niesione falą powodziową drzewa. Po godzinie na horyzoncie jakieś światło - nadjeżdża ogromny traktor na pomoc. Ale zamiast brać się do roboty zaczyna się targowanie o cenę za udzielenie pomocy, a my tonimy coraz bardziej. Wreszcie uzgadniamy zrzutkę po 2 dolary na łeb i traktor bierze nas na hol.



Pochylony autobus stara się złapać grunt i wyjechać z rowu. Fot. Krzysztof Łoziński.

Przy wyciąganiu z rowu autobus niemal się przewraca. No, ale wyszedł. Jedziemy na holu. Mijamy utopione ciężarówki, ludzi na wysepkach wystających z wody. Woda jest niemal po horyzont. Drogę wskazuje tylko rząd słupów. Około 5 rano wyjechaliśmy na suchy ląd. Kierowca usiłuje naprawić światła, ale bez skutku. Jedziemy więc w kompletnych ciemnościach. Jest tylko światło gwiazd. Księżyc, niestety w nowiu.

No i już miało być pięknie, ale woda przedarła się w kolejnym miejscu. Znowu ugrzęźliśmy w wodzie i rozmytej drodze. Znowu pchanie pojazdu - udaje się wyjechać. Do Siem Riep dojeżdżamy o 8 rano - 24 godziny po wyjeździe z Bangkoku. Normalnie ta droga zajmuje kilka godzin. W tym wszystkim była jeszcze jedna atrakcja. Plagą Kambodży są miny przeciwpiechotne. Pobocza tej drogi, którą jechaliśmy, są w wielu miejscach zaminowane, ale o tym nie wiedzieliśmy. Może i lepiej. Bo my brodziliśmy po tych polach po pas w wodzie szukając metodą macania nogą kamieni do podłożenia pod koła.



Tablica ostrzegawcza przy drodze: Miny lądowe! Fot. Krzysztof Łoziński.

Przy drodze stały takie tablice, ale po ciemku nikt ich nie czytał. Dopiero gdy traktor, który nas wyciągał miał światła, przeczytaliśmy, że szukaliśmy kamieni na polu minowym. Kambodża jest najbardziej zaminowanym krajem świata. Ma ok. 6 milionów min przeciwpiechotnych.

No i przyznajcie Państwo, czy ktoś z Was chodził po pas w wodzie po polu minowym i tupał? Nie? A ja tak. Z tego wszystkiego pamiętam takie drobne ludzkie dylematy. Na przykład, czy stojąc po pas w brudnej wodzie ściągać spodnie do siusiana, czy susiać przez spodnie? Dla odmiany Agnieszka kombinowała, czy już dzwonić do Warty w sprawie ubezpieczenia, czy poczekać do jutra. A tu Mekong płynie...

W hotelu w Siem Rieap doprowadzamy się do porządku, bo jesteśmy cali w błocie. Ubrania nie wiadomo czy prać, czy wyrzucić. Agnieszka klnie spod natrysku na hotelowe ręczniki. Wyciera się i wyciera, a cały czas jest mokra.

- *Popatrz na termometr - mówię – jest 49 stopni. Ty się szybciej pocisz niż wycierasz.*



Granica. Kingdom of Cambodia. Napis: Królestwo Kambodży, choć oficjalna nazwa państwa to Królestwo Kampuczy. To też ciekawe. Król uciekł do Chin i tam mieszkał (Obecnie już zmarł), rządzi komunista Hun Sen (przywieziony w walizce przez armię Wietnamu).

### **Czasami groźne było**

A było z powodu zwierzątek. Wiele lat temu jechałem z jednym z kolegów z wyprawy samochodem przez Indie. Było gorąco i wpadliśmy na pomysł, aby popływać. Nie było w pobliżu żadnego basenu, ale była rzeka, która niedaleko wpływała do Oceanu Indyjskiego. Niewiele myśląc (a szkoda, bo warto było myśleć) rozebraliśmy się do slipek i hop do wody. Na środku rzeki była piaszczysta łąka, na której środku rosły krzaki. Dopłynęliśmy do tej łąki i wyjrzelśmy za te krzaki. A tam niespodzianka: około dziesięciu ogromnych krokodyli różańcowych. I w tym momencie uświadomiliśmy sobie, że musimy przepłynąć z powrotem i nikt nam nie pomoże. W dodatku już wiemy, że w tej wodzie są krokodyle, a krokodyle już wiedzą,

że my tu jesteśmy. Chyba nigdy w życiu nie miałem tak miękkich ruchów i takiego pietra jak w tej rzece.

Krokodyle różańcowe są podobno największymi krokodylami świata. Żyją w rzekach nadmorskich. Są przystosowane zarówno do słodkiej wody jak i do słonej. Znaczący temat wyjaśnili mi później, że mieliśmy szczęście, bo było rano. Krokodyle są zmiennocieplne i rano wylegają się na słońcu, by wyrównać temperaturę ciała po chłodnej nocy. Nie zaatakowały nas, bo jeszcze się nie rozgrzały.

Innym razem, w czasie wyprawy w Himalaje Kaszmiru, schodziłem z gór do bazy, położonej w lesie. Miałem ciężki plecak i patrzyłem pod nogi. Mijałem taki ogromny głaz o średnicy kilku metrów i w pewny momencie usłyszałem dziwny dźwięk. Takie warknięcie, które przypominało mi odgłos rozrusznika w samochodzie. Spojrzałem do góry i zamarłem. Jakieś trzy metry nade mną stała pantera. Przez lśniąca czarna sierść było widać potężne mięśnie. Stałem nieruchomo, a pantera najpierw odwróciła się, odeszła jakieś dwa metry do tyłu, a później skoczyła nade mną w las. Skoczyła jakieś dziesięć metrów albo więcej. W sumie nic się nie stało.

Dziś wiem, że pantery nie polują na ludzi (w przeciwieństwie do tygrysów). Nie jesteśmy w ich wzorcu pokarmowym. Ta pantera patrząc na mnie być może pierwszy raz widziała człowieka (byliśmy w bardzo dzikim rejonie, gdzie nawet miejscowi pojawiają się bardzo rzadko). Przy okazji, czarna pantera tonie jest jakiś odrębny gatunek. Po prostu niektóre osobniki mają czarną sierść. Taka brunetka wśród blondynek.

Na tej wyprawie miałem jeszcze jedno ciekawe spotkanie, choć nie było groźne. Szliśmy z karawaną tragarzy przez las. W pewnym momencie z jednego z drzew oderwał się latający stwór. To było spore zwierzę, które miało między przednimi a tylnymi łapami skórę, lub błonę. Opadało w dół doliny jak latawiec. Pytałem miejscowych, co to jest. „Latający pies” przetłumaczył mi jedyny z nich, który coś tam, coś tam, mówił po angielsku. Dopiero po latach zobaczyłem ponownie tego stwora w telewizji. Jest to gatunek małpiatki, żyjący głównie na półwyspie malajskim. Jak widać, żyje też w Kaszmirze. Zwierzątko jest niegroźne, owocożerne. Te loty ślizgowe służą mu do ucieczki przed drapieżnikami.

I jeszcze wydarzenie z rodzaju ni to śmieszno, ni to straszno. W Kambodży, w pobliżu bramy do twierdzy Angkor Tom jest niewielka góra, a na tej górze ruiny świątyni Phnom Beck Hang. Wyruszam od postoju taksówek słoniowych, na których można zwiedzać całe Angkor Idę dróżką przez las jakieś półtora kilometra nieco pod górę. Miejscowy kierowca rikszy ostrzegł, że w tym lesie mogą być dzikie słonie.



Kambodża, Angkor. Postój taksówek słoniowych. Fot. Krzysztof Łoziński.



Careful elephants, czyli „ostrożne słonie”. Fot. Krzysztof Łoziński.

Zwiedziłem ruiny świątyni, zrobiłem zdjęcia i chce wracać, a tu strzałka pokazuje, by wracać inną drogą. A przy tej drodze znak: rysunek słonia i napisane „careful elephants”. Ktoś chciał chyba napisać „uwaga słonie” a napisał są „ostrożne słonie”. No cóż, angielska język trudna jest.

No to idę do tych ostrożnych słoni. Żadnego słonia nie spotkałem, tylko piękne wielkie motyle. A już przy wyjściu z lasu tablica ostrzegawcza i instrukcja co zrobić, gdy spotkam tygrysa. Tylko czemu ta tablica stoi przy wyjściu a nie przy wejściu?

### **Boże narodzenie w egzotyce**

Podróżowanie po świecie nie zawsze jest tylko przyjemne i ciekawe. Czasem wiąże się z samotnością. Na przykład fajnie jest mieszkać w Singapurze, bo to kraj bogaty, czysty i kulturalny, ale nie fajnie jest być tam samemu. Najgorszy jest czas wolny, gdy nie ma nic do roboty. Owszem, można pójść na spacer na Orchard Road (czyli Ogrodową, główną ulicę Singapuru), ale ile razy można spacerować po Orchard Road nie mając tam nic do zrobienia?

Ja nie jestem religijny, w Polsce specjalnie nie przejmowałem się Świątami Bożego Narodzenia, czy Wielkanocnymi. Ale samotność w święta na obczyźnie jednak trochę uwiera. W Singapurze, w Indiach, w Dubaju też obchodzi się święta, ale jako święta handlowe.



Ochroniarz przed sklepem na Main Bazaar w Delhi w stroju Św. Mikołaja. Fot. Krzysztof Łoziński





Dekoracja świąteczna przed marketem na Orchard Road w Singapurze. Sztuczny śnieg, sarny, zajęce, żuraw, pingwiny i czerwona bolszewicka gwiazda, zamiast betlejemskiej, na choince. Wszystko się tym Chińczykom pomieszało. Fot. Krzysztof Łoziński.

W Singapurze przed każdym z marketów świąteczna reklama i oprawa. Tylko wszystko się tym Chińczykom pomerdało. Na bożonarodzeniowych wystawkach udających jakieś ołtarze pomieszanie poplątaniem. Palmy pokryte watą udającą śnieg w pięćdziesięciostopniowym upale i wilgotności powietrza sto procent (Singapur otaczają dwa oceany). Zamiast osiołków i owieczek Kaczor Donald, krasnoludki i Królowna Śnieżka. Sztuczna choinka z dykty a na jej szczycie zamiast gwiazdy betlejemskiej czerwona bolszewicka gwiazda. Sanie Św. Mikołaja ciągną jelenie zamiast reniferów. Oczywiście twórcy tych dekoracji mają różne inwencje, czasami wręcz komiczne.

W Indiach też Merry Christmas na każdym kroku, choć chrześcijan jest w tym kraju tak mało, że prawie nie ma. W restauracji Uniwersal na Main Bazaar w Delhi kelnerzy w czerwonych czapczkach z pomponem. Wartownicy przed drogimi sklepami na Connaught Place w płaszczach Św. Mikołaja i oczywiście z karabinem kalibru małej armaty. Oczywiście Hindusi nie mają pojęcia o co w tych świętach chodzi, ale wiedzą, że chodzi o handel. Płyta Binga Crosby „White Christmas” leci z megafonów od rana do wieczora.

Na tranzycie w Dubaju chodzi Święty Mikołaj i rozdaje prezenty. Dziewczynom perfumy, facetom drobną elektronikę. A przy tym tranzyt w Dubaju jest wielkim centrum handlowym i biznes się kręci. Ja dostałem kalkulatorkę grubości kartki papieru, a kupiłem radiomagnetofon dwukasetowy (wówczas w Polsce nieosiągalny).

No i muszę to wszystko podsumować. Świat jest ciekawy i barwny, ale trzeba mieć gdzie i po co wracać. Można odwiedzić 54 kraje, nauczyć się jako tako sześciu języków, ale porzekadło „wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej”, jest jak najbardziej prawdziwe. Gdyby ktoś mnie spytał, gdzie chce być, powiedziałbym: tu, gdzie jestem, w domu w Cybulkach.

# Epilog

Opisałem kolejną porcję wydarzeń z mojego życia. Można zapytać, czy ja tak muszę narażać się, ryzykować, pakować się w kłopoty? Może nie muszę. Może mógłbym żyć spokojnie i, jak mówi porzekadło, „doczekać starczej renty nigdy w tyłek nie kopnięty”.

No tak, ale co z tego wynika? Stare złorzeczenie mówi: „obyś miał ciekawe życie”. No bo ciekawe życie jest wtedy, gdy są wojny, zadymy, rewolucje, różne plagi... Ciekawe, jest o czym opowiadać, ale w trakcie tego ból, krew i łzy.

A w nieciekawym życiu jest nudno: chodził do szkoły, skończył studia, poznał dziewczynę, wzięli ślub, mieli dzieci. Przez 40 lat chodził do pracy, dostał emeryturę, no i zmarł. Tylko książka o takim życiu zmieściłaby się na jednej stronie.

Człowiek powinien podjąć świadomą decyzję. Czy chce w życiu czegoś dokonać, a w tym celu walczyć, narażać się, czy też chce unikać wszelkich życiowych schodów. Czy chce być wymieniany w encyklopedii, czy tylko na liście lokatorów?

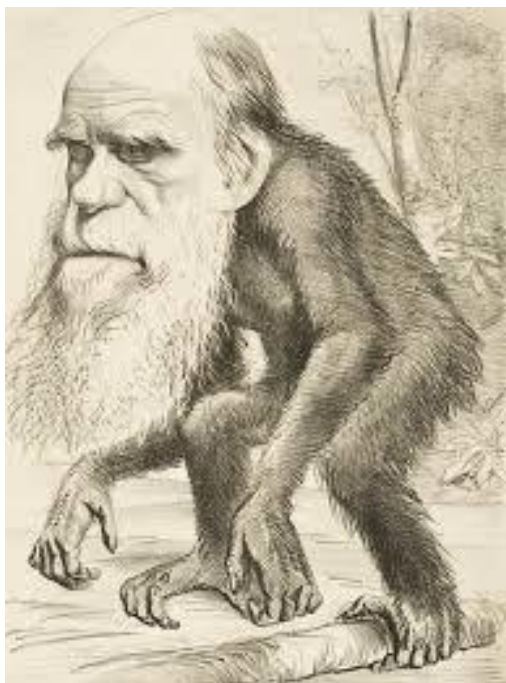
Człowiek jest zwierzęciem stadnym. Ma stadny instynkt postępowania tak, jak reszta stada, jak wszyscy. Tylko z postępowania tak jak wszyscy nic nie wynika. To jest postępowanie odtwórcze a nie twórcze. Człowiek twórczy, postępujący inaczej niż wszyscy, od razu naraża się stadu, jest krytykowany i to nawet bardzo brutalnie. Hejt to nieodłączna część twórczego życia, to jest cena za takie życie. A jednak twierdzą, że warto. Bez ludzi wyłamujących się z konwenansów nie byłoby postępu. Nigdy byśmy nie zeszli z drzewa.

Działanie twórcze polega na umiejętności spojrzenia inaczej, myślenia inaczej niż wszyscy.

Spotykam się z krytyką. Po co ty się narażasz? Popatrz, ja żyję spokojnie. Mam wierną żonę, udane dzieci, dobra pracę, dom, samochód... Ja się nie wychyłam, więc nikt mnie nie atakuje.

Moja odpowiedź jest taka: Tylko komu ten spokój w życiu i dobrobyt zawdzięczasz? Tym, którzy jak ty się nie wychylali? Czy tym, który ze złem walczyli? Tym, którzy siedzieli w politycznych więzieniach, ginęli na wojnach, tracili pracę, rozpadali się im rodziny? Tak kolego, ten swój spokój i dobrobyt im zawdzięczasz.

Ale można podejść do sprawy mniej drastycznie. Gdyby Kolumb spokojnie siedział na D, nie odkryłby Ameryki. Wszyscy wielcy twórcy narażali się na krytykę, kpiny, żarty. Newtona po jego teorii grawitacji rysowano w karykaturach, jak mu włosy stały na głowie przyciągane przez przelatującą nad nim armatnią kulę. Darwina rysowano jako małpę. A jednak to oni mieli rację, a nie większość.



Tak naśmiewano się z teorii ewolucji. Karykatura Darwina jako małpy.

I jest jeszcze jedna potężna siła rozwoju: ciekawość. Ciekawość ciągnęła ludzi na oceany, na górskie szczyty i do naukowych laboratoriów. Mnie ciekawość ciągnęła w świat, w eksperymenty plastyczne, kazała mi „wleźć do Kirkora” i jechać do Kambodży, do Peru, w Himalaje i zamiast ciuć grosz do grosza wydawać na bilety lotnicze. Ciekawość kazała mi studiować fizykę, gdy panował pogląd, że po fizyce nie ma pracy. Można co najwyżej uczyć w szkole. Wiemy dziś jak błędny był to pogląd.

I już na koniec. Pytanie z gatunku: prawda czy fałsz? W jakim celu to wszystko robisz? Chcesz czegoś dokonać z powodu niezgody na zło, z ciekawości świata lub zjawisk, czy dla zdobycie uznania? Tak, są ludzie, którzy gotowi są nawet się narażać dla sławy, poklasku, wysokich stanowisk, odznaczeń. Nazywamy ich Narcyzami. Są jak fałszywe złoto. Ludzie z tombaku. Ja jednak wierzę, że większość narażających się na różne represje robi to z innych pobudek, z niezgody na zło.

Gdy pytano mnie, dlaczego się buntuję, odpowiadałem: bo mam alergię na chamstwo, kłamstwo i podłość. Alergia, to alergia. Jest nieuleczalna.

Szanowny czytelniku, opisałem sporą część swojego życia i życia mojego pokolenia. Nie opisałem dalszego etapu – starości. Nie wiem, czy warto pisać o chorobach, o słabości. Nie opisałem też całej swojej działalności politycznej. W książce „Życie pod wiatr” opisałem okres od marca 68 przez „Solidarność” do początku wolnej Polski. Nie opisałem nigdzie okresu KOD-u czyli Komitetu Obrony Demokracji, choć byłem inicjatorem i jednym z założycieli tej organizacji. Uważam, że powinien to zrobić historyk, a nie ja. To jest jeszcze zbyt świeże, zbyt aktualne.

Wydawałoby się, że człowiek twórczy i przeciwstawiający się złu jest szanowany. Niestety na ogół jest odwrotnie. Jest zniechęcony. Bezinteresowna nienawiść do każdego, kto cokolwiek w życiu dokonał jest najczystszy znanym uczuciem. Ale jakoś trzeba z tym żyć, bo z bycia osobą publiczną nie da się wypisać. Ja przyjąłem taką metodę, że tworzę listę obelg. Zamiast się stresować tym, że ktoś mnie nawyzywał, dopisuję do listy. Na post w rodzaju „Ty komuch” odpowiadam: Dziękuję, pana uwaga została dopisana do listy obelg na pozycji 154.

Tak więc na koniec zamieszczam aktualną Listę Obelg. Życzę wesołej lektury.

## **Lista obelg**

### **Motto:**

*Nie ma większego zaszczytu dla człowieka niż wściekłość idiotów*

(K.L.)

Lista zawiera nie tylko jawne obelgi, ale i insynuacje, oszczerstwa oraz kłamstwa.

A oto lista obelg, którymi już mnie uraczono (niestety, bez chronologii):

1. Jajarz
2. Popeliniarz
3. Mistrz popeliny
4. Laureat Orderu Złotego Jaja
5. Pękła mu żyłka w pachwinie
6. Mitoman
7. Wszystkim był tylko po trochu
8. Oryginał

9. Byle instruktor samoobrony
10. Mistrz wibrującej pięści
11. Mięśniak
12. Przerost masy mięśniowej nad masą mózgową
13. Marcowy komandos
14. Rewizjonista
15. Chuligan
16. Element antysocjalistyczny
17. Pełzający kontrrewolucjonista
18. Anarchosyndykalista
19. Warchoł z Radomia i Ursusa
20. Kornik
21. Podczerwony
22. Kuroniada
23. Lewica laicka
24. Koncesjonowany opozycjonista
25. Pan z gazety koszernej
26. Zabójca nienarodzonych
27. Piewca cywilizacji śmierci
28. Satanista
29. Swawolnik
30. Wróg islamu
31. Antyislamski bluźnierca
32. Silny ośrodek antychiński
33. Podły spisek Michnika i Geremka
34. Dziennikarz spiskowiec należący do Unii Wolności
35. Wiadomy element
36. Macki CIA
37. Tuba CIA
38. Triada z Hong Kongu
39. Humanista końca XX wieku zrzeszony w komitetach obrony czegoś
40. Ujadający kundelek
41. Święta krówka na łączce
42. Hiperliberał
43. Przekraczający granice przyzwoitości
44. Zwolennik łagodnego karania
45. Zwolennik rozpasanej wolności
46. Różowa hiena na robotniczych plecach
47. Deprawator
48. Element przestępczy

49. Demoliberalął koszerny
50. Pełna kompromitacja autora i wydawcy
51. Wróg Radia Maryja
52. Człowiek nieodróżniający prawdy od fikcji
53. Główna przeszkoda w stosunkach polsko-chińskich
54. Prokomunista
55. Frankensztain dziennikarstwa
56. Szwadron śmierci dla prawdy
57. Poplecznik morderców, gwałcicieli i bandytów
58. Pan, z którym miałem nieprzyjemność
59. Autor słów „mogę iść, ale będą jaja”
60. Powinien się o nim wypowiedzieć biegły psychiatra
61. Inny tatarnik nazwiskiem Krzysztof Łoza
62. Jego dorobek górski nie znalazł jeszcze uznania w oczach historyków tatarnictwa
63. Nie zostały jeszcze rozwiane wątpliwości (o zgrozo) co do prawdziwości niektórych relacji
64. Ma lekką paranoję
65. Łozowanie polega na zdejmowaniu przez TOPR
66. Wykiwał masę ludzi
67. Wstrząsy po Uchi Mata i O Soto Gari sprawiły, że mylą mu się punkty z centymetrami
68. Powinien spojrzeć krytycznie na swój dorobek
69. Człowiek o takiej osobowości, że raczej nie zechce zrozumieć
70. Pan, który ma lukę
71. Tytan dziennikarstwa szmatławego
72. Niech sobie Łoziński nie myśli
73. Laureat nagrody „Złamanego Ołówka” przyznanej przez Czerwony Kolektyw
74. Nieprawdziwy ekspert
75. W jego życiu miały miejsce liczne incydenty
76. Nie pisze po Wprostowemu
77. Łże-elita
78. Wykształciuch
79. Daje w ryj zniecka
80. Nieznany osiłek, chuligan i bandyta, który daje bez powodu piąchą w twarz, a później kopie, gdzie popadnie
81. Bruce Lee - złodziej dróg
82. Genetycznie nie patriotyczny
83. Niezłe nazwisko sobie wymyślił
84. Nie można go, jak innych, pomawiać, że jest Żydem, bo za dużo osób wie, że jest Tatarem

85. Ma rodziców w KPP
86. Członek układu, co poczoł się zagrożony (pisownia zgodna z oryginałem)
87. Trzeba się pochylić nad jego przeszłością
88. Sąd wziął pod uwagę arogancję oskarżonego i świadków
89. Front obrony przestępców
90. Pracuje w lewackich beznadziejnie redagowanych Kontratekstach
91. Łoziński jest nikim
92. Robił karierę u Kiszczaka i Michnika
93. Człowiek Michnika
94. Kolega Świtonia
95. Byle nauczyciel z liceum zawodowego
96. Trzeba mówić, że to były SB-ek
97. Koło prawdziwego kung fu nawet nie przechodził
98. Przyłąził na forum Azji i Pacyfiku i swoimi wystąpieniami wzbudzał śmiech fachowców
99. Ciekawe, który ma Dan
100. Przerażony salon wyciągnął go znikąd przeciw Biniendzie
101. Chce zdyskredytować wybitnego inżyniera
102. Nie powołany biegły
103. Poszedł do tej córki SB-ków Olejnik
104. Stosuje SB-ckie metody
105. Z pannami mu nie szło, więc brał się za mężatki
106. Błaznuje nie pierwszy raz
107. Jego głupota zostanie szybko zweryfikowana
108. Powołuje się na Newtona, a wiadomo, że Newton to żyd [pisownia "żyd" z małej litery zgodna z oryginałem]
109. Nie jest specjalistą, bo tylko skończył fizykę
110. Swoje rekordowe przejścia w rejonie Wołowego Grzbietu opublikował dopiero po 10 latach
111. Wygrywać procesy Łoziński sobie może
112. Marudzący matoł
113. Wyciągnął go z niebytu prorządowy portal Onet
114. Pożyteczny idiota
115. Lepiej niech opisuje pasących kozy w Hindukuszu
116. Szkoda jego inteligenckiej głowy na politykę
117. Wrzucono mu temat
118. Wyrasta na „turonia”, co przypomina nazwisko kogo innego
119. Koń trojański Studia Opinii
120. Generalnie pisze głupoty
121. Nie wie jak się pisze Kadafi



122. Przykleił do sztandaru słomę z butów, którą się podtarł po kryjomu za stodołą, co budzi zakłopotanie
124. Szlachetka
125. Złodziej z Warszawy
126. Łapał kule karabinowe ręką
127. Komunista i złodziej
128. Zaprzędany człowiek gorszego sortu
129. Ma gen zdrady
130. Targowica
131. Element animalny, odzwierzęcy
132. Nie wiadomo kto go rekrutuje
133. Wykazuje niedouczenie
134. Zbija kasiorę na „Raporcie Gęgaczy”
135. Jest wielkim błaznem
136. Rozmawiałam z Renią z Giżycka o mistrzu z pękającymi żyłkami
137. Jesteś towarzyszu komuchem
138. Kilka lat temu nazwałem Pana wyjątkowym błaznem. To nieaktualne. Jest Pan zwykłą szmatą, tuskowym pomiotem (tuskowym z małej litery zgodnie z oryginałem)
139. Ważne jest to, o czym nie pisze
140. Porównał się do Gosi, he, he...
141. Jest najbardziej agresywny
142. Ryczy w studio
143. Czy napisze o łozowaniu?
143. Zawiodłem się na nim
144. Przez trzy lata nie zwołał żadnego zjazdu zwyczajnego KOD
145. Odwołał oświadczenie woli bez podstawy prawnej
146. Taki niby wykształcony a był w podartej koszuli
147. Trzeba Łozińskiego zajebać
148. Ogłosił zakończenie działalności politycznej czy jakiejś tam
149. Celebryta z Cybulek
150. Ty czerwona PO-ubecka gnido zamknij tą czerwoną mordę!!!
151. Niestety, ale jesteś pojebany
152. Kaczyńskiemu to mógłbyś buty czyścić
153. Ujawnia swoją frustrację jako działacz KOD-u
154. Niestety jesteś towarzyszu komunistą, czerwoną szmatą.

A poza tym, to pies szczeka, a księżyc świeci...